JÓZEF PIŁSUDSKI POD PALMAMI
Marszałek wybierał się za granicę na bardzo egzotyczne wakacje

BOMBA ATOMOWA BIAŁEJ RPA
Afrykanerski rząd pozbył się tej broni tuż po jej skonstruowaniu

KRUCJATA EDMUNDA DENE'A MORELA
Młody Anglik rzucił rękawicę władcy Belgów, który terroryzował Kongo

NR 7(149)/2025 LIPIEC 2025

CENA 13,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

HISTORIA

MIESIĘCZNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

RYSUNEK: KRZYSZTOF WYRZYKOWSKI

DO RZECZY HISTORIA
ISSN 2299-9515
Nr indeksu 296 031

Szalone wojaże po II RP

PRZEDWOJENNE WYWCZASY

HISTORIA DO RZECZY

CZYTAJ CO MIESIĄC W LEPSZEJ CENIE

ZAMÓW PRENUMERATĘ

PRENUMERATA ROCZNA MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY"

+ W PREZENCIE KSIĄŻKA Z TERESĄ ROMER ROZMAWIA MICHAŁ LEWANDOWSKI: „CZUJĘ SIĘ UPRZYWILEJOWANA"

Czuję się uprzywilejowana

Ilość archiwaliów niezbadanych i wymagających opracowania wciąż przyprawia o zawrót głowy. Uwaga uczonych skupia się zwykle w większym stopniu na tego rodzaju źródłach „poważnych", a tymczasem gdzieś z boku na głos cierpliwie czekają świadkowie Historii. Ich świadectwa są nie mniej ważnie od urzędowych protokołów, raportów i sprawozdań. Badacze zainteresowani dziejami emigracji polskiej po roku 1939 coraz częściej wykorzystują konwencję „książek mówionych".

Wyścig z czasem trwa. Ostatni świadkowie Historii odchodzą cicho i niepostrzeżenie. Coraz trudniej znaleźć nie tylko uczestników tamtych wydarzeń, ale również ich bliskich krewnych, którzy w sposób świadomy przeżywali tę Historię z nimi.

Do osobistych świadectw bezwzględnie zasługujących na bycie usłyszanymi i zapamiętanymi należy opowieść pani Teresy Romer. Historykom dokumentującym dzieje polskiej emigracji jest to postać doskonale znana. Wszak to głównie dzięki jej wysiłkom pamięć o zasługach Tadeusza Romera jest powoli przywracana, a jego wkład w kształtowanie polskiej polityki zagranicznej w trudnych latach II wojny światowej zyskuje należyte uznanie. Córka polskiego dyplomaty od wielu lat niestrudzenie przypomina pracę ojca na rzecz utrzymania ciągłości państwowości polskiej po katastrofie wrześniowej oraz jego heroiczną walkę o ratunek dla uchodźców polskich i żydowskich na Dalekim Wschodzie.

(fragment Przedsłowia)

159 zł

oszczędność 43 zł

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WPŁATA NA KONTO:
UWAGA NOWY NUMER
33 1600 1462 1816 5874 1000 0006
Do Rzeczy S.A.,
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631 (pon-pt 10.00-16.00)** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl 468442f1bb

ADRES:
HISTORIA DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00
e-mail: historia@DORZECZY.PL
www.HISTORIA.DORZECZY.PL
PROWADZĄCY: ANNA SZCZEPAŃSKA

REDAKCJA MIESIĘCZNIKA **„HISTORIA DO RZECZY"** JEST INTEGRALNĄ CZĘŚCIĄ REDAKCJI TYGODNIKA „DO RZECZY".

REDAKCJA:
Redaktor naczelny: **Piotr Włoczyk**
Redaktorzy: **Tomasz Stańczyk, Anna Szczepańska**

STUDIO GRAFICZNE:
Wojciech Niedzielko (szef studia),
Marta Michałowska, Jakub Tański (skład),
Jacek Nadratowski (obróbka zdjęć)
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**

KOREKTA: Anna Zalewska, Magda Zubrycka-Wernerowska

OKŁADKA: Krzysztof Wyrzykowski

PORTAL DORZECZY.PL
redaguje **Karol Gac**
z zespołem: **Zuzanna Dąbrowska, Małgorzata Puzyr, Anna Skalska, Anna Szczepańska, Marcin Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Grzegorz Grzymowicz, Dawid Sieńkowski, Łukasz Żygadło**

WYDAWCA:
Do Rzeczy SA
Batory Office Building II,
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, fax: +48 22 347 50 01
Wydawca tytułu, Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW.

spółka notowana na GPW
PMPG POLSKIE MEDIA SA

ZARZĄD PMPG POLSKIE MEDIA SA:
Katarzyna Gintrowska, Jolanta Kloc

ZARZĄD SPÓŁKI DO RZECZY SA:
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel.: +48 508 040 684, +48 888 727 213

PUBLIC RELATIONS:
(PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA
Adam Borzęcki
a.borzecki@pmpg.pl, +48 500 112 424

DRUK Walstead Starachowice

PRENUMERATA WYDAWNICZA
Joanna Gosek, Joanna Nowakowska
+48 508 040 664, +48 539 953 631
Od pn.-pt. w godz. 10:00-16:00
e-mail: prenumerata@pmpg.pl
https://subskrypcja.dorzeczy.pl/

PRENUMERATA KOLPORTERSKA
Kolporter sp. z o.o. (instytucjonalna)
tel.: +48 (41) 367 88 88
e-mail: prenumerata.warszawa@kolporter.com.pl
www.kolporter.com.pl
Garmond, tel.: +48 (12) 422 14 85
e-mail: prenumerataprasy@poczyta.pl
www.poczyta.pl/prenumerata#prasa
GLM sp. z o.o., tel.: +48 (22) 649 41 61
www.glm.pl
Poczta Polska
https://prenumerata.poczta-polska.pl/

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w miesięczniku „Historia Do Rzeczy" jest zabronione.

© ℗ Wszystkie materiały w miesięczniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/.

Ze starych klisz / Kraków, lipiec 1932 r.

Żeglarze wypływają w rejs do Gdańska

FOT. NAC

Od redaktora

Piotr Włoczyk

II RP rusza na wakacje

Święto wina" w niemal tropikalnych Zaleszczykach nad Dniestrem, pociągi narciarskie wożące fanów białego szaleństwa w góry od Zakopanego do Worochty, patriotyczne spływy kajakowe z najdalszych zakątków Polski przez Wolne Miasto Gdańsk aż do Gdyni. A do tego egzotyka huculskich górali, gościnność „tutejszych" (bliżej nieokreślonych narodowo) mieszkańców dzikiego Polesia czy dziewicze, trudno dostępne tereny nad „Śniardwami II RP", czyli jeziorem Narocz.

Chociaż przedwojenna Polska często kojarzy nam się z biedą i mozolnym odbudowywaniem państwa, to przecież właśnie w II RP pojawiły się (w 1922 r.) na większą skalę urlopy i Polacy korzystali z nich, by zwiedzać swój przebogaty kulturowo i przyrodniczo kraj, dając odpocząć ciału i umysłowi. I to wtedy narodziła się w Polsce turystyka z prawdziwego (niemal masowego) zdarzenia.

Nieliczni szczęśliwcy, którzy posiadali auta, mogli wybrać się w podróż do polskich kurortów, choć musieli się uzbroić w sporo cierpliwości w związku z fatalnymi najczęściej drogami, a także dobrze zaplanować trasę, uwzględniając problemy z zaopatrzeniem w benzynę.

O klimacie wypoczynku w II RP wiele mówi relacja pisarza Andrzeja Chciuka, który w 1937 r. wybrał się na obóz na Huculszczyznę. Młodzi harcerze spotkali wtedy na połoninie „starego brodatego Hucuła", który zszokował ich swoimi pytaniami. Ten człowiek żył w takiej izolacji od cywilizacji, że był zdziwiony, słysząc, iż powstała Polska, a władcą tych terenów nie jest już cesarz Franciszek Józef.

Poza tym, że ówczesna polska prowincja była nieporównanie bardziej dzika i naturalna niż obecnie, wyjazdy wakacyjne w II RP bardzo często wiązały się z elementem patriotycznym, wręcz państwotwórczym, co również bardzo się wyróżnia na tle dzisiejszej Polski. I właśnie ten niepowtarzalny klimat wakacji w utraconej Polsce staramy się w tym numerze jak najlepiej oddać. ©℗

eprasa.pl 468442f1bb

/ TEMAT NUMERU

.6 ROBERT GAWKOWSKI
Od Helu do Okopów św. Trójcy

.12 SŁAWOMIR KOPER
Automobilowe szaleństwo

.16 TOMASZ STAŃCZYK
Piłsudski na wywczasach

.20 ANNA SZCZEPAŃSKA
Podróże w przestworzach

/ CZASY I LUDZIE

.24 PIOTR WŁOCZYK
Krucjata Morela

.28 JAKUB OSTROMĘCKI
Atomem w Castro

.32 ARKADIUSZ KARBOWIAK
Pretorianie Hitlera

.36 PIOTR SEMKA
Tajemniczy lud z serca Alp

.40 MIKOŁAJ IWANOW
Arktyczni polscy lotnicy

.44 MAREK GAŁĘZOWSKI
Fenomen nieznany historii

.48 LESZEK LUBICKI
Polska królowa pędzla i palety

.52 JAKBUB WOZINSKI
Jak Tokio kupowało Manhattan

.56 SEBASTIAN REŃCA
Król zagłębiowskich Żydów

.60 CEZARY KORYCKI
Sąsiedzkie spojrzenie Klio

/ CO CZYTAĆ

.64 KRZYSZTOF MASŁOŃ
Parandowskiego sztuka mimikry

.68 RECENZJE

/ FELIETONY

.70 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
Świadek epok

.71 PIOTR SEMKA
Włoska beznadzieja

/ BATALIE I WODZOWIE

.72 GRZEGORZ JANISZEWSKI
Dziesięciu na jednego

.76 MICHAŁ MACKIEWICZ
Bagnet zuch

/ TECHNIKA

.78 TYMOTEUSZ PAWŁOWSKI
Uśpione wynalazki

/ POD PRĄD

.80 PIOTR ZYCHOWICZ
Rajd na Osirak

/ KOMIKS

.82 KRZYSZTOF WYRZYKOWSKI I MACIEJ JASIŃSKI
Parada zwycięstwa bez Polaków

eprasa.pl 468442f1bb

REPUBLIKA

Tomasz Sakiewicz wspólnie z zaproszonymi do studia ekspertami, dziennikarzami i politykami podsumowuje najważniejsze wydarzenia mijającego tygodnia. Zobaczymy także, jakie tematy zdominowały polskie media społecznościowe.

www.radiotvrepublika.pl Telewizja Republika @RepublikaTV RepublikaTV @RepublikaTV

Republikę oglądać można na ogólnopolskim multipleksie naziemnej telewizji cyfrowej tzw. MUX-8 na pozycji 51 listy kanałów. Niezbędna do tego jest antena kierunkowa np. typu YAGI, ustawiona, w zależności od miejsca zamieszkania, poziomo lub pionowo. Ustawienie anteny sprawdź w aplikacji EmiMaps. Ósmy multipleks dociera prawie do 95% Polaków i jest nadawany w zakresie VHF. Dodatkowo można nas oglądać przez satelitę (Polsat Box, CANAL+, Orange), w sieciach kablowych, IPTV oraz w lokalnych multipleksach z Ornontowic – MUX L2 oraz Lubina i Głogowa – MUX L7. Republikę obejrzysz na żywo także na serwisie www.tvrepublika.pl, a wszystkie programy znajdziesz na oficjalnym kanale YouTube: @Telewizja_Republika.

SKANUJ KOD QR
WSPIERAJ DOM WOLNEGO SŁOWA

eprasa.pl 468442f1bb

Kajakarze nad Wisłą pod Tyńcem FOT. NAC

Wywiad / Z dr. hab. Robertem Gawkowskim, autorem książki „Wypoczynek w II Rzeczpospolitej"

rozmawia Piotr Włoczyk

Od Helu do Okopów św. Trójcy

PIOTR WŁOCZYK: Zacznijmy od rzek II RP. Kilkanaście lat temu, podczas wyjazdu na Ukrainę, usłyszał pan historię, która ciekawie pokazuje specyfikę turystyki na przedwojennych polskich kresach. Co się wtedy stało u ujścia Zbrucza do Dniestru?

DR HAB. ROBERT GAWKOWSKI: Gdy odwiedziłem Okopy św. Trójcy, pewna polska staruszka, od urodzenia mieszkająca nad Dniestrem, opowiedziała mi, że rok przed wojną widziała, jak grupę polskich kajakarzy nurt rzeki pognał w kierunku ZSRS. Sowieccy pogranicznicy zaczęli strzelać w ich kierunku... Polacy musieli czym prędzej uciekać na rumuńską stronę, która była granicą przyjaźni. Jak powiedziała moja rozmówczyni, ten incydent odbił się szerokim echem w okolicy, choć niestety nie znalazłem żadnego potwierdzenia w źródle pisanym.

Musimy pamiętać, że to było bardzo specyficzne miejsce. Jak podkreślano w przewodnikach: „Każdy kajakowiec udający się na Dniestr winien posiadać dowód osobisty i wystarać się o przepustkę właściwego starosty, uprawniającą do swobodnego poruszania się w pasie nadgranicznym od Horodnicy do Okopów św. Trójcy".

W swojej książce „Wypoczynek w II Rzeczpospolitej" pisze pan, że widać tam było pewną „symetryczność" ówczesnej Polski.

eprasa.pl 468442f1bb

Do STOLICY SPORTÓW ZIMOWYCH
Delegat. Ligi Popierania Turystyki przy zarządzie Dyr. Okr. Kolei Państw. w Poznaniu
organizuje w dniach od 5—9 stycznia 1939 r.
POCIĄG POPULARNY: DANCING – BAR – PULLMANY
z POZNANIA
do ZAKOPANEGO
pod hasłem: „NA NARTY, ŚNIEG I SŁOŃCE"
UWAGA: Wcześniejsze kupno biletów daje do skutku pociągu popularnego!

Reklama pociągu narciarskiego FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

Tak, ponieważ na północy mieliśmy Hel, a na dalekim południowym wschodzie właśnie Okopy św. Trójcy – „półwysep" z trzech strony otoczony rzekami. Dniestr na tym odcinku jest bardzo szeroki, zresztą Zbrucz też nabiera tu szerokości. Te dwie rzeki meandrują w tamtej okolicy, tworząc swego rodzaju „półwysep". Przed wojną w tym miejscu był styk trzech granic: polskiej, rumuńskiej i sowieckiej. Kilkadziesiąt kilometrów w górę nurtu Dniestru leżą słynne Zaleszczyki, czyli „biegun ciepła II RP". Tę rzekę bardzo upodobali sobie polscy kajakarze. Nawiasem mówiąc, kajak był wtedy pewnym novum, ponieważ do Polski trafił dopiero w latach 20.

Jakie miejsce na mapach turystycznych zajmował Rozwadów?

Ta miejscowość leży ok. 35 km na południowy zachód od Lwowa. Płynie tam maleńki, zaledwie 20-metrowy Dniestr. Na miejscu można było wypożyczyć kajaki i spłynąć stamtąd do Zaleszczyk trasą liczącą 260 km. Towarzystwo Miłośników Dniestru zadbało o to, by na odcinku do Zaleszczyk stanęło 11 stanic wodnych. Kajakarze płynący z Rozwadowa mogli się w nich zatrzymać. To były zazwyczaj siermiężne drewniane domki, ale najważniejsze, że ludzie mieli na noc dach nad głową. Na parterze każdej stanicy obowiązkowo znajdował się warsztacik szkutniczy. W niektórych stanicach nie było żadnych dozorców, ale regulamin wyraźnie mówił, że trzeba zachować porządek. I tak w ciągu kilkunastu dni można było dopłynąć do Zaleszczyk, zatrzymując się na noc w stanicach.

A co czytali spływający Dniestrem Polacy? Obowiązkową lekturą była książka młodego podróżnika o nazwisku Arkady Fiedler. Dopiero dekadę później Fiedler napisze o Ukajali. Jego pierwsza książka to „Przez wiry i porohy Dniestru" z 1926 r. i każdy kajakarz powinien ją znać.

Tuż przed Zaleszczykami leżała Horodenka. Trzeba było się tam zameldować na posterunku Policji Państwowej, by dostać pieczątkę – od tego miejsca płynęło się przecież w strefie przygranicznej. Rumunia, jak już wspomnieliśmy, była życzliwym nam krajem, ale porządek musiał być. W razie czego turysta mógł legalnie zawinąć na plażę po rumuńskiej stronie Dniestru, byleby tylko nie oddalał się od rzeki.

Były też oczywiście kierunki bardziej wymagające.

To znaczy trzeba się było bardziej namachać wiosłami. Z Warszawy można było dopłynąć kajakiem do Niemna, i to oczywiście w ramach jednego państwa. Po drodze można się było zatrzymać w słynnych Druskienikach, które z kolei były „biegunem zimna". Po drugiej stronie granicy była już Litwa, ale w przypadku problemów z nawigacją raczej nie można było liczyć na pobłażliwość, jak w przypadku Rumunów. Umowa graniczna z Litwą była jednoznaczna – polscy turyści mieli się trzymać swojej strony…

Spędzanie wolnego czasu na rzekach było wtedy szczególnie popularne w dużych miastach, i to w stopniu nieporównywalnym do naszych czasów. W samej Warszawie łódek i kajaków było do wypożyczenia ponad tysiąc. Sportowcy wioślarze narzekali nawet, że w niedziele nie da się trenować, bo tylu warszawiaków pływa po rzece.

Kajakarstwo stało się tak popularne, że liczne gazety, tygodniki, miesięczniki pełne były porad, jak zbudować własny kajak.

Miłośnicy wypoczynku na wodzie mieli wtedy do dyspozycji coś, o czym dziś już mało kto pamięta. Jak działał „pociąg kajakowy"?

Ta „instytucja" powstała w pierwszej połowie lat 30., na wzór powołanych wcześniej pociągów narciarskich. Był to skład, który codziennie zatrzymywał się w innym ciekawym miejscu, umożliwiając spływy różnymi rzekami.

Jednak dużo bardziej znane były w II RP pociągi narciarskie. Bilety na te składy sprzedawał w Warszawie Orbis. Koszt – 175 zł, czyli przeciętna pensja robotnika. Taka wycieczka trwała co najmniej 10 dni i każdy pasażer miał swoją kuszetkę. Rano pociąg nie zawsze zatrzymywał się na samej stacji (np. w Zakopanem, Krynicy, Worochcie czy Jaremczy), ale czasem w jej pobliżu, przy stoku. Czekał tam prymitywny orczyk i narciarze jeszcze w pociągu mogli zapiąć narty, złapać za kijki i szaleć na stoku aż do zmroku.

Przeglądając zdjęcia takich pociągów, moją uwagę zwróciły wagony… kinowe.

Nie wszystkie pociągi narciarskie oferowały taki luksus. Ale w każdym były prysznice, salonik, gdzie można było coś zjeść, salonik do gry w karty, a także miejsce do tańczenia. Po miłym wieczorze narciarze kładli się spać i rano znów gwizd lokomotywy oznajmiał, że pociąg dojechał do kolejnej miejscowości na śnieżne szaleństwa.

Dziś nie ma też imprez w rodzaju „Cała Polska płynie do morza". Ale oczywiście w II RP turystyka dużo bardziej niż dziś łączyła się z propagowaniem patriotyzmu.

Pierwszy raz zorganizowano taki spływ w 1926 r. Wzięło w nim udział kilkaset osób. I żeby nikt się nie pomylił,

Pasażerowie pociągu narciarskiego na stacji w Worochcie FOT. NAC

eprasa.pl 468442f1bb

Na plaży w Gdyni FOT. NAC

wkrótce uzupełniono to hasło – „Cała Polska płynie do polskiego morza". Wiązało się to z wyprawą Wacława Korabiewicza, który popłynął do morza, ale nie Bałtyckiego, tylko Czarnego.

W 1932 r. w spływie tym wzięło udział ponad 2 tys. kajakarzy. To często byli mieszkańcy odległych rejonów Polski, którzy płynęli gdzieś ze wschodu, zachodu i południa i łączyli się na Wiśle z innymi grupami.

Niesamowicie musiała wyglądać ta biało-czerwona parada przepływająca przez Wolne Miasto Gdańsk (WMG).

Za Grudziądzem był ostatni etap spływu na terenie Polski. Na polanie czekały tam na jego uczestników namioty wojskowe rozbite pod polską flagą. Kajakarze mieli się gdzie umyć i ubrać, żeby się pięknie pokazać w WMG. I tak przez Gdańsk płynęło parę tysięcy Polaków z biało-czerwonymi flagami. Możemy sobie wyobrazić, jak reagowali na to Niemcy, stanowiący w Gdańsku 90 proc. mieszkańców...

W WMG organizowana była przesiadka na duży statek, ładowano łódki jako bagaż i wyruszano do Gdyni, gdzie obchodzono Dni Polskiego Morza. Takie imprezy wspierała Liga Morska i Kolonialna.

Choć trzeba też zaznaczyć, że nie tylko drogą wodną polscy turyści docierali na imprezy podkreślające polskość Bałtyku. Również kolarze włączali się w takie obchody, biorąc udział w wyścigach nad morze. Chodziło oczywiście o to, by Polacy zanosili do swoich domów na prowincji wieść, że Polska ma już swój duży port nad Bałtykiem. A ponieważ pobyt nad morzem był w tamtych czasach czymś niecodziennym, to niemal każdy zabierał trochę wody z Bałtyku, zawoził gdzieś na swój Wołyń czy Polesie i pokazywał rodzinie, że morze faktycznie jest słone…

À propos rowerów – w Polskim Związku Towarzystw Kolarskich istniał podział na sekcje turystyczną i wyścigową. Ta pierwsza była nawet większa. Przed wojną regularnie organizowano wycieczki objazdowe dookoła granic państwa.

W kwestii rozwoju turystyki w Polsce kluczowy był rok 1922?

Tak, ponieważ w maju 1922 r. weszła w życie ustawa o urlopach wypoczynkowych. I rzeczywiście był to bardzo istotny krok w rozwoju turystyki w II RP. Nagle bowiem Polacy mieli 15 dni wolnego. A jeżeli pracowali w administracji państwowej, to nawet 30 dni! Wcześniej niektóre prywatne przedsiębiorstwa dawały pracownikom wolne, ale zależało to od dobrej woli ich szefostwa. Od 1922 r. każde przedsiębiorstwo zatrudniające powyżej czterech pracowników musiało już zapewniać urlopy.

Trzeba przyznać, że państwo polskie ułatwiało obywatelom wypoczynek, na różne sposoby dopłacając do niego, np. oferując różne zniżki na bilety kolejowe na dane kierunki, np. poleski.

Były też specjalne zniżki, np. na Święto Morza – w ten sposób można było dużo taniej niż zwykle dojechać do Gdyni. Prawie każdy mógł się załapać na dobrą zniżkę na kolei. W tym kontekście zabawnie wygląda fragment książki Bernarda Newmana, Anglika, który przejechał II RP na rowerze. Jak wspominał Newman, gdy któregoś razu wsiadł do pociągu z rowerem, wszyscy współtowarzysze podróży nie mogli się nadziwić, że ten obcokrajowiec ma normalny bilet, bez żadnej zniżki!

Zamiarem Ministerstwa Komunikacji było zbliżanie kraju do siebie, stąd te zniżki. Czasem jednak popełniano w tej materii zabawne błędy. Myślę tu o historii, którą sprowokował sam Aleksander Bobkowski, wiceminister komunikacji,

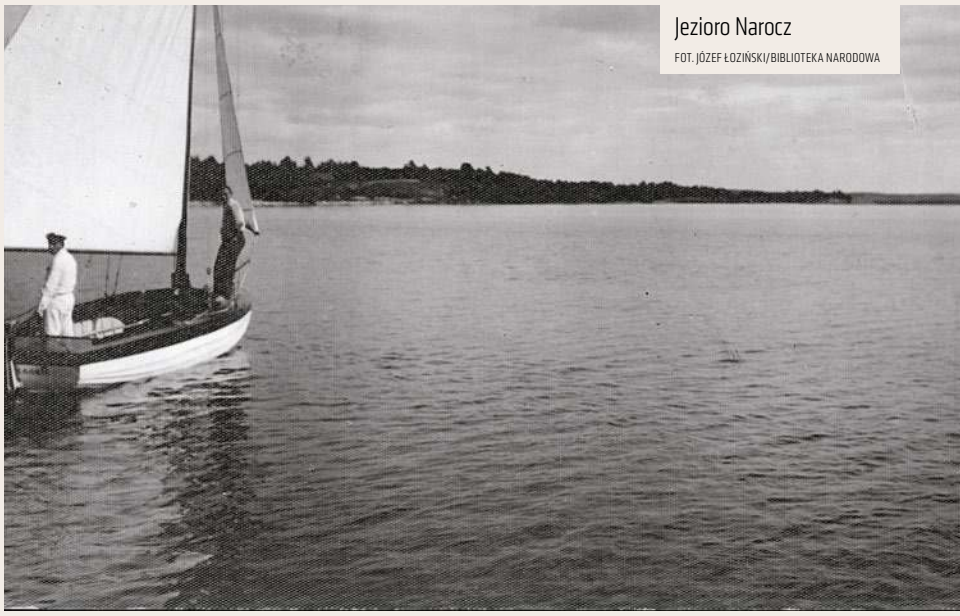

Jezioro Narocz
FOT. JÓZEF ŁOZIŃSKI/BIBLIOTEKA NARODOWA

eprasa.pl 468442f1bb

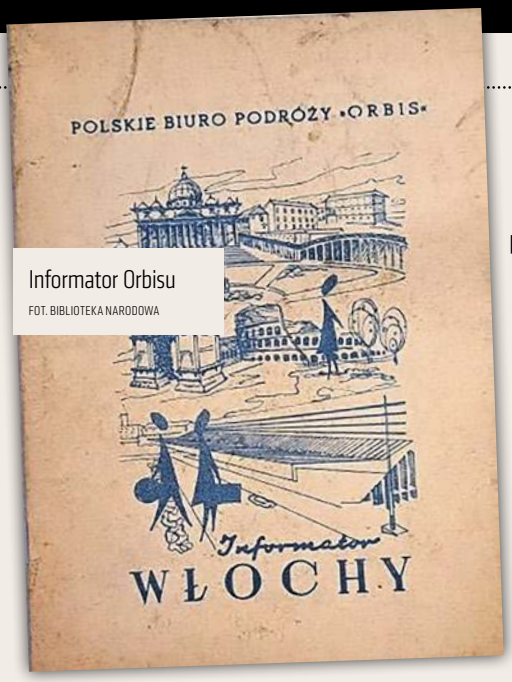

Informator Orbisu

FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

od 1932 r. odpowiedzialny za turystykę.

Zięć prezydenta Mościckiego. A to chyba miało jednak pewne znaczenie pod kątem jego skuteczności?

Tak, bez wątpienia ten fakt nie utrudniał mu pracy (śmiech). Bobkowski był fanem narciarstwa, turystą z zamiłowania i chciał uprościć system kolejowych zniżek. Zamiast „papierologii" postawił na prostą zasadę – ten ma zniżkę, kto ma ze sobą narty. Wiceminister nie docenił tu jednak zaradności Polaków. Od tego momentu babcie jadące pociągiem na targ do Worochty oprócz jajek i sera woziły ze sobą jakiekolwiek stare, nawet najbardziej zdezelowane narty, byleby tylko skorzystać z tej zniżki. W związku z masowymi nadużyciami szybko porzucono ten system i powróciła „papierologia".

Z pańskiej książki wynika, że zaraz po zamachu majowym państwo polskie wzięło się na dobre do promowania turystyki i inwestowania w ten sektor.

Tak, natomiast ja bym tego nie wiązał bezpośrednio z samym zamachem majowym. Tak się po prostu złożyło, że w drugiej połowie lat 20. państwo polskie okrzepło, obóz władzy był może nieco bardzo sprawny, ale i pomyślność kraju była też inna – w końcu budżet centralny był na „plusie".

Józefowi Piłsudskiemu chyba osobiście zależało na tym temacie?

Na to wygląda. Marszałek bywa wysławiany jako propagator kultury fizycznej i nie jest to nadużycie. Bardzo słusznie warszawska AWF na Bielanach nosi imię Józefa Piłsudskiego. A przecież z kulturą fizyczną mocno związany był ruch turystyczny. W II RP kluby sportowe miały bardzo często swoje sekcje turystyczne.

Mamy jakieś szacunki w kwestii masowości ruchu turystycznego w przedwojennej Polsce?

W latach 30. ok. 2 mln Polaków wyjeżdżało co roku na wczasy. Ta statystyka powstała na podstawie uiszczania opłat klimatycznych, ale oczywiście nie wszyscy je płacili, więc możemy podejrzewać, że wczasowiczów było jeszcze więcej.

Turystyka w Polsce tak naprawdę ruszyła „z kopyta" dopiero w latach 30. Przecież najpierw trzeba było wybudować drogi, koleje i schroniska, przygotować resztę infrastruktury, nadrukować foldery i mapy, i dopiero wtedy można było liczyć na masowe wyjazdy obywateli.

To wciąż biedne państwo wiele robiło, żeby młodzież z prowincji zobaczyła jednak kawałek kraju.

Młodzież szkolna z Polesia czy z Wołynia jechała na kilka dni do Warszawy, potem pociągiem do Krakowa na kopiec Piłsudskiego, ale w programie było też zazwyczaj oglądanie jakiegoś ważnego obiektu przemysłowego. Taki chłopczyk wracał z wycieczki, po raz pierwszy widząc stolicę państwa, i zaczynał trochę rozumieć historię Polski. II RP dawała biednym dzieciom z prowincji pojęcie o tym, jak wygląda ich kraj.

Ale były też wycieczki w drugą stronę – młodzież miejska jechała na Polesie czy Wołyń albo właśnie do Rozwadowa, na spływ kajakowy Dniestrem.

Ciekawe, że w turystyce II RP niemal na każdym kroku widać ten element patriotyczny.

Byliśmy na innym etapie rozwoju. W latach 30. II RP wciąż musiała udowadniać, że działa sprawnie, że mapy nie kłamią – a państwo od Okopów św. Trójcy aż do Helu rośnie w siłę. Chodziło też o pokazanie obywatelom, jak piękne są regiony słabsze cywilizacyjnie, jak Polesie czy Pokucie, gdzie mieszkali Huculi. Na szlakach na Pokuciu przez dziesiątki kilometrów można było w sezonie letnim nie spotkać żywego ducha!

W książce przypomina pan ciekawą historię przekazaną przez pisarza Andrzeja Chciuka. Warto przywołać tu dłuższy fragment jego relacji: „W 1937 r. spotkaliśmy w zapadłym szałasie na trudno dostępnej połoninie za Burkutem w Czarnohorze starego brodatego Hucuła [...]. Ku naszemu niezmiernemu zdziwieniu zapytał, czy jeszcze żyje cesarz Franciszek Józef – o, to dobryj pan – wzdychał – czy jeszcze we Lwowie jest namiestnictwo? Nie wiedział bowiem, że Polska istnieje. Było to dla nas, młodych harcerzy, czymś niepojętym. Zastanawialiśmy się, czy staruszek może stracił pamięć, bo na pewno nie udawał, tyle było w jego głosie zdziwienia, że jest Polska, że we Lwowie i w Stanisławowie jest wojewoda, a w Kołomyi i Kosowie są polscy starostowie i polskie wojsko".

To był ewenement, choć gdzie indziej w Polsce też były dziwnie brzmiące ciekawostki. Pamiętajmy, że w niektórych rejonach Polesia jeszcze co najmniej do 1925 r. akceptowaną walutą był carski rubel…

Wpuszczanie Polaków w takie regiony polonizowało je i zapewniało dopływ gotówki, bo przecież turyści zostawiali trochę pieniędzy. Na Wołyniu w latach 30. na widok kajakarzy wychodziła z wiosek miejscowa ludność ubrana w odświętne stroje ukraińskie, krzycząc: „Haj, żywe spływ!". Pod nadzorem sołtysa Ukraińcy witali kajakarzy, zapraszali do chałup i coś tam zarabiali na gościnie.

Co było przedwojennym odpowiednikiem naszych Śniardw?

Jezioro Narocz, obecnie znajdujące się na terytorium Białorusi, ma 80 km kw. powierzchni. Aby ułatwić dojazd turystom, państwo polskie wykorzystało tartaczną kolej wąskotorową, unowocześniło pociągi i od 1937 r. działała już tam linia turystyczna. Z Wilna jechało się nad Narocz, z przesiadką, kilka godzin. Państwo zaczęło promować tamten rejon – czystą wodę, piękne lasy, przyjazną ludność tubylczą. Niestety, był jeden problem. Otóż główna miejscowość nad Naroczą nazywała się... Kupa. Ostatecznie rada sołectwa złożona z Polaków, Białorusinów i Żydów przegłosowała zmianę nazwy. Kupa stała się po prostu Naroczą. Od teraz można było już spokojnie promować tę miejscowość. Powstały tam schroniska, ale żeby liczyć na dofinansowanie państwa, trzeba

eprasa.pl 468442f1bb

było je budować w duchu miejscowej architektury.

Poza wprowadzeniem urlopów rozwojowi turystyki w Polsce pomogło też na pewno udostępnianie od 1926 r. budynków szkolnych w charakterze schronisk.

Dążono do tego, żeby opłata za taki nocleg była minimalna. Jeżeli gdzieś nad Prypecią na Polesiu państwo polskie wystawiło porządną, nowoczesną szkołę z cegły, to polskie dzieci z Warszawy czy z Wilna bazowały w takim budynku i pływały stateczkami po całej okolicy. A co z tubylcami? Jechali w odwrotnym kierunku – do Warszawy czy Wilna.

Wycieczki włościańskie...

Niektóre z nich faktycznie tak właśnie się nazywały. W kronice filmowej PAT z 1937 r. możemy zobaczyć, jak Edward Śmigły-Rydz przyjeżdża do warszawskiej kawiarni Wedla, gdzie dzieci z Polesia, które przyjechały na wakacje do Warszawy, raczyły się czekoladą. Śmigły-Rydz wita się z tymi odświętnie ubranymi dziećmi. W pewnym momencie jeden z chłopców cmoknął marszałka w rękę... Zabawnie to wyszło, bo przecież Śmigły-Rydz chciał pokazać egalitaryzm. To był zupełnie inny świat.

Kto wtedy wyjeżdżał za granicę na wakacje?

W latach 30. zaledwie od 50 do 100 tys. obywateli Polski wyjeżdżało co roku za granicę. Tutaj jednak nie mamy podziału na turystykę, biznes czy kwestie religijne. A przecież w tej grupie było wielu Żydów, którzy wyjeżdżali do Palestyny. Pod koniec lat 30. pojawiły się już w Polsce większe samoloty, które mogły zabrać na pokład nawet kilkunastu pasażerów, ale drogą lotniczą za granicę wyjeżdżało jedynie kilka tysięcy osób rocznie.

Folder Ligi Popierania Turystyki
FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

Plaża w Zaleszczykach FOT. NAC

W maju tego roku, po 105 latach istnienia, zniknęła marka Orbis. Czy powstanie tej firmy było jakościową zmianą w sektorze turystycznym II RP?

Początkowo nie, ponieważ klienci byli zbyt często zawiedzeni poziomem orbisowskich usług. Firmą zarządzała ciekawa menażeria – skrajnie endecki poseł i... cadyk. Potem dołączyli jeszcze Niemiec z Łodzi i arystokrata z Warszawy. Kierownictwo firmy siłą rzeczy przywodzi na myśl „Ziemię obiecaną". Ostatecznie w 1929 r. państwo przejęło Orbis i od tego momentu firma zaczęła zyskiwać swoją zasłużoną renomę.

Jak popularne były w II RP wycieczki samochodowe?

To był absolutny rarytas. Pod koniec istnienia II RP samochodów było w sumie w kraju 40 tys., wliczając w to ciężarówki, a także auta wojskowe. I tu ciekawostka: kobieta prowadząca samochód – nazywana w statucie Automobilklubu Polskiego „kierowniczynią" – nie mogła jechać sama. Musiał jej towarzyszyć mężczyzna, na zasadzie bodyguarda, żeby ewentualnie zmienić koło, załatwić benzynę i ogólnie zapewniać opiekę i ochronę. Zresztą panie kierujące autami na ogół nie protestowały przeciw temu, bo wiedziały, że chodzi tu o wsparcie, ochronę.

Wspomniany już Aleksander Bobkowski zrobił wiele, by udało się zbudować kolejkę na Kasprowy Wierch. Dlaczego ten rozwojowy projekt nie spotkał się od razu z powszechnym uznaniem?

Przy okazji budowy doszło do protestu ekologów i był to bodaj pierwszy taki przypadek w historii Polski. Ekolodzy przekonywali, że kolejka za bardzo ingeruje w naturę, i w związku z tym Kasprowy Wierch przestanie być dziką górą. Ale gdy już kolejka powstała w 1936 r., głosy krytyki ucichły – okoliczni mieszkańcy i turyści byli bardzo zadowoleni z realizacji tego projektu.

Mariusz Zaruski to w kontekście naszej rozmowy postać arcyciekawa, ponieważ był niezwykle wszechstronny.

Gdy II RP się rodziła, był już dojrzałym człowiekiem, z dużymi osiągnięciami i wspierał rozwój turystyki swoim autorytetem. Zaruski był wielkim guru podróżników – dał się przecież poznać

eprasa.pl 468442f1bb

ROBERT GAWKOWSKI „WYPOCZYNEK W II RZECZPOSPOLITEJ. KURORTY. REKREACJA. ZABAWA"
DRAGON

zarówno jako pogromca mórz, jak i odkrywca gór. Jeszcze przed pierwszą wojną światową założył TOPR, ale w II RP też miał wielkie zasługi dla turystyki i rekreacji. Zaruski był przecież jednym z inicjatorów powstania polskiego słownika żeglarskiego.

Musimy tu jeszcze wymienić Mieczysława Orłowicza – nestora turystyki polskiej. Był on urzędnikiem z departamentu turystyki. Początkowo jego budżet wystarczał tylko na ołówki i papier. W swojej gorliwości w 1919 r. sporządził mapy jeziora Śniardwy i Mazur. Niestety, rok później te tereny przypadły w plebiscycie Niemcom.

Wspomnieliśmy już o Arkadym Fiedlerze, który zanim zachwycił polskich czytelników opowieściami o Ukajali, zaczynał od malowniczego opisania naddniestrzańskich okolic. Ale lista nazwisk polskich podróżników reportażystów jest przecież dłuższa. Weźmy choćby słynnego Kazimierza Nowaka, który przemierzył Afrykę.

To były arcyciekawe, bardzo autentyczne podróże. Nowak został rozpropagowany przez gazety w drugiej połowie lat 30. W znacznej mierze jednak podróżował po Afryce pociągiem, a nie rowerem.

Jeszcze wspomnijmy Rudolfa Wacka. To był pisarz ze Lwowa, Polak, choć jego ojciec był Czechem. Miał chorą nogę i najłatwiej było mu się poruszać na rowerze. Zjeździł prawie całą Europę, bardzo ciekawie opisując swoje przygody.

Hotel Ligi Popierania Turystyki w Gdyni FOT. NAC

Kuracjusze przed Domem Zdrojowym w Krynicy FOT. NAC

„Kajakiem do minaretów" – to z kolei fascynująca książka Wacława Korabiewicza, o którym już wspomniałem. Popłynąć samodzielnie kajakiem do Azji Mniejszej to był w tamtych czasach nie lada wyczyn, tym bardziej że wypływał polskimi rzekami.

Zaleszczyki były absolutnym „hitem", jeżeli chodzi o miejsca wypoczynku?

To była jedna z najciekawszych i bardzo obleganych miejscowości. To przecież w Zaleszczykach lato kończyło się najpóźniej w Polsce. Sezon dobiegał końca dopiero w październiku, po słynnym na całą Polskę Święcie Wina. W Zaleszczykach hodowano arbuzy i brzoskwinie, czyli produkty, które w Warszawie uchodziły za absolutnie egzotyczne. Co ciekawe, na temat Zaleszczyk powstawały całe naukowe elaboraty – dlaczego jest tam tak ciepło. Sporą rolę odgrywa w tym nachylenie terenu w kierunku południa.

Niedaleko leży Kosów Pokucki, gdzie mieścił się Zakład Przyrodoleczniczy dr. Apolinarego Tarnawskiego.

Ordynowane tam naturalne metody lecznicze były bardzo popularne wśród polskich elit. Ale na Kresach o zdrowie można było też zadbać w słynnym Truskawcu, gdzie kuracjusze raczyli się wodą Naftusią. Tamten mikroklimat powodował, że cała Galicja pędziła do łaźni i parków zdrojowych Truskawca. Niedaleko mieliśmy też Worochtę, czyli „drugie Zakopane" II RP. Można było tam dojechać ze Lwowa Luxtorpedą w prawie dwie godziny. Zbudowano tam dobrą infrastrukturę narciarską, m.in. skocznie, i to właśnie w Worochcie zaczynały się piękne szlaki turystyczne. Trzeba był jednak dobrze rozplanować wędrówkę, bo przez dziesiątki kilometrów można było nie spotkać żywego ducha.

Na południu Polski, ale dalej na zachód, leżała słynna Krynica, która w latach 30. stała się polską perłą. Nic dziwnego, że Jan Kiepura zainwestował tam w hotel Patria. Było to tak urocze i dobrze zorganizowane miejsce, że do Krynicy przyjechała w 1937 r. na wypoczynek i podreperowanie zdrowia holenderska para książęca – Juliana, następczyni tronu, oraz jej mąż Bernhard. Mało kto wiedział, że księżna Juliana, popijając wody mineralne, leczyła się (skutecznie!) z bezpłodności.

Gdy książęca para wróciła do Holandii, rozniosła się plotka, że Juliana jest w ciąży. Nasze MSZ zareagowało błyskawicznie i do Holandii wysłano osobliwy prezent, wyrób krynickiej sztuki ludowej – ręcznie wykonaną kołyskę wraz z haftowaną pościelą. Niestety, szybko się okazało, że plotki o odmiennym stanie księżnej są przedwczesne. Ciąża stała się jednak faktem kilka miesięcy później.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Doktor habilitowany Robert Gawkowski jest historykiem, kierownikiem Działu Wystaw i Projektów Naukowych Muzeum Sportu i Turystyki w Warszawie, znawcą rekreacji w przedwojennej Polsce, autorem książki „Wypoczynek w II Rzeczpospolitej".

eprasa.pl 468442f1bb

Fiat 508 III Junak

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, DAWID783

II RP / Cztery kółka dla wybranych

Automobilowe szaleństwo

Sławomir Koper

Samochód był w przedwojennej Polsce bardzo rzadkim widokiem. Tylko najbogatsi mogli sobie pozwolić na automobilowe wojaże po kurortach II RP

Polska międzywojnia była jednym z najsłabiej zmotoryzowanych krajów Europy – jeden samochód osobowy przypadał u nas na tysiąc mieszkańców. Dla porównania: w Finlandii, najuboższym kraju skandynawskim, wynik ten był aż 11 razy lepszy. Polskie władze niewiele jednak robiły, by zmienić ten stan rzeczy. Zakup samochodu był wysoko opodatkowany, a urzędnicy skarbowi traktowali niemal każdego prywatnego właściciela pojazdu jak „kogoś pośredniego między aferzystą, hochsztaplerem a samobójcą".

Najbardziej porażające jest jednak porównanie potencjału motoryzacyjnego Polski i III Rzeszy. W drugiej połowie lat 30. za naszą zachodnią granicą zarejestrowanych było aż 1,4 mln samochodów osobowych, podczas gdy nad Wisłą niespełna 30 tys. Wyjątkowo drogie samochody były niedostępne nie tylko dla przeciętnego Polaka, lecz także dla względnie zamożnych przedstawicieli inteligencji czy wolnych zawodów. Tak naprawdę na własny pojazd mogli sobie pozwolić bardzo bogaci ziemianie, przemysłowcy lub największe gwiazdy kina czy kabaretu.

W latach 30. sytuacja zaczęła się nieco zmieniać, gdyż w kraju powstawały montownie zachodnich koncernów i ceny pojazdów spadły. Nigdy jednak w II RP nie wdrożono do produkcji w dużych seriach krajowego modelu, w związku z czym nasze drogi pozostały domeną pojazdów zachodnich koncernów.

Czas prototypów

Mało znanym faktem związanym z różnicami pomiędzy poszczególnymi zaborami jest kwestia ruchu lewostronnego na terenie Galicji. Odziedziczono go po Austriakach, gdyż na terenie monarchii Habsburgów obowiązywał on od 1882 r. Na ziemiach, które znalazły się w granicach Rzeczypospolitej, przechodzono na ruch prawostronny stopniowo, a proces ten zakończono w 1922 r. Inna sprawa, że samochodów wówczas było bardzo mało (w 1918 r. zaledwie 400 sztuk), a dobrych dróg niewiele więcej. Po zaborcach odziedziczyliśmy zaledwie 43 tys. km utwardzonych traktów.

Jednak niemal od samego początku podejmowano próby budowy własnego przemysłu motoryzacyjnego. W 1922 r. Stefan Kozłowski i Antoni Frączkowski rozpoczęli prace nad samochodem o nazwie SKAF, który miał być stosunkowo tanim pojazdem małolitrażowym. W warsztatach przy ul. Rakowieckiej w Warszawie powstały trzy prototypy, ale produkcja seryjna nigdy nie została uruchomiona.

Ciekawą propozycją był samochód o nazwie Polonia autorstwa Mikołaja Karpowskiego. Twórca pojazdu założył jak najprostszą konstrukcję, mającą ułatwić i przyspieszyć wszelkie naprawy – wymiana kół zębatych w skrzyni biegów zajmowała zaledwie kwadrans.

Z powodów finansowych pojazd nigdy nie trafił do seryjnej produkcji, natomiast nieco więcej szczęścia miała inicjatywa stołecznych Centralnych Warsztatów

eprasa.pl 468442f1bb

Samochodowych. Przygotowano tam auto o nazwie CWS T-1 i w latach 1929–1930 powstało kilkaset sztuk tego pojazdu (w trzech wersjach nadwozia). Auto konstrukcji inż. Tadeusza Tańskiego miało mocną konstrukcję dostosowaną do stanu polskich dróg i można było je rozebrać jednym kluczem, a śruby i nakrętki były tego samego rozmiaru. Było to ważne ze względu na niewielką liczbę warsztatów naprawczych, które na domiar złego były zazwyczaj słabo wyposażone. Samochód był najwyraźniej na tyle dobry, że konkurencja zaczęła się go obawiać. Stąd w umowie licencyjnej z 1931 r. Fiat zażądał zaprzestania jego produkcji.

Niepowodzeniem zakończyła się również inicjatywa hrabiego Stefana Tyszkiewicza. W 1924 r. założył on pod Paryżem fabrykę mającą wytwarzać samochody dostosowane do trudnych warunków terenowych. Rok później zaprezentowano pojazd o nazwie Ralf-Stetysz, który szybko zyskał opinię „samochodu kolonialnego". Niebawem pojawił się drugi, nieco większy prototyp o podobnej charakterystyce, a w 1927 r. produkcję przeniesiono do Warszawy. Samochody odnosiły sukcesy sportowe (nawet w Rajdzie Monte Carlo), a ze względu na wysoki prześwit (30 cm) idealnie nadawały się na polskie drogi. Powstało kilkadziesiąt sztuk obu modeli, ale w lutym 1929 r. fabrykę strawił pożar. Chociaż firma była ubezpieczona i Tyszkiewicz chciał odbudować zakład, to jednak większość udziałowców nie była tym zainteresowana.

Jedną z najambitniejszych konstrukcji zaproponowanych przez polskich inżynierów był PZInż 403 Lux-Sport. Prototyp zbudowano w Państwowych Zakładach Inżynierii powstałych na bazie Centralnych Warsztatów Samochodowych. Była to luksusowa limuzyna o niezwykle ergonomicznym nadwoziu przeznaczona dla wyższych urzędników państwowych i dyplomatów. Auto wzbudziło prawdziwą sensację; była to nowatorska propozycja niemająca odpowiednika w ówczesnej motoryzacji. Do tego dochodziły jeszcze znakomity silnik polskiej konstrukcji i niezłe zawieszenie. Ze względu na obowiązującą jeszcze umowę licencyjną z włoskim Fiatem seryjną produkcję zaplanowano

Reklama samochodów Stetysz

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, POKAZYWARKA.PL

na początek lat 40. Oczywiście cały ten ambitny projekt pokrzyżowała wojna.

Nowe samochody pojawiały się w Polsce na dwa sposoby. Pierwszym był import z zachodniej Europy i USA, a drugim produkcja aut w montowaniach powstających głównie w Warszawie. Składano tam samochody z dostarczonych podzespołów, co pozwalało uniknąć wysokiego cła.

Nie tylko Fiat

W 1926 r. rozpoczęła działalność montownia Forda, a jej kierownictwo deklarowało produkcję na poziomie 5 tys. pojazdów rocznie. Niestety, zmontowano zaledwie 350 sztuk, a z końcem następnego roku całe przedsięwzięcie zostało zlikwidowane.

We wrześniu 1928 r. w Warszawie rozpoczęła swoją działalność montownia General Motors, oferująca dwa modele samochodów osobowych marki Chevrolet oraz pojazd ciężarowy. Otwarcie było niezwykle uroczyste; na miasto wyruszyło 50 taksówek obu modeli, a zaproszeni dziennikarze mogli przyjrzeć się specyfice pracy zakładu (robotnicy nie przerwali pracy). Łącznie powstało ok.

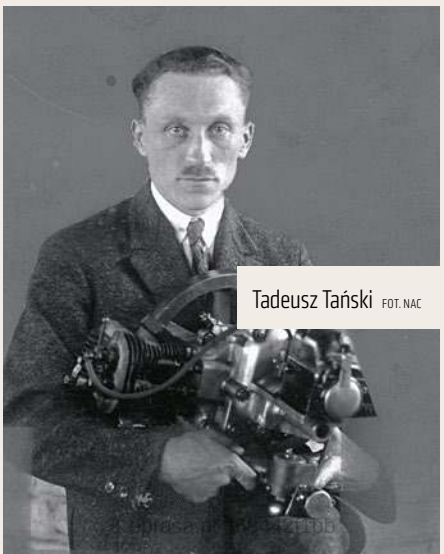

Tadeusz Tański FOT. NAC

6 tys. pojazdów, ale działalność firmy przerwał wielki kryzys.

Mało znanym epizodem z dziejów motoryzacji w Polsce są więzy, które łączyły André Citroëna z Polską. Jego matką była polska Żydówka, Masza Amelia Kleinman, a właśnie w Warszawie francuski przemysłowiec poznał pewnego wynalazcę (podobno studenta), od którego odkupił patent na wytwarzanie daszkowych kół zębatych. Stąd pochodzi logo marki używane do dziś.

Citroën pojawił się ponownie w Warszawie w 1928 r., a dwa lata później przy ul. Górnośląskiej rozpoczęła działalność jego montownia. Składano dwa modele (cztero- i sześciocylindrowy), a niektóre podzespoły tych pojazdów produkowano w kraju. Niestety, zmontowano w stolicy tylko nieco ponad 2 tys. samochodów, a kryzys gospodarczy i zawarcie przez polski rząd umowy licencyjnej z Fiatem spowodowały likwidację przedsięwzięcia.

Jedyną montownią powstałą poza Warszawą były zakłady w Oświęcimiu-Brzezince zajmujące się składaniem czeskich pojazdów marki Praga. Nazwane Oświęcim-Praga cieszyły się dużym uznaniem klientów (bardzo pozytywnie wypowiadał się o nich Wojciech Kossak). Słynny malarz nie szczędził pochwał modelowi Grand, a przyznawał, że wcześniej posiadał kilka pojazdów innych firm, w tym luksusowego cadillaca.

Polska motoryzacja okresu międzywojennego to jednak głównie włoski Fiat. Współpraca z koncernem z Turynu sięgała 1921 r., ale na szeroką skalę rozpoczęła się 10 lat później. Podpisano wówczas umowę mającą obowiązywać przez 10 lat i w zakładach przy ul. Terespolskiej w Warszawie rozpoczęto montaż dziewięciu modeli osobowych i kilku ciężarowych. Udział polskich części w kolejnych latach sukcesywnie wzrastał, tak że określenie „polski Fiat" stało się jak najbardziej adekwatne.

Najbardziej popularny był pojazd oznaczony symbolem 508, którego cena sukcesywnie spadała. Początkowo auto kosztowało 7,2 tys. zł, ale już w 1938 r. – 4,9 tys. zł, do czego dochodził jeszcze odpis podatkowy w wysokości 20 proc. Oczywiście biorąc pod uwagę fakt, że pensja urzędnika średniego szczebla wynosiła wówczas ok. 350 zł miesięcznie,

CWS T-1 Torpedo, replika
FOT. COMMONS WIKIMEDIA, ARTUR ANDRZEJ

ten model był jednak pojazdem przeznaczonym dla nielicznych.

Poważnym problemem, który utrudniał eksploatację samochodów, był niemal kompletny brak stacji benzynowych. Pierwsze zaczęły powstawać w połowie lat 20., a wcześniej tankowanie samochodów było możliwe właściwie tylko w punktach ich obsługi. Nawet pod koniec lat 30. sieć stacji była jednak bardzo niewielka, co skutecznie ograniczało krajową turystykę samochodową. W efekcie pojazdy zaopatrywano w najróżniejsze bańki, w których przechowywano paliwo, co miało szczególne znaczenie zwłaszcza na Kresach, gdzie stacji benzynowych niemal nie było. Dlatego wnętrze pojazdu było niemal zawsze wypełnione oparami, a jednym z głównych zajęć kierowców było opracowanie takiej marszruty, by obejmowała ona miejsca, gdzie można było uzupełnić paliwo. Warto też pamiętać, że ówczesne samochody zużywały znacznie więcej paliwa niż współczesne, co jeszcze pogarszało sytuację.

Gwiazdy za kierownicą

Nie zmienia to faktu, że pojazdy spalinowe były obiektem pożądania niemal wszystkich. Były też widocznym znakiem sukcesu zawodowego, co szczególnie doceniali najlepiej zarabiający artyści, czyli aktorzy kabaretowi.

„Po skończeniu sezonu Banda [następca Qui Pro Quo – przyp. red.] wyjechała na prowincję, podróżując samochodami – wspominał Władysław Dana Daniszewski. – Jarossy razem z Ordonką czerwonym roadsterem Chrysler, Zula Pogorzelska razem z Konradem Tomem pomarańczowym roadsterem Studebaker, ja z Adasiem moim plymouthem, dyrektor finansowy teatru Gabay dużą żółtą cytryną (Citroen) wraz z Żelichowską, Marysią Nobisówną i Niusią, która nosiła przyszłą latorośl Daniłowskich".

Inna sprawa, że artyści, wyjeżdżając na urlopy, musieli zadbać nie tylko o paliwo, lecz także o odpowiednią liczbę eleganckich strojów odpowiadających ich statusowi majątkowemu i towarzyskiemu. Wszystkich przebiła Hanka Ordonówna, gdy latem pojechała ze swoim ówczesnym partnerem, Fryderykiem Jarossym, do Jugosławii. Nad Adriatyk zabrała bowiem ze sobą białe, cenne futro...

Samochody posiadali również wzięci literaci, z Tadeuszem Dołęgą-Mostowiczem na czele. Pisarz zarabiał miesięcznie ok. 15 tys. zł i mógł sobie pozwolić na luksusową limuzynę. Chcąc jednak odróżniać się od innych, zrezygnował ze standardowego mercedesa czy adlera. Sprowadził białego buicka, tłumacząc z uśmiechem, że „woli buicka od pomnika". Uwielbiał osobiście prowadzić po Warszawie, ale w dalszych podróżach wyręczał się innymi, szczególnie gdy zachodziła konieczność przejechania przez most (miał agorafobię).

Zdecydowanie gorzej zarabiała Maria Pawlikowska-Jasnorzewska i wraz ze swoim trzecim mężem (oficerem lotnictwa) musiała zadowolić się fiatem 508. Ale nawet ten samochód wzbudził podejrzliwość urzędników skarbowych, którzy dręczyli poetkę kontrolami finansowymi. Nic dziwnego, że Pawlikowska w prywatnej korespondencji nazywała ich „obrzydliwymi drabami".

Większość właścicieli luksusowych samochodów posiadała własnego kierowcę, chociaż zdarzali się również wielbiciele osobistego prowadzenia pojazdu. Należała do nich Mira Zimińska, która idealnie odnalazła się w roli celebrytki. Zawsze modnie ubrana, ceniła wyrafinowaną elegancję, uwielbiała również dobre samochody.

„Byłam jedną z pierwszych automobilistek – wspominała po latach. – Wtedy w Warszawie było o wiele luźniej, nie tak ciasno jak teraz. Niewielu ludzi miało własne auta. Jeździło się dorożkami. Duma mnie rozpierała, kiedy je mijałam. Konie po trochu musiały przyzwyczaić się do samochodów. Ludzie się nawet do mnie uśmiechali i pozdrawiali, a ja sobie z fantazją zajeżdżałam". Czasami jednak ze zbyt dużą fantazją – w Wilanowie potrąciła rowerzystę, a tajemnicą artystki na zawsze pozostało to, jak udało jej się poturbować cyklistę wyłącznie tylnymi kołami. Sprawa znalazła swój epilog w sądzie, co kosztowało Zimińską znaczną sumę.

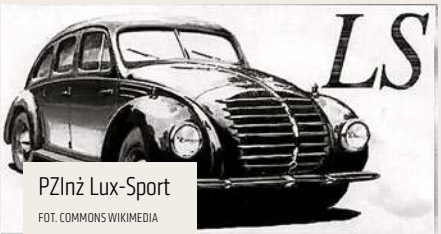

PZInż Lux-Sport
FOT. COMMONS WIKIMEDIA

Aktorka kupowała samochody ze znacznymi upustami, salony sprzedaży doceniały bowiem reklamę, którą im robiła popularna artystka. A Zimińska miała wyrafinowane upodobania. Po renault i citroënie przyszła kolej na mercedesa, a następnie na luksusowe marki – Avions Voisin i Bugatti. Za kierownicą tego ostatniego brała nawet udział w rajdach samochodowych i w jednym z nich pokonała znanego wielbiciela sportów motorowych, księcia Eustachego Sanguszkę.

Najważniejszymi miejscami, gdzie należało się pokazać w dobrym samochodzie, były dwa główne polskie kurorty: Jurata i Zakopane. Tam celebryci mogli w pełni prezentować swoje sukcesy zawodowe i finansowe. I chociaż podróż do obu miejscowości była znacznie wygodniejsza koleją (szczególnie do Zakopanego, dzięki słynnej Luxtorpedzie), to jednak nikt nie rezygnował z pokazania się w nowym pojeździe.

Pod Giewontem organizowano nawet amatorskie rajdy samochodowe pod patronatem Mariana Dąbrowskiego – właściciela „Ilustrowanego Kuriera Codziennego". Właściciel prężnego koncernu prasowego był jedną z najważniejszych postaci w polskich mediach. Z imprez przez niego organizowanych największą popularnością cieszył się coroczny samochodowy wyścig tatrzański. Szczególnie lubili go miejscowi górale interesujący się nowinkami technicznymi. Był to czas, gdy w Zakopanem pojawiły się taksówki, a inni przewoźnicy na gwałt unowocześniali swoje pojazdy: „Kogo nie było stać na cały samochód – wspominał Rafał Malczewski – kupował pneumatyki i nimi opatrywał fiakierskie koła. Tak samo

eprasa.pl 468442f1bb

zmieniły się nazwy koni: do zaprzęgu i do roboty na polu. Coraz mniej było Basiek, Kub, Franków czy Gniadych. Z kozłów rozlegał się krzyk: »Wio, Bugatti, wio, Lancia, Alfa Romeo lub Hispano Suiza«".

Reklama autorstwa Wojciecha Kossaka FOT. MUZEUM NARODOWE W WARSZAWIE

Tragedia pod Łowiczem

Jak na modnego artystę przystało, Eugeniusz Bodo również zapałał miłością do automobilizmu i kupił eleganckiego, sześciocylindrowego chevroleta. Zadbał oczywiście o odpowiednie uprawnienia i ukończył kurs w szkole prowadzonej przez braci Mariana i Michała Reczków. Niestety, zbyt szybko chciał zostać mistrzem kierownicy, co zakończyło się tragedią.

Tuż po zdobyciu prawa jazdy postanowił wyjechać na jeden dzień na Powszechną Wystawę Krajową. Eskapada do Poznania była poważnym wyzwaniem dla świeżo upieczonego kierowcy (następnego dnia wieczorem miał pojawić się na kolejnym przedstawieniu rewii), ale Bodo koniecznie chciał wypróbować nowy pojazd. Namówił na podróż kilkoro znajomych i wieczorem 25 maja 1929 r., po spektaklu w kabarecie Morskie Oko, zajął miejsce za kierownicą auta. Towarzyszyli mu Witold Roland, tancerka Zofia Oldyńska oraz bracia Reczkowie, przed którymi chciał się wykazać swoimi umiejętnościami.

Wesołe towarzystwo odjeżdżało spod teatru żegnane przez kolegów. Orkiestra grała tango „On nie powróci już", które było przebojem najnowszego programu Morskiego Oka:

On nie powróci już,
Więc szkoda twoich łez,
On nie powróci już,
Marzeniom połóż kres.

Do tragedii doszło ok. drugiej w nocy. W pobliżu Łowicza budowano most na Bzurze i w związku z tym wyznaczono objazd. Bodo wjechał w wybrukowaną kocimi łbami ulicę, która miała dwa ostre zakręty. Nie były one oznakowane, a co gorsza – po lewej stronie ulicy stały słupy telegraficzne, które dodatkowo zmyliły kierowcę. Droga bowiem zakręcała, a ciąg słupów biegł dalej prosto, przecinając tory kolejowe.

Samochód jechał z prędkością zaledwie 40 km/h, ale uderzył w pryzmę kamieni, a następnie dachował. Roland zmarł w wyniku złamania kręgosłupa, Oldyńska złamała rękę, a dla reszty kraksa skończyła się na potłuczeniach. Pasów bezpieczeństwa w tamtej epoce jeszcze nie znano…

Gazety podały informację o wypadku na pierwszych stronach; była to prawdziwa sensacja dnia. Spore zainteresowanie wzbudził też fakt, że tego samego wieczoru Bodo wziął udział w przedstawieniu rewii. Był profesjonalistą i wiedział, że pomimo całej tragedii „show must go on". Nietrudno się jednak domyślić, co czuł, gdy razem z Nowicką wykonywał to nieszczęsne tango, którym żegnano go przed wyjazdem do Poznania. Na szczęście program niebawem spadł z afisza, co Eugeniuszowi przyniosło dużą ulgę.

Bodo nie zwierzał się nikomu z tego, co odczuwał po śmierci przyjaciela. Cała sprawa odcisnęła jednak na nim swoje piętno. Tym bardziej że prowadził samochód, będąc pod wpływem alkoholu. We wraku znaleziono bowiem puste butelki po koniaku i wódce, a jeden z policjantów zeznał, że od kierowcy i zabitego czuł alkohol. Wprawdzie nie znano jeszcze wówczas metod badania poziomu alkoholu we krwi, ale nietrzeźwość uznawano za okoliczność obciążającą. Zapewne właśnie z tego powodu Bodo przestał pić napoje wyskokowe. Odmawiał nawet reklamowania wódek Baczewskiego, twierdząc, że jako abstynent będzie w tej roli nieprzekonujący.

Wypadek nad Bzurą znalazł swój epilog w sądzie – na ławie oskarżonych zasiedli Bodo oraz przedstawiciele łowickich władz. Wypowiadali się biegli, ponieważ podstawowym problemem, który miano rozstrzygnąć podczas rozprawy, było fatalne oznakowanie drogi.

Sąd uznał oskarżonych za winnych. Burmistrz Łowicza, jego zastępca i jeden z członków magistratu zostali skazani na trzy miesiące więzienia, natomiast wobec Bodo orzeczono wyrok półroczny, zawieszając go jednak na trzy lata. Niedługo później kara ta uległa zatarciu na mocy ogłoszonej amnestii.

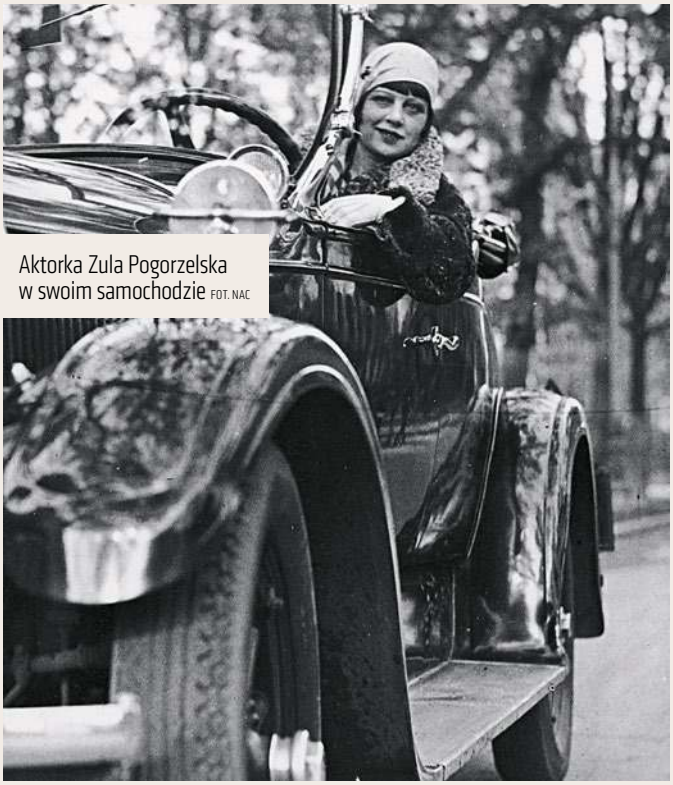

Aktorka Zula Pogorzelska w swoim samochodzie FOT. NAC

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

WYBRANA BIBLIOGRAFIA:
Malczewski R., ***„Pępek świata. Wspomnienia z Zakopanego",*** *Łomianki 2000; Praca zbiorowa,* ***„Jest u nas fabryka w Warszawie… Opowieść o FSO",*** *Warszawa 1999; Tarczyński J., Kondracki T.,* ***„Samochody Drugiej Rzeczypospolitej",*** *Warszawa 2013; Zimińska-Sygietyńska M.,* ***„Nie żyłam samotnie",*** *Warszawa 1985.*

eprasa.pl 468442f1bb

Marszałek nad Niemnem w Druskienikach FOT. NAC

1924–1934 / W Polsce i poza krajem

Piłsudski na wywczasach

Tomasz Stańczyk

Najdłuższe wakacje Marszałka trwały ponad trzy miesiące. Spędził je bez rodziny na atlantyckiej wyspie. Ten pobyt okrywa pewna tajemnica

W 1923 r. Józef Piłsudski otrzymał w darze od wojska wybudowany dla niego i rodziny dworek Milusin w Sulejówku. Formę domu wybrano nieprzypadkowo, gdyż Marszałek urodził się we dworze – w Zułowie. Po maju 1926 r., gdy Piłsudscy zamieszkali w Belwederze, przyjeżdżali do Sulejówka na wypoczynek. Mieli również inny dom – dwór w Pikieliszkach na Wileńszczyźnie – wraz z ziemią, którą otrzymali jako odznaczeni Orderem Virtuti Militari. „Nigdzie nie był Marszałek tak wesół, niefrasobliwy, jak tutaj, w gronie kochanej rodziny i w ciszy »wsiowej«" – stwierdzała Maria Jehanne Wielopolska.

Od 1930 r. rodzina Piłsudskich spędzała wakacje w Pikieliszkach – zwykle sześciotygodniowe, ciesząc się panującym tam spokojem, bujną naturą i jeziorem Żałosa. Piłsudski wykupił prawo do polowania na jeziorze, by nikt nie strzelał do ptactwa wodnego. Łowił natomiast ryby i raki. Podczas pierwszych wakacji spędzonych w Pikieliszkach zamówił łódkę, podkreślając, że ma być takiego kształtu jak te na Syberii. Plany dostarczył Związek Sybiraków. Na tej łódce Piłsudski uczył córki Wandę i Jadwigę wiosłowania. Poświęcając im w czasie wolnym od pracy wiele uwagi, założył „Towarzystwo Rzeczy Przyjemnych, a Niekoniecznie Pożytecznych", do którego należeli tylko on i one. „Zajęcia obejmowały m.in. wspólne czytanie, poznawanie przyrody, wieczorne opowiadania o zwyczajach i obyczajach różnych ludzi świata" – pisał Jerzy Surwiło.

Nad Niemnem

Pierwszy rok w Sulejówku upłynął na urządzaniu się w nowym domu, dlatego też w 1923 r. Piłsudscy nigdzie nie wyjeżdżali na wypoczynek. Rok później wybrali się wraz z córkami do Druskienik, uzdrowiska położonego malowniczo wśród ogromnych lasów nad Niemnem. Autorzy broszury „Druskieniki – zdrojowisko nad Niemnem" pisali o nich: „Leczą spokojem swej przyrody, tą przedziwną ciszą, tym szmerem Niemna, który coś mówi dla wszystkich i każdego z osobna". Było to świetne miejsce dla ludzi o zszarganych nerwach – a te Piłsudski miał z pewnością nadwerężone po czterech lat pełnienia urzędu Naczelnika Państwa, pełnych starć z przeciwnikami politycznymi. W Druskienikach leczono także infekcje górnych dróg oddechowych, na które często cierpiał Marszałek, z pew-

eprasa.pl 468442f1bb

Józef Piłsudski z rodziną w Pikieliszkach. Pierwsza z lewej: córka Jadwiga. Po lewej ręce Marszałka: jego siostra Zofia Kadenacy FOT. NAC

ością także dlatego, że był nałogowym palaczem. Można było tu brać kąpiele oraz inhalacje solankowe i Piłsudski z nich korzystał.

Ale bodaj tylko dwa razy Marszałek wypoczywał nad Niemnem z rodziną. Później przyjeżdżał sam, między innymi, a może właśnie przede wszystkim dlatego, że w Druskienikach poznał pracującą tam lekarkę fizjoterapeutkę Eugenię Lewicką, sporo młodszą od niego. Piłsudskiemu spodobały się jej żywiołowość i rzutkość. Lewicka założyła zakład Kąpiele Powietrzno-Słoneczne przekształcony później w Zakład Leczniczego Stosowania Słońca, Powietrza i Ruchu. Była propagatorką sportu i wychowania fizycznego, co bardzo doceniał Piłsudski. Z pewnością zauroczył się Lewicką i była ona osobą bardzo mu bliską. Jak bardzo, tego jednak dokładnie nie wiadomo.

Jednym z najbardziej znanych zdjęć Piłsudskiego jest to, na którym leży w swobodnej pozie na skarpie nad Niemnem, z nieodłącznym papierosem, lekceważąc sobie zasady bezpieczeństwa. Na przeciwnym brzegu rzeki była Litwa i dla wprawnego strzelca wyborowego Marszałek mógł być łatwym celem. Piłsudski spoglądał na litewski brzeg z sentymentem i jednocześnie z melancholią. Na Litwie, w Sugintach, znajdował się grób jego ukochanej matki, gniazdo rodowe – Piłsudy, groby Piłsudskich w Krokach. Ale Marszałek nie mógł marzyć o odwiedzeniu tych miejsc. Po tym, jak gen. Żeligowski zajął w 1920 r. na jego rozkaz Wilno, Litwa odnosiła się do niego i do Polski lodowato.

Dla Piłsudskiego nie było ucieczki od polityki na wakacjach w Druskienikach. W 1926 r. przebywał tam krótko po zamachu majowym i przyjmował premiera Bartla, a w 1930 r. ministra spraw zagranicznych Italii – Dina Grandiego. Podejmował też innych gości ze świata polityki. Mieszkał w skromnym drewnianym domku z bali na Pogance, a wieczory spędzał przy lampie naftowej.

Wstążka w Morzu Czarnym

W sierpniu 1928 r. Piłsudski wyjechał na sześć tygodni do Rumunii. Nie były to

Marszałek na werandzie domu na Pogance w Druskienikach FOT. NAC

wakacje w pełnym znaczeniu tego słowa, gdyż miał sporo oficjalnych spotkań – z królową Marią w jej rezydencji w Sinai i drugi raz w pałacu królewskim w Mamai, nad Morzem Czarnym. Rozmawiał z rumuńskim premierem i ministrem spraw zagranicznych, obserwował ćwiczenia lotnicze. Mieszkał początkowo nieopodal Târgoviște, w domu letnim dr. Lucjana Skupiewskiego, byłego wicemera Bukaresztu i posła do parlamentu rumuńskiego, a później przeniósł się nad morze. Doszło tam do zabawnego eksperymentu, przeprowadzonego na prośbę córek – Wandy i Jadwigi – potwierdzonego protokołem:

„Niniejszym podaję urzędowo do wiadomości dla wszystkich dzieci polskich, iż w dniu 29 sierpnia 1928 r. niżej podpisany [mjr Ludwig – przyp. T.S.] przeprowadził w rumuńskim porcie Konstanca, na rozkaz, w obecności i pod nadzorem Pierwszego Marszałka Polski Józefa Piłsudskiego następujące doświadczenie, mające na celu zbadanie, co się stanie z niebieską wstążką, pogrążoną w Morzu Czarnym. Załączona przy niniejszym [protokole – przyp. T.S.] wstążka niebieskiego koloru została na przeciąg godziny przywiązana do burty okrętu, na którym Pan Marszałek odbywał przejażdżkę po Morzu Czarnym. Wstążka przez cały czas była pogrążona w falach tego morza. Po wydobyciu wstążki z toni morskiej stwierdzono, iż kolor jej znacznie pociemniał, jednak po wysuszeniu powróciła do dawnej barwy. Chwilowe pociemnienie przypisać więc należy tylko zmoczeniu wstążki. W ten sposób stwierdzono doświadczalnie i bezspornie, że wstążka niebieska, pogrążona w Morzu Czarnym, pozostaje nadal niebieską". Protokół ten sporządzony w dwóch egzemplarzach otrzymały córki Marszałka oraz dzieci przeprowadzającego eksperyment mjr. Ludwiga.

Piłsudski wiele podróżował samochodem po Rumunii, jak po żadnym innym kraju, w którym był na wakacjach. Zwiedził m.in. Siedmiogród, a tam Kluż, Albę, Sibiu i Braszów.

W październiku 1931 r. Piłsudski ponownie przyjechał do Rumunii na dwa tygodnie. Zamieszkał w miejscowości Techirghiol, koło Konstancy nad Morzem Czarnym. Trafił jednak na fatalną pogodę: było zimno, wiało, padał deszcz. Marszałek rozchorował się na zapalenie płuc i bardzo złościł się na lekarzy, że podczas kuracji nie może palić papierosów.

Na Atlantyku

Na początku listopada 1930 r. premier Piłsudski oświadczył na posiedzeniu rządu, że zamierza podać się do dymisji. Mówił, że „nadwyrężył się tak silnie i poirytował, że boi się rozmawiać z ludźmi". Marszałek był rzeczywiście w złej formie po brutalnej rozprawie z opozycją

eprasa.pl 468442f1bb

Józef Piłsudski i Eugenia Lewicka u brzegów Madery FOT. NAC

i aresztowaniu jej liderów. Kosztowało go to wiele zdrowia. „Koniec 1930 r. był przełomowy w życiu Marszałka Piłsudskiego. Z jednej strony zbiegał się z ostatecznym Jego triumfem osobistym w Polsce, z drugiej zaś był, niestety, początkiem postępującego coraz szybciej upadku sił fizycznych" – pisał Mieczysław Lepecki.

Piłsudski oświadczył, że wybiera się na dłuższe wakacje, lecz zaskoczeniem dla wszystkich było to, że będą one trwały aż trzy i pół miesiąca. Aby odsunąć się jak najdalej od spraw krajowych, wybrał portugalską wyspę Maderę. Miała łagodny klimat, idealny dla wyczerpanych nerwowo i chorych na płuca – jak pisał „Głos Poranny" 19 grudnia 1930 r, w dniu wyjazdu Piłsudskiego z Warszawy. Do Lizbony podróżował pociągiem, a tam wsiadł na statek.

Dla Marszałka została wynajęta willa Quinta Bettencourt na przedmieściach Funchalu – głównego miasta wyspy – z dużym ogrodem i widokiem na morze. Niewiele się stamtąd ruszał. Był na wycieczce łodzią wzdłuż brzegów wyspy, chciał zobaczyć Madalena do Mar, w której według legendy mieszkał i został pochowany, żyjący tam incognito, uratowany z bitwy pod Warną król Władysław III. Jednak do miejscowości tej nie było dobrego dojazdu, więc Marszałek zrezygnował. Na Maderze napisał „Poprawki historyczne" – ostatnią swoją książkę. Była to ostra polemika głównie ze wspomnieniami Ignacego Daszyńskiego. Piłsudski, świadomie lub nie, popełnił w niej trochę błędów i nieścisłości, skorygowanych bez jego wiedzy podczas redagowania książki przez historyka Władysława Pobóg-Malinowskiego, za zgodą gen. Juliana Stachiewicza, szefa Wojskowego Biura Historycznego. Obaj narażali się bardzo, gdyż Piłsudski, oddając im maszynopis, zażądał, żeby tekst wydrukowano, niczego nie zmieniając. Na szczęście Marszałek nie zajrzał do egzemplarza autorskiego.

W marcu 1931 r. poczta w Funchalu została zasypana tysiącami kartek pocztowych, które zostały wysłane z Polski na imieniny Józefa (19 marca). Nie była to jednak spontaniczna inicjatywa, lecz propagandowa akcja rządu. Piłsudski najbardziej lubił czytać kartki od dzieci, a była wśród nich i ta ze słowami: „Życzę panu Marszałkowi, ażeby pan Marszałek był grzeczny, jadł dużo bananów i był tłusty". Opozycja też miała życzenia dla Piłsudskiego wypoczywającego na Maderze: „Sto lat, sto lat, niechaj żyje tam...".

Przez jakiś czas towarzyszyła Piłsudskiemu – wraz z dr. Marcinem Woyczyńskim – bliska mu dr Eugenia Lewicka. Opuściła Maderę na długo przed powrotem Marszałka do Polski. Można podejrzewać, że otoczenie Piłsudskiego postanowiło definitywnie odsunąć ją od Marszałka i zapewne z taką misją przyjechał na Maderę kpt. Mieczysław Lepecki, który już został w Quinta Bettencourt. Kilka miesięcy po powrocie z Madery dr Lewicka popełniła samobójstwo.

W cieniu piramid

W marcu 1932 r. Marszałek wybrał się do Egiptu z Mieczysławem Lepeckim, który po pobycie na Maderze został jego adiutantem, oraz z dr. Marcinem Woyczyńskim. Dojechali koleją do rumuńskiej Konstancy, gdzie wsiedli na statek. Zamieszkali w Heluanie pod Kairem, w willi Iola wynajętej od orientalisty Bohdana Rychtera. Z jej okien widać było piramidy w Gizie i Sakkarze. Gdy Piłsudski zamieszkał w willi, wywieszono na niej flagę polską i zielony sztandar proroka z białym półksiężycem i trzema białymi gwiazdami.

„Piękna jest ta willa Iola – relacjonował »Światowid« – zbudowana ongi przez egipskiego dostojnika Szanki Paszę. Pomimo że ziemię urodzajną trzeba było sprowadzać z daleka na wielbłądach (willa leży już bowiem na pustyni), ma ona wyjątkowo duży i piękny ogród z ulubionymi przez Arabów sztucznymi grotami. Wielkie trawniki, wspaniałe palmy, nawet rzadkie w Egipcie rozmaite egzotyczne

Józef Piłsudski z egipskimi dziećmi FOT. NAC

eprasa.pl 468442f1bb

rośliny obok naszych topól i sosen, i karłowatych brzóz z dalekiej północy".

Powietrze pustynne było czyste i przesycone ozonem, temperatura natomiast podczas pobytu Marszałka była umiarkowana: 24 st. C dzień i 16 w nocy. Jak zwykle podczas wakacji Piłsudski większość czasu spędzał na miejscu, dużo czytał, obłożywszy się zabranymi z kraju książkami o pierwszej wojnie światowej oraz o polskich walkach o niepodległość. Grywał w szachy z chargé d'affaires poselstwa Mieczysławem Malińskim, do którego miał słabość jako do swego krajana, mówiącego z wileńskim akcentem. Piłsudski, strateg wojskowy, grał – co dziwne – słabo w szachy. Maliński, chcąc mu sprawić przyjemność, pozwalał niekiedy dawać sobie mata, co wprawiało Marszałka w dobry nastrój.

Piłsudski chciał odpocząć od polityki. Dlatego też, wsiadając do pociągu z Aleksandrii do Kairu, nie zgodził się na żaden wywiad, choć nalegali na to zebrani na dworcu dziennikarze. Wzbraniał się przed złożeniem wizyty królowi Fuadowi, traktował bowiem pobyt w Egipcie jako ściśle prywatny. A król chciał go podjąć z pełnym ceremoniałem i przepychem. Piłsudski nie godził się na to. Maliński opowiadał, że codziennie „suszono go i duszono" w egipskim MSZ, by Marszałek pojechał do króla. Piłsudski postawił warunki: nie będzie żadnego bankietu ani innego rodzaju przyjęcia i nie będą obowiązywały galowe stroje. Trzy kwadranse i herbata – tak proponował, by wyglądało spotkanie. Herbata rzeczywiście była, ale na zakończenie obiadu. A w menu znajdowały się – jak skrupulatnie zanotował Lepecki – langusta po warszawsku, szparagi po polsku i egipski przysmak kunafa – ciasto serowe. Ponieważ muzułmanie nie piją alkoholu, kieliszki z winem stały tylko przed Marszałkiem i towarzyszącymi mu osobami.

Piłsudski nie lubił ruszać się ze swojej willi. Maliński namówił go jednak na przejażdżkę w stronę piramid w Gizie. Marszałek nawet nie kazał zatrzymać auta, popatrzył chwilę przez szybę na piramidy, po czym powiedział beznamiętnie: „No tak, zupełnie jak na obrazkach". Nie był też zainteresowany obejrzeniem ruin starożytnego miasta Dionysas, co proponował mu Lepecki. Marszałek

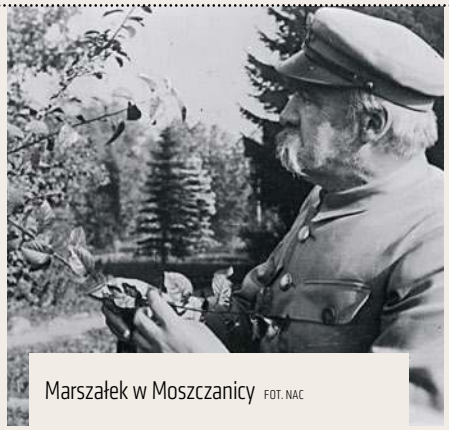

Marszałek w Moszczanicy FOT. NAC

skrzywił się i powiedział: „Znowu te czterdzieści wieków". Znacznie bardziej interesowały go cuda natury, dlatego też kazał się zawieźć do oazy Fajum i nad jezioro Birket Karun. W drodze powrotnej zażyczył sobie jednak obejrzeć piramidę Amenemhata III w Hawarze. Wracał do kraju przez Grecję i Turcję, zwiedzając Akropol i Hagię Sophię.

Ostatnie wakacje

Rok później Marszałek pojechał do najcieplejszego miejsca, jakie można było znaleźć w Polsce – do Zaleszczyk nad Dniestrem, graniczną rzeką z Rumunią. Temperatura dochodziła tam niekiedy do 50 st. C w słońcu i tak właśnie było podczas wakacji Marszałka we wrześniu 1932 r. Na lokum dla Piłsudskiego została wybrana dawna willa zarządu drogowego – jej ściany udekorowano kilimami huculskimi. Lepecki uzyskał zgodę od baronowej Turnau, której pałac sąsiadował z willą, na zajęcie części jej parku i ogrodzenie go płotem z desek, by Piłsudski nieniepokojony mógł swobodnie spacerować. Marszałek nie brał kąpieli słonecznych nad Dniestrem i nie chłodził się w nim. Natomiast wysoki brzeg rzeki przypominał mu syberyjską rzekę Lenę, jak powiedział również przebywającemu na wypoczynku w Zaleszczykach inżynierowi Stefanowi Juszczyńskiemu, współtowarzyszowi zesłania w Tunce. Jak zwykle podczas wakacji w kraju nie był to całkowity wypoczynek od spraw urzędowych. W Zaleszczykach Piłsudski przyjął ministra Józefa Becka, dwóch wojewodów i pracował nad planem wielkiej rewii kawalerii z okazji 300-lecia zwycięstwa Jana III pod Wiedniem.

Syberyjskie skojarzenia nie opuściły Piłsudskiego także podczas jego ostatnich wakacji, w 1934 r. Zamieszkał wtedy w wynajętym dworze Władysława i Marii Kępińskich w Moszczanicy koło Żywca. Spośród pokoi, które miał do dyspozycji, najbardziej lubił ten, z którego mógł patrzeć na porośnięte sosnami wzgórze. Przypominało mu ono Syberię. „O kilkanaście kroków od dworu szumi las, zowią go Gajka. Jest tam cudne, balsamiczne powietrze, samą żywicą zda się nasycone, cisza przedziwna, samo zdrowie, prężące w słońcu ramiona" – pisał dziennikarz „Ilustrowanego Kuriera Codziennego" z okazji pobytu Marszałka w Moszczanicy. Piłsudski dużo spacerował po parku, interesując się, tak jak w Sulejówku, roślinami. Adiutantowi Lepeckiemu „wskazywał ciekawsze krzaki i kwiaty, które zaobserwował poprzednio, porównywał wszystko z Pikieliszkami i Sulejówkiem [...]. Przystawał długie chwile przy klombach kwiatowych, to znowu przy grzędach w warzywniku, nachylał się, brał do ręki kwiaty i liście".

Pobyt Piłsudskiego w Moszczanicy trudno jednak nazwać prawdziwym relaksem. „Dziwne są te wypoczynki Marszałka Piłsudskiego – wspominał Lepecki. – Niby to urlop, ale »drzwi się nie zamykają«, a książki i papierzyska z biurka nigdy nie znikają". W drodze powrotnej z Genewy przyjechał do Moszczanicy minister Beck. Odbyła się tam również gra wojenna z udziałem kilkunastu oficerów. Na własne życzenie przyjął tylko kpt. Jerzego Bajana i sierż. Gustawa Pokrzywkę, niedawnych zwycięzców lotniczego Challange'u w Warszawie.

W lutym 1935 r. Piłsudski, myśląc o wakacjach, zapytał Lepeckiego, gdzie teraz jest znośna i przy tym słoneczna pogoda. Adiutant wymienił Maltę, Cypr, Wyspy Kanaryjskie, ale Marszałek wszystkie te propozycje odrzucił. Ożywił się dopiero wtedy, gdy Lepecki zaproponował Baleary. W związku z tym Lepecki zaczął przygotowywać plan podróży. Jednak bardzo szybko zdrowie Marszałka zaczęło się gwałtownie pogarszać. Zmarł trzy miesiące później. ©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

WYBRANA BIBLIOGRAFIA:

Lepecki M., ***„Pamiętniki adiutanta marszałka Piłsudskiego"***; *Surwiło J.*, ***„Spacerkiem z Marszałkiem po Żmudzi, Wilnie i Wileńszczyźnie"***; *Wielopolska M.J.*, ***„Józef Piłsudski w życiu codziennym"***; *Zbyszewski W.*, ***„Gawędy o czasach i ludziach"***.

eprasa.pl 468442f1bb

DC-2 na lotnisku w Lyddzie (Palestyna)

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, LIBRARY OF CONGRESS

1923–1939 / Od Aerolotu do LOT-u

Podróże w przestworzach

Anna Szczepańska

PLL LOT były jedną z najlepszych linii lotniczych w Europie. Dzięki nim Polacy latali nie tylko po kraju, lecz także do wielu miast za granicą – od Rzymu do Aten

W czerwcu 1945 r. „Życie Warszawy" podawało: „W Polsce sprzed września 1939 roku czynniki rządzące nie doceniały znaczenia żeglugi powietrznej. Pod tym względem w chwili obecnej przeżywamy kompletny zwrot, bowiem Prezydent Państwa ob. Bierut i Naczelny Wódz Wojsk Polskich gen. broni Rola-Żymierski osobiście interesują się sprawami żeglugi powietrznej".

Było to kłamstwo. W latach 30. polskie lotnictwo cywilne przeżywało rozkwit, wbrew temu, co twierdziła komunistyczna propaganda. Polska dwudziestolecia międzywojennego, dopiero co odrodzone państwo, mogła pochwalić się pokaźną flotą samolotów i bogatą siatką połączeń. Do tego, jak na kraj, w którym – dla kontrastu – w latach 30. jeździło wciąż bardzo mało samochodów, stosunkowo wielu Polaków miało już za sobą podniebne wojaże. A jak to wszystko się zaczęło?

Pierwsze przewozy pasażerskie, jeszcze nieregularne, odbywały się już przed pierwszą wojną światową. Stałe połączenie lotnicze jako pierwsi zorganizowali Niemcy w 1919 r. Poszerzanie siatki połączeń było możliwe dzięki modernizacji samolotów wojskowych, głównie bombowców, które przerabiano na samoloty pasażerskie.

Odrodzona Rzeczpospolita od razu zrozumiała konieczność wejścia do wyścigu w lotniczym transporcie cywilnym. W październiku 1919 r. Polska dołączyła do międzynarodowej Konwencji Urządzającej Żeglugę Powietrzną. Dokument ten, jako pierwszy na świecie, regulował zasady funkcjonowania ruchu lotniczego.

Pomysł rozwinięcia transportu powietrznego w Polsce wyszedł od pilotów z Wojskowej Stacji Lotniczej w Poznaniu-Ławicy. Polskie lotnictwo miało być oparte na istniejących już aerodromach: na warszawskim Mokotowie, w Krakowie-Rakowicach, w Poznaniu-Ławicy i we Lwowie-Lewandówce.

Polskie junkersy

W 1919 r. powstało Polskie Towarzystwo Żeglugi Napowietrznej, które zaproponowało założenie towarzystwa (spółki akcyjnej) z udziałem Skarbu Państwa, polskich przedsiębiorców i angielskiej firmy Handley-Page. Działał w niej m.in. książę Stanisław Lubomirski, od dawna interesujący się lotnictwem. Już 1910 r. utworzył Warszawskie Towarzystwo Lotnicze Awiata, które założyło pierwszą fabrykę lotniczą na ziemiach polskich.

Połączenie Gdańsk – Warszawa – Kraków miało być pierwszą pasażerską trasą Awiaty. Obsługiwać ją miał bombowiec Handley-Page O/400, zakupiony jeszcze w tym samym roku, w którym dla wygody pasażerów zamontowano 10 trzcinowych foteli. Samolot, ze względu na kłopoty finansowe firmy, nigdy jednak nie wyruszył w rejs.

eprasa.pl 468442f1bb

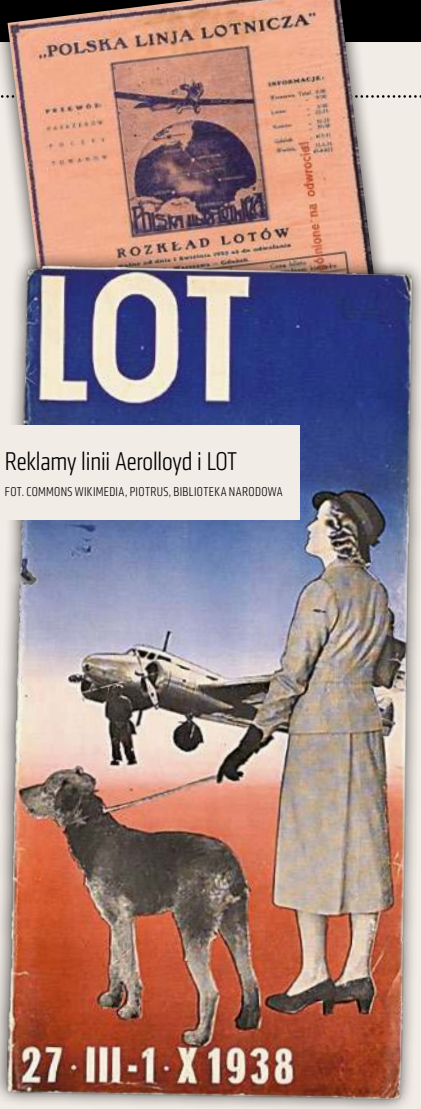

Reklamy linii Aerolloyd i LOT

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, PIOTRUS, BIBLIOTEKA NARODOWA

W tym czasie zainteresowanie lotami do Polski wykazywali Niemcy i Francuzi. Propozycje tych pierwszych odrzucono, natomiast w lipcu 1920 r. podpisana została umowa z Francją, na której mocy przedłużono trasę z Paryża do Pragi (przez Strasburg) o Warszawę. Inauguracja tego połączenia miała miejsce 20 września 1920 r. (przetrwało ono aż do roku 1938).

Pół roku później, podczas Targów Poznańskich, działające w tym mieście towarzystwo Aero-Targ (stworzone pod patronatem Aeroklubu Polskiego) otworzyło trasy Poznań – Warszawa i Poznań– Gdańsk. Podróże cieszyły się dużym zainteresowaniem, choć połączenia te obsługiwane były zaledwie kilka dni, w czasie trwania Targów. Po ich zakończeniu Aero-Targ nie otrzymał przedłużenia koncesji.

Pierwszą polską linią lotniczą wykonującą regularne połączenia był powstały 3 czerwca 1922 r. Aerolloyd (trzy lata później zmienił nazwę na Aerolot). Właścicielami firmy byli przedsiębiorcy naftowi; pobierała ona jednocześnie subwencje od rządu i miała wsparcie Wojska Polskiego, które udostępniało jej lotniska. Pierwszymi obsługiwanymi trasami były Warszawa – Lwów i Warszawa – Gdańsk. W kolejnym roku otwarto połączenie ze stolicy do Krakowa, które w 1925 r. przedłużono do Wiednia.

Przedsiębiorstwo było początkowo mocno związane z niemieckim rynkiem lotniczym – to stamtąd pochodziły samoloty, a ponadto korzystano z usług niemieckich mechaników i polegano na umiejętnościach tamtejszych pilotów. W 1923 r. Ministerstwo Kolei Żelaznych (przez kilka lat, z powodu braku odpowiedniego urzędu, to właśnie ono zajmowało się lotnictwem) nakazało rezygnację z niemieckiej pomocy. Personel wymieniono na polski, a nazwę firmy na Aerolot. Warsztaty naprawcze powstały w Warszawie i Krakowie (wcześniej warsztat znajdował się w Wolnym Mieście Gdańsku). Pozostawiono jedynie bardzo dobre niemieckie junkersy F-13, które jednak kupowano w Szwecji, a nie w Niemczech.

Aerolot cieszył się rosnącą popularnością. W latach 1922–1928 przewiózł 27,5 tys. pasażerów i 724 tony towarów. W tym czasie po polskim niebie latały też inne firmy, w tym początkowo prężnie rozwijająca się Aero, która powstała w 1925 r. z inicjatywy lotników i polityków z Wielkopolski. W Warszawie patrzono na nich łaskawszym okiem ze względu na brak powiązań z Niemcami. Jednak firma szybko zaczęła mieć problemy finansowe, a poza tym posiadała gorszej jakości maszyny (Farman F-70), co skutkowało tym, że latała na stałe tylko na trasie Poznań – Warszawa.

Pod koniec lat 20. dla polskich władz było już oczywiste, że dalszy rozwój lotnictwa cywilnego jest koniecznością. Wtedy to w Ministerstwie Komunikacji utworzono departament odpowiedzialny za lotnictwo, a prezydent Ignacy Mościcki podpisał Rozporządzenie Prezydenta RP o prawie lotniczym, pierwszy w dziejach Polski akt prawny regulujący kwestie lotnicze.

12 października 1929 r. w Warszawie odbyła się konferencja międzynarodowa, w czasie której podpisano konwencję, która do dzisiaj pozostaje jedną z najważniejszych międzynarodowych umów dotyczących lotnictwa cywilnego. Umowa wprowadziła m.in. obowiązek wydawania biletów pasażerskich, kwitów bagażowych i listów przewozowych, ustanowiła zasady odpowiedzialności przewoźników za szkody poniesione przez pasażerów, określała także odpowiedzialność przewoźnika za śmierć lub uszkodzenie ciała pasażerów oraz za zgubienie, uszkodzenie lub opóźnienie przewozu bagażu i ładunków.

Narodowy przewoźnik

28 grudnia 1928 r. miało miejsce przełomowe wydarzenie w dziejach polskiego lotnictwa cywilnego – powstanie Polskich Linii Lotniczych LOT. Władze w Warszawie szykowały się do tego od kilku miesięcy, m.in. nie przedłużając koncesji Aerolotowi i Aero oraz wydając wiele zaleceń dotyczących m.in. budowy lotnisk, systemów nawigacyjnych i łączności.

LOT był spółką państwowo-samorządową (sp. z o.o.) o kapitale zakładowym 8 mln zł. Na 100 udziałów spółki 86 posiadał Skarb Państwa. Pozostałe 10 należało do Skarbu Śląskiego, a cztery do samorządów Poznania i Bydgoszczy. Logo LOT, czyli żurawia w locie, zaprojektował Tadeusz Gronowski.

LOT przejął po zlikwidowanych firmach 15 jednosilnikowych junkersów i sześć fokkerów. Pierwsze loty odbyły się już 2 stycznia 1929 r., początkowo na sześciu trasach: Warszawa – Gdańsk, Warszawa – Poznań, Warszawa – Lwów, Warszawa – Katowice i Katowice – Kraków oraz Katowice – Brno – Wiedeń. W ciągu następnych miesięcy uruchomiono kilka kolejnych tras, początkowo tylko krajowych, choć z czasem wydłużano je o miasta zagraniczne. LOT pod koniec lat 30. latał m.in. do Bukaresztu, Sofii, Salonik, Aten, Rygi, Tallina, Berlina, Lyddy w Palestynie, Helsinek, Budapesztu, Belgradu, Wenecji, Rzymu, Kopenhagi i Bejrutu. Ze względu na napięte relacje z Niemcami, Czechosłowacją i ZSRS nie tworzono (lub tworzono je z opóźnieniem) tras do tych państw.

eprasa.pl 468442f1bb

Wyładowywanie bagaży z samolotu Lockheed Electra L-10 FOT. NAC

Pasażerowie lotu Warszawa – Lwów przy samolocie Lockheed L-14 Super Electra FOT. NAC

Już po roku działania LOT zakupił trzysilnikowe fokkery, które częściowo były produkowane w Polsce na licencji holenderskiej. Natomiast w 1933 r. do floty maszyn LOT dołączyły polskie konstrukcje – PWS-24 i PWS-24 bis, zabierające na pokład czterech pasażerów. Dla polskich władz budowa samolotów na terenie kraju była kwestią prestiżową. Niestety, już wkrótce okazało się, że nasze maszyny nie wytrzymują konkurencji ze strony samolotów amerykańskich, tj. Douglasa i Lockheeda. W latach 1935–1938 zakupiono więc ponad 20 maszyn made in USA. Wzbudziły one dużą sensację wśród pasażerów, którzy bardzo chętnie kupowali bilety na trasy, na których latały amerykańskie samoloty. Tuż przed wybuchem drugiej wojny światowej LOT dysponował 26 samolotami. Firma coraz prężniej się rozwijała, zatrudniając niemal 700 wykwalifikowanych pracowników, w tym 25 pilotów, 37 osób personelu latającego i 200 mechaników. W 1939 r. polskimi liniami lotniczymi w podróż wyruszyło 65 tys. osób.

„LOT cieszył się dobrą opinią, choć niektóre procedury nie przypadły pasażerom do gustu – pisze dr hab. Robert Gawkowski w książce »Wypoczynek w II Rzeczpospolitej«. – Zbyt obszerni panowie i pulchne damy protestowali na przykład przeciwko publicznemu ważeniu. Tak, tak! Jeśli potencjalny podróżny ważył zbyt dużo, dla równowagi musiał mieć lżejszą walizkę. Skargi załatwiano polubownie […], zasłaniając punkt ważenia parawanem zapewniającym dyskrecję wszystkim osobom czułym na punkcie swojej wagi".

Specyficzne warunki panowały nie tylko na lotniskach II RP, lecz także w kabinach ówczesnych samolotów. Dziś, podróżując samolotami, możemy cieszyć się w nich pokojową temperaturą, natomiast w dwudziestoleciu międzywojennym przed mrozem w przestworzach pasażerowie sami musieli się bronić. Stąd podróżni byli informowani, że „na lotnisku przed odlotem można wypożyczyć za niską opłatą ciepłe pledy".

LOT miał bardzo ambitne plany. W drugiej połowie 1939 r. do Polski miały dotrzeć kolejne nowe maszyny, planowano też następne połączenia. Od roku 1940 r. w ofercie miała pojawić się podróż do Paryża, Mińska, Moskwy oraz Stanów Zjednoczonych. Lot testowy na trasie USA – Polska wykonano w dniach 13 maja–5 czerwca 1938 r. Lockheed L-14, z dyrektorem LOT Wacławem Makowskim na pokładzie, wystartował z kalifornijskiego Burbank. Po kilku międzylądowaniach w Ameryce Południowej, Afryce i we Włoszech 5 czerwca samolot wylądował w Warszawie, gdzie uczestników wyprawy spotkało huczne przyjęcie. Załoga spędziła w powietrzu 85 godzin i pokonała dystans niemal 25 tys. km. Kolejnym spektakularnym wyczynem było pokonanie trasy z Warszawy do Palestyny z jednym tylko międzylądowaniem.

Innym ważnym zadaniem LOT były usługi aerofotogrametryczne: piloci wykonywali pomiary i zdjęcia lotnicze, na których podstawie tworzono np. mapy.

Grecy na pomoc

LOT prężnie się rozwijał, ale niestety w dwudziestoleciu międzywojennym nie obyło się bez katastrof. 1 grudnia 1936 r. na lotnisku w Bukareszcie Józef Bargiel jako pierwszy wsiadł do lockheeda L-10 Electra. Był doświadczonym pilotem, pracował w PLL LOT od siedmiu lat, miał za sobą 500 tys. km podniebnych podróży i chciał na spokojnie przygotować maszynę do startu. Za nim na pokład wsiedli radiotelegrafista Alfred Życzewski i pięciu pasażerów. Samolot miał wylecieć do Aten. Był to drugi etap podróży z Warszawy do stolicy Grecji. W tamtym czasie taka wyprawa trwała dwa dni.

Kłopoty zaczęły się 45 km od Aten, gdy samolot wleciał w nisko wiszące chmury. W czasach, kiedy nawigacja wciąż nie była doskonała, lot w chmurach w górzystym terenie był bardzo ryzykowny. Około godz. 14.35 doszło do katastrofy. Lecący na wysokości 1000 m n.p.m. samolot zawadził skrzydłem o drzewo i runął na ziemię. W tej arcytrudnej sytuacji pilot zachował jednak zimną krew, ratując pasażerów przed tragedią. Niestety, sam nie przeżył. Samolot rozbił się w pobliżu wsi Malakasa. Jej mieszkańcy natychmiast ruszyli na pomoc poszkodowanym. Poważne rany odniósł Życzewski, natomiast pasażerowie cudem wyszli z wypadku cało. Grecy

Szczątki Lockheeda L-14 Super Electra, który uległ katastrofie w Rumunii FOT. NAC

pomogli im wydostać się z samolotu i wezwali pomoc, zatrzymując przejeżdżający w pobliżu pociąg.

Tragedia pod Malakasą była pierwszą katastrofą z udziałem samolotu LOT. Jej okoliczności badała specjalna komisja. Mieszkańcy greckiej miejscowości zostali uhonorowani przez polskie władze Brązowym Krzyżem Zasługi. We wsi wzniesiono też pomnik upamiętniający poległego pilota.

Katastrofa pod Malakasą nie była jedynym wypadkiem lotniczym w dwudziestoleciu międzywojennym z udziałem samolotów LOT. Do kolejnego tragicznego wydarzenia doszło niespełna miesiąc później pod Suścem. Był to pierwszy wypadek samolotu pasażerskiego, do którego doszło na terenie Polski.

Również w tym przypadku powodem katastrofy były złe warunki atmosferyczne. Samolot (znów Lockheed Electra) leciał ze Lwowa do Warszawy. Za sterami maszyny siedział Mieczysław Jonikas, a na pokładzie znajdowało się 10 osób. Samolot miał już spore opóźnienie spowodowane niesprzyjającą pogodą, lecz po lekkiej poprawie aury w końcu wystartował. Okienko pogodowe trwało krótko. Niedaleko Tomaszowa Lubelskiego maszyna wpadła w burzę śnieżną. Piętnaście minut przed tragedią radiotelegrafista nadał depeszę o zamarzaniu sterów. O godz. 10.45 pilot zdecydował o lądowaniu awaryjnym, lecz tuż nad ziemią stracił panowanie nad maszyną, która przekręciła się na plecy, a przy zderzeniu rozpadła się i zapaliła. W katastrofie zginęło dwóch pasażerów, a cztery osoby zostały ranne.

Pechowa Electra

Kolejny wypadek samolotu Electra miał miejsce w listopadzie 1937 r. pod Warszawą. Samolot wyleciał z Krakowa o godz. 14.30, a o 15.20 miał lądować na Okęciu, co – ze względu na gęstą mgłę i silny deszcz – okazało się niemożliwe. Maszyna krążyła dłuższy czas w okolicach warszawskiego lotniska, miała nawet odlecieć do Poznania, lecz tam pogoda była jeszcze gorsza. Około godz. 16.20 pilot postanowił podejść do lądowania, lecz po kilkunastu minutach stracił łączność z kierownikiem ruchu na Okęciu. Z nieznanych przyczyn maszyna zaczęła zbaczać na wschód, lecąc coraz niżej. W pewnej chwili samolot wleciał w słupy sieci elektrycznej niedaleko Piaseczna. Przód maszyny wbił się w ziemię, a reszta kadłuba oderwała się i poleciała 50 m dalej. W wyniku katastrofy zginęły cztery osoby, a osiem zostało rannych. Dzięki opanowaniu i doświadczeniu pilota Mieczysława Witkowskiego, który odciął dopływ paliwa do silników, udało się ocalić życie pozostałym osobom.

Ostatni przed drugą wojną światową wypadek z udziałem samolotu w barwach LOT wydarzył się 22 lipca 1938 r. na terenie Rumunii. Była to najbardziej tragiczna w skutkach katastrofa.

Samolot Lockheed L-14 Super Electra (nowocześniejsza wersja Electry) był w drodze z Warszawy do Bukaresztu z dwoma międzylądowaniami: we Lwowie i w Czerniowcach. O godz. 17.38 pilot Władysław Kotarba przekazał lotnisku w Bukareszcie, że warunki atmosferyczne są złe, pada gęsty, drobny deszcz i dochodzi do wyładowań atmosferycznych. Niedługo później maszyna wpadła w korkociąg i spadła na ziemię w lesie Dorotea Latonica w Bukowinie. W wypadku zginęli wszyscy na pokładzie – 14 osób. Jego przyczyny nie zostały w pełni wyjaśnione z powodu wybuchu drugiej wojny światowej.

Poczekalnia na poziomie

Podróże, w czasie których doszło do katastrof, choć wywoływały ogromne poruszenie, to stanowiły jednak tylko ułamek wszystkich lotów, które wykonał polski przewoźnik. Dość często dochodziło natomiast do lądowań awaryjnych, jednak kończyły się one szczęśliwie.

LOT był od początku w znacznym stopniu dotowany przez państwo. Zyski ze sprzedaży biletów i przewozu ładunków pokrywały bowiem ok. 15–30 proc. kosztów funkcjonowania linii. Ceny biletów były bardzo zróżnicowane. Jeżeli trafiło się na okazję, to bilet na podróż po kraju można było kupić za zaledwie 45 zł. W 1937 r. bilet do Rygi kosztował 81 zł, do Berlina 105 zł, a do Aten ponad 400 zł. W cenie biletu zawierały się bagaż

Poczekalnia na lotnisku Okęcie FOT. NAC

o wadze 15 kg oraz, co ważne, transport na lotnisko i z niego.

Zanim powstało Okęcie, pasażerowie w Warszawie czekali na samolot pod gołym niebem na Polu Mokotowskim. O budowie lotniska na Okęciu zadecydowano w 1926 r. i już 29 kwietnia 1934 r. warszawski port lotniczy uroczyście otwarto. Budowa kosztowała 10 mln zł. W inauguracji Okęcia wzięli udział m.in. prezydent, premier, ministrowie, dyrektor LOT i dyrektorzy siedmiu europejskich linii lotniczych oraz korpus dyplomatyczny. Mszę św. polową celebrował z tej okazji bp Józef Gawlina.

Okęcie robiło wrażenie. W poczekalni znajdowały się skórzane meble na chromowanych nogach i wielka mapa z wyrysowaną siatką połączeń. „W dużym pastelowym hallu widzimy kasę biletową, placówkę urzędu celnego, urząd telegraficzno-pocztowy, posterunek policji, kiosk z gazetami itp. Na górnym piętrze mieści się restauracja i wygodny taras, z którego można łatwo ogarnąć wzrokiem całe lotnisko. Wszędzie beton, szkło, marmur" – pisano z zachwytem w 1934 r. w czasopiśmie „Lot i Obrona Przeciwlotniczo-Gazowa Polski".

Druga wojna światowa oznaczała katastrofę również dla polskiego narodowego przewoźnika. Niemcy zajęli lotnisko Okęcie 8 września 1939 r. Polskie samoloty dostały się w ręce wroga lub zostały zniszczone, a infrastruktura lotniska została kompletnie zrujnowana.

WYBRANA BIBLIOGRAFIA:

Lachowski T., ***„LOT z Okęcia. Komunikacja lotnicza na ziemiach polskich 1913–1939";*** *Lachowski T.,* ***„LOT z Polski. Historia narodowego przewoźnika po 1944 roku";*** *Liwiński J.,* ***„Transport lotniczy w Polsce w okresie międzywojennym";*** *Malinowski G.,* ***„Katastrofa lotnicza pod Malakasą"; „Przewodnik polskiej komunikacji lotniczej – lato 1933 – Reprint"*** *(oprac. LOT);* ***„Goniec Częstochowski"; „Kurier Lwowski".***

eprasa.pl 468442f1bb

Wieki XIX i XX / Przeciw zbrodniom Leopolda II

Edmund Dane Morel
FOT. THE UNIVERSITY OF EDINBURGH/ WIKIMEDIA COMMONS

Krucjata Morela

Piotr Włoczyk

Młody Brytyjczyk uparł się, by nagłośnić zbrodnie dokonywane w Kongu na rozkaz władcy Belgii. Udało mu się zorganizować wielką kampanię społeczną, która pokrzyżowała plany Leopolda II

Najpierw pojawiła się propozycja awansu i podwyżki (połączona z przeniesieniem do innego kraju). Gdy odmówił, szef zaproponował mu 200 funtów rocznie (dziś byłoby to ok. 20 tys. funtów) za godzinę „konsultacji" dziennie. Edmund Dane Morel również w tym przypadku odrzucił propozycję. Nic dziwnego, że kierownictwo firmy Elder Dempster robiło wszystko, co mogło, by przekupić swojego pracownika. W grę wchodziło bowiem ujawnienie brudnych sekretów swojego najważniejszego klienta: belgijskiego króla Leopolda II, który bezlitośnie łupił Kongo, zamieniając życie mieszkańców serca Afryki w piekło na ziemi. Szacuje się, że w latach 1880–1920 ludność zamieszkująca te tereny zmniejszyła się o połowę, czyli o 10 mln ludzi.

Dwudziestokilkuletni Morel pracował na przełomie wieków XIX i XX w Belgii, w tamtejszym oddziale Elder Dempster. Ta liverpoolska linia żeglugowa świadczyła niezwykle lukratywne usługi na rzecz Leopolda II, organizując transport do i z jego prywatnej kolonii. Elder Dempster był tu monopolistą wskazanym bezpośrednio przez belgijskiego monarchę. Żadna inna firma nie mogła obsługiwać tej trasy.

„Nadbrzeże w Antwerpii; parowiec zacumowany przy brzegu; dzwony na starej wieży katedry wygrywają melodię »Brabançonne«, narodowy hymn Belgii – wspominał Morel. – Na nabrzeżu i na pokładach parowca ruchliwy, kolorowy tłum. Wojskowe mundury, szelest kobiecych sukni […]. Wielu ma na głowie szerokie, tropikalne, filcowe kapelusze, a na plecach zawieszone strzelby – demonstrują je z dumą po raz pierwszy w życiu. Tu i ówdzie starszy, ogorzały jegomość, który bez wątpienia już to kiedyś przechodził. Na twarze tych lepiej nie patrzeć – rysuje się na nich brutalność, ich oczy są okrutne i pożądliwe. Od takich twarzy człowiek z niesmakiem odwraca wzrok".

Jego uwagę zwróciła dziwna dysproporcja między tym, co przypływało do Antwerpii, a tym, co wypływało w stronę Konga. Parowce Elder Dempster przybywały do portu w Antwerpii pełne kauczuku, kości słoniowej i innych cennych towarów. W drugą stronę wywożono natomiast głównie broń i amunicję...

„Import do Konga w 80 procentach składał się z towarów, których przeznaczenie nie było handlowe. Mimo to Kongo eksportowało coraz większe ilości kauczuku i kości słoniowej, a statystyki handlowe wskazywały, że tubylcy nie otrzymywali za nie nic albo prawie nic. Jak zatem wchodzono w posiadanie kauczuku i kości słoniowej? Z pewnością nie poprzez handel. Za to, co przychodziło, nie wysyłano żadnej zapłaty" – pisał Morel.

Już wcześniej w zachodniej prasie pojawiały się sporadyczne relacje na temat

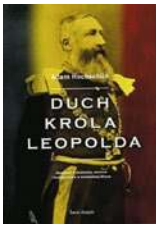

ADAM HOCHSCHILD
„DUCH KRÓLA LEOPOLDA"
ŚWIAT KSIĄŻKI.

eprasa.pl 468442f1bb

okrutnych mordów popełnianych przez Belgów w Kongu, ale Leopoldowi II udawało się różnymi sposobami, również zwykłym przekupstwem, utrzymywać głosy krytyczne pod kontrolą. Dopiero niezwykle zdeterminowany i utalentowany Morel sprawił, że zbrodnicze imperium Leopolda zaczęło się chwiać w posadach.

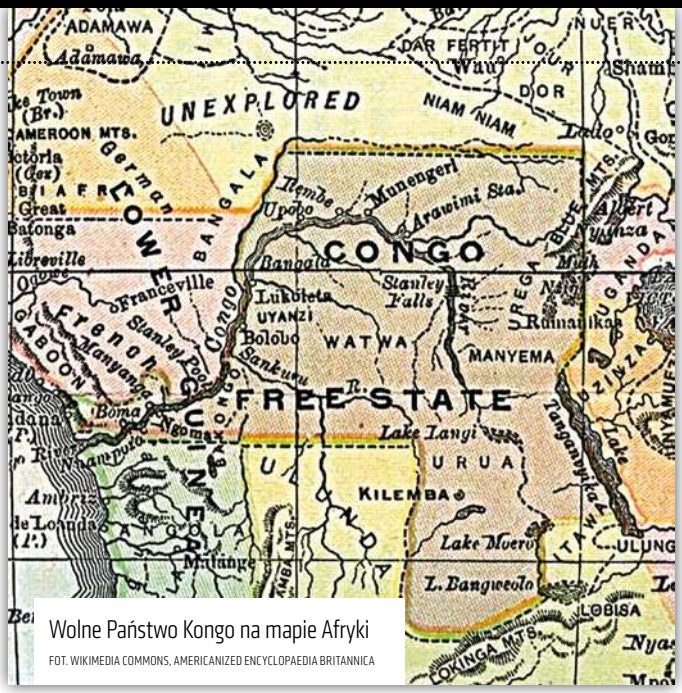

Wolne Państwo Kongo na mapie Afryki
FOT. WIKIMEDIA COMMONS, AMERICANIZED ENCYCLOPAEDIA BRITANNICA

Uwędzone ręce

Zasiadający na belgijskim tronie od 1865 r. Leopold II nie mógł się pogodzić z tym, że jego władza ograniczona jest przez demokrację parlamentarną. Poza tym szczerze gardził Belgią, mawiając, że to „mały kraj małych ludzi". Chciał mieć władzę totalną, ale skoro nie był w staniej jej osiągnąć we własnej ojczyźnie, to postanowił zbudować od podstaw kraj, gdzie będzie mógł rządzić bez jakiejkolwiek kontroli. I tak się stało. Kongo, które za pomocą bardzo skutecznych intryg udało mu się wykroić z afrykańskiego „tortu", było jego prywatną własnością.

– Leopold zaczął się starać o własną kolonię we właściwym czasie, ustawił się na początku „kolejki". Belgijski król organizował konferencje naukowe na temat Afryki, starał się przedstawić jako człowiek, który sam nie ma żadnego własnego interesu w eksplorowaniu tamtych terenów – powiedział w rozmowie ze mną Adam Hochschild, amerykański dziennikarz, autor książki „Duch króla Leopolda". – W Afryce było już wówczas bardzo niewiele terenów nienależących do żadnego z europejskich mocarstw. Olbrzymie dorzecze Konga było jednym z ostatnich takich miejsc. Leopold powołał Międzynarodowe Stowarzyszenie Konga, za którego pomocą zaczął się przedstawiać jako wielki filantrop. Swoje prawdziwe cele związane z Afryką ukrywał jednak przed światem pod maską człowieka, który troszczy się o ludność tubylczą, chce jej nieść postęp, cywilizację, Boga, a także chce walczyć z… handlem niewolnikami. Król Belgii wydawał nawet na ten temat specjalny magazyn po niemiecku, francusku i angielsku, a także przekupywał redaktorów czołowych europejskich gazet, by pisali o nim pozytywne teksty.

Sam Adam Hochschild zainteresował się tym tematem zupełnie przypadkowo. Jak tłumaczy, chciał napisać książkę na zupełnie inny temat i w trakcie zbierania informacji natknął się gdzieś przypadkowo na krótką informację, że pod koniec XIX w. i na początku XX w. w Kongu zginęło 8 mln ludzi. W pierwszej chwili myślał, że to błąd drukarski. Później zdziwił się jeszcze bardziej, gdy odkrył, że w pierwszej dekadzie XX w. kampania na rzecz zakończenia terroru w Kongu była gigantyczną międzynarodową akcją – i to właśnie Morel był jej głównym „motorem".

Leopold II FOT. WIKIMEDIA COMMONS, RIJKSMUSEUM

W 1885 r. mocarstwa obradujące na konferencji w Berlinie zgodziły się, by Leopold przejął na własność 2 mln km kw. w sercu Afryki. W ten sposób powstało Wolne Państwo Kongo (WPK).

Belgijski monarcha bezlitośnie eksploatował Kongo, ściągając stamtąd przede wszystkim dwa towary. Początkowo głównym „hitem" eksportowym WPK była kość słoniowa, ale gdy John Dunlop wynalazł oponę pneumatyczną, doszedł do niej jeszcze kauczuk. Boom na ten surowiec w latach 90. XIX w. oznaczał gigantyczne zyski dla Leopolda. Zanim gdzie indziej na świecie założono plantacje kauczukowców, belgijscy nadzorcy zaganiali do pracy w dżungli, przy dziko rosnących kauczukowcach, rzeszę czarnych mieszkańców WPK.

Leopold stworzył tzw. Force Publique (FP), czyli siły porządkowe złożone z czarnych szeregowców, nadzorowanych przez białych. To oni terroryzowali swoich pobratymców, by zaharowywali się na śmierć dla powiększania majątku Leopolda, a także brutalnie tłumili rebelie.

FP brała w wioskach zakładników – głównie dzieci i kobiety. Wypuszczano ich dopiero wtedy, gdy wioska dostarczyła wystarczająco dużo kauczuku, a dodatkowo zapłaciła jeszcze „okup".

„Bunty wybuchały bardzo często. Na ich czele stawali lokalni wodzowie albo dezerterzy z Force Publique. Rebeliantom udawało się czasem zabić jakiegoś oficera czy agenta handlowego, ale na dłuższą metę nie mieli szans. Mieli za mało broni palnej – mówi Adam Hochschild. – Belgowie okrutnie dławili rebelie, mordując wszystkich na swojej drodze. Pod koniec lat 90. pewien amerykański podróżnik relacjonował, że na 500-kilometrowym odcinku drogi nie ostała się ani jedna wioska. Wszystkie były spalone i usiane trupami. Ludzie często uciekali też do

eprasa.pl 468442f1bb

Oddział Force Publique FOT. WIKIMEDIA COMMONS, BRITISH LIBRARY

dżungli, żeby uniknąć niewolniczej pracy. Wówczas Force Publique paliła im domy. Dziesiątki tysięcy ludzi koczowały więc w dżungli, żywiąc się dzikimi owocami i robakami".

Przerażającymi symbolami władzy Leopolda stały się chicotte, czyli bat z suszonej skóry hipopotama, oraz wiklinowe kosze pełne uwędzonych ludzkich rąk – belgijscy nadzorcy wymagali bowiem, by żołnierze FP przynosili z dżungli dowody swojej skuteczności w karaniu buntowników czy zakładników. Kongo stało się rajem dla wszelkiej maści sadystów. Pewien szwedzki kapitan FP zanotował w dzienniku, że w niecałe pięć miesięcy zabił ponad 500 osób.

Twarde dane

Jeszcze zanim Morel rzucił pracę dla Elder Dempster, miał już pewne doświadczenie dziennikarskie, pisał bowiem o handlu z Afryką m.in. dla „Shipping Telegraph" czy „Liverpool Journal of Commerce". I zdarzało mu się nawet chwalić Leopolda, jak wtedy, gdy stwierdzał: „Wielka przyszłość czeka Kongo i […] te ogromne tereny, zajęte dla swojego kraju przez dalekowzroczność króla Leopolda II, staną się pewnego dnia wspaniałym polem do popisu dla [belgijskiej] przedsiębiorczości".

Jednak stopniowo odkrywając ponure tajemnice Leopolda, Morel nabierał coraz większego dystansu do głównego kontrahenta swoich szefów.

Opis jego śledztwa momentami przypomina horror, jak choćby gdy przedstawia swoją rozmowę z „sekretarzem stanu" Wolnego Państwa Konga. Belgijski urzędnik bardzo zaniepokoił się wyciekiem do prasy na temat dużych ilości broni płynących do Konga.

„Gdy ogrom niedyskrecji zostaje ujawniony, mówca wstaje, trupie policzki nabierają kolorów, głos drży […], długie, kościste ręce sięgają w powietrze. Nie chce słuchać wyjaśnień, nie życzy sobie, by mu przerywano. Raz za razem powtarza z żarliwym naciskiem słowa »secret professionnel«. Jego gesty stają się brutalne". Na tym przede wszystkim zależało Leopoldowi II – na utrzymaniu „sekretu". Morel jednak, mając dostęp do twardych danych przewozowych, nie przestawał prowadzić swojego prywatnego śledztwa. Jak zwraca uwagę Adam Hochschild, posadę w Elder Dempster można porównać do sytuacji z drugiej wojny światowej, gdyby ktoś, kto chciał się dowiedzieć szczegółów na temat zagłady Żydów, pracował w dyrekcji niemieckich kolei.

„Ilość kauczuku i kości słoniowej sprowadzanej z Konga na statkach Elder Dempster znacznie przewyższała dochody wykazywane oficjalnie przez rząd Konga […]. Do czyjej kieszeni wędrowały zatem utajone nadwyżki?" – pytał Morel w swoich zapiskach.

W końcu doszedł do przerażającej konkluzji: „Te liczby powiedziały mi swoją historię […]. Tylko praca przymusowa, straszliwa i nieustanna mogła wyjaśnić te niesłychane dochody […], praca przymusowa, której bezpośrednim beneficjentem był rząd Konga; praca przymusowa, którą kierowali najbliżsi współpracownicy samego króla […]. Znaczenie mojego odkrycia przyprawiło mnie o ból głowy, ale i wściekłość. Odkrycie morderstwa musi być już wystarczająco straszne. Ja odkryłem tajne towarzystwo morderców, którego członkiem był sam król".

W 1901 r., w wieku 28 lat, Morel rzucił pracę i wkrótce stał się najbardziej znanym dziennikarzem śledczym w Wielkiej Brytanii. Gdy redakcje gazet nie zawsze pozwalały mu pisać o Leopoldzie i jego afrykańskim „państwie" wszystkiego, co chciał, założył własną gazetę – „West African Mail". Oczywiście pomogli mu w tym bogaci sponsorzy, którzy sprzyjali jego demaskatorskiej pracy. Morel był wyjątkowo płodny, jeżeli chodzi o opisywanie zbrodni popełnianych przez Belgów w Kongu. Napisał na ten temat trzy książki i setki artykułów, które ukazywały się nie tylko w „West African Mail", lecz także w najważniejszych europejskich gazetach. Każdy, kto miał informacje na temat belgijskich zbrodni w WPK, wiedział, że Morel najlepiej je nagłośni.

„Dar" Leopolda

Brytyjczyk założył Stowarzyszenie na rzecz Reform w Kongu (ang. Congo Reform Association), które stało za bardzo skuteczną, prowadzoną z ogromnym rozmachem kampanią informacyjną na temat zbrodniczego systemu nadzoro-

Okaleczone dzieci kongijskie FOT. UNIVERSITY OF TORONTO

eprasa.pl 468442f1bb

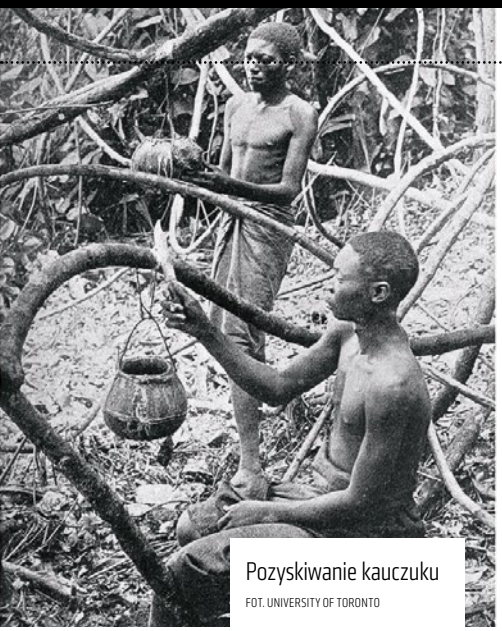

Pozyskiwanie kauczuku
FOT. UNIVERSITY OF TORONTO

wanego przez Leopolda. W ruch na rzecz ratowania mieszkańców Konga zaangażowały się gwiazdy ówczesnej literatury, jak choćby Arthur Conan Doyle, Mark Twain czy Joseph Conrad. Działania te stopniowo przynosiły pozytywne efekty. W 1903 r. Izba Gmin przegłosowała rezolucję, w której wzywano Leopolda II do „ludzkiego zarządzania krajowcami" w Kongu. Zwracano w niej również uwagę na to, że wbrew wcześniejszym zapewnieniom jego afrykańskie posiadłości nie respektowały zasad wolnego handlu. Stanowisko Wielkiej Brytanii bardzo niepokoiło belgijskiego monarchę, ponieważ było to największe światowe mocarstwo, które realnie mogło zaszkodzić jego interesom.

To właśnie głównie dzięki presji zachodniej opinii publicznej, wytworzonej i utrzymywanej przez działalność m.in. Morela, doszło do zmiany, która – jak się zdawało – położy kres cierpieniom Kongijczyków.

– Co ciekawe, ludzie pokroju Morela nie byli przeciwni samej idei kolonializmu – tłumaczy Adam Hochschild. – Uważali natomiast, że jeżeli Leopold przekaże Kongo Belgii, to system niewolniczy i terror w jakiś cudowny sposób przestaną być problemem. Leopold przekazał w końcu w 1908 r., niedługo przed śmiercią, swoją kolonię państwu. Belgia zapłaciła mu za Kongo, więc nie była to z jego strony filantropia. Gdy Kongo stało się belgijskie, władze w Brukseli uznały jednak, że system pozyskiwania kauczuku jest tak opłacalny, iż należy go utrzymać. Terror tylko w niewielkim stopniu zelżał. Dopiero w latach 20. XX w. belgijscy urzędnicy stwierdzili, że trzeba wprowadzić zmiany.

Jednak nie wynikało to z humanitaryzmu, lecz z kwestii bardzo praktycznej. W Kongu zaczęło bowiem brakować rąk do pracy i belgijscy urzędnicy postanowili poprawić nieco warunki, by zmniejszyć śmiertelność.

Dlaczego jednak zbrodnie, o których było tak głośno na początku XX w., już kilkanaście lat później zostały praktycznie zamiecione pod dywan?

– Jeszcze 120 lat temu był to największy, najgłośniejszy skandal na świecie. Pierwsze strony gazet w USA i na zachodzie Europy były poświęcane tekstom nagłaśniającym te zbrodnie – mówi Hochschild. – Belgia stała się pierwszą ofiarą Niemiec w 1914 r. Belgowie byli traktowani bardzo brutalnie przez okupantów, byli przymuszani do pracy, głodzeni, belgijskie bydło zostało wywiezione do Niemiec. Brytyjska i amerykańska propaganda wojenna bazowała w niemałej mierze na haśle przyjścia z pomocą malutkiej, neutralnej Belgii, która została wzięta pod but kajzera. Rozpamiętywanie wszystkich oskarżeń pod adresem Belgów, które jeszcze niedawno pojawiały się w gazetach, nie było na rękę sojusznikom. To była centralnie sterowana amnezja.

Kobalt nowym kauczukiem

Jednak okazuje się, że historia brutalnego wyzysku Kongijczyków wciąż trwa, choć na szczęście jego skala jest już zupełnie inna. Powodem znów są bogactwa naturalne, jednak tym razem chodzi o surowce, które skrywa tamtejsza ziemia. W ostatnich latach jest to przede wszystkim kobalt – niezbędny element sprzętów elektronicznych, bez których nie wyobrażamy sobie dziś życia.

– Do Konga cały czas podłączona jest wielka rura zasysająca jego bogactwa, a tamtejsi mieszkańcy cierpią z powodu przemocy, która towarzyszy eksploatacji ich kraju – powiedział w rozmowie ze mną Siddhartha Kara, amerykański pisarz, ekspert do spraw współczesnego niewolnictwa, autor bestsellerowej książki „Krwawy kobalt. O tym, jak krew Kongijczyków zasila naszą codzienność". – Chciwemu zagarnianiu bogactw naturalnych właściwie zawsze towarzyszy wielka krzywda ludzi zamieszkujących takie tereny. Tego ostatniego rozdziału nie da się w pełni zrozumieć bez poznania historii wyzysku i masowych mordów ery króla Leopolda II. Ironią historii jest to, że wyzysk z czasów belgijskich był napędzany pierwszą rewolucją samochodową, gdy pojawiło się ogromne zapotrzebowanie na kauczuk, który zbierany był systemem quasi-niewolniczym w niekończących się kongijskich lasach. Teraz mamy z kolei do czynienia z drugą rewolucją samochodową, która również skutkuje rabunkiem innego kongijskiego bogactwa – kobaltu. Leopold II, który bezwzględnie rabował Kongo i odpowiadał za śmierć milionów ludzi, twierdził, że wszystko, co robił, było dla dobra

Leopold II w karykaturze brytyjskiego „Puncha"
FOT. COMMONS WIKIMEDIA, EDWARD LINLEY SAMBOURNE

Kongijczyków, że bardzo zależało mu na polepszeniu ich życia. Dziś historia się powtarza. Największe korporacje przekonują, że nie godzą się na pracę dzieci, a ich łańcuchy dostaw są etyczne. Ale gdy wybierzemy się do Konga, łatwo przekonamy się, że to po prostu jedno wielkie kłamstwo.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 468442f1bb

Rakieta RSA-3 FOT. COMMONS WIKIMEDIA, LEO ZA1

XX w. / Mocarstwowe ambicje RPA

Atomem w Castro

Jakub Ostromęcki

Program atomowy Republiki Południowej Afryki doby apartheidu był jedyny w swoim rodzaju. Z założenia wykluczał przeprowadzenie uderzenia wyprzedzającego, a zamiast tego opierał się na straszeniu i szantażu – zarówno wobec wrogów, jak i potencjalnych sojuszników

Rudę uranu na masową skalę wydobywano tu już od 1952 r. Ówczesne dominium brytyjskie o nazwie Związek Południowej Afryki służyło Koronie i Amerykanom jako dostawca tego cennego materiału. Gdy w 1961 r. dominium stało się niepodległą RPA, jej włodarze natychmiast pomyśleli o rozwoju własnego programu atomowego. Szkopuł w tym, że dziś, z powodu zniszczenia dokumentacji i śmierci wielu naukowców oraz polityków, którzy sekrety zabrali do grobu, nie wiemy, czy u swego zarania miał to być na pewno program wprost militarny.

W 1965 r. premier Hendrik Verwoerd podczas ceremonii otwarcia eksperymentalnego reaktora Safari I tak powiedział o materiałach rozszczepialnych: „Obowiązkiem Afryki Południowej jest rozważenie nie tylko przeznaczenia militarnego tych materiałów, lecz także zrobienie wszystkiego, co się da, aby skierować ich działanie na cele pokojowe". Stanowisko to podtrzymał w oficjalnym przemówieniu w 1970 r. premier Balthazar Vorster. Wally R. Grant, szef zespołu inżynierów odpowiedzialnych za wzbogacanie uranu, raportował w tym samym roku, że Afryka Południowa może jak najbardziej zbudować bombę atomową, jednak nie prowadzi się w tym celu żadnych badań. Były jednak i inne wypowiedzi. Andreas Visser, członek tego samego gremium, powiedział: „Powinniśmy mieć bombę, aby zapobiec agresji ze strony krzykliwych krajów afroazjatyckich. Pieniądze to nie problem". W latach 60. do tego dość enigmatycznego opisu pasuje jedynie świeżo niepodległa, komunizująca Zambia, ale Visser, niejako uprzedzając fakty, miał zapewne na myśli każdy subsaharyjski reżim idący na współpracę z komunistycznymi Chinami.

Grzyb nad buszem

Prawda o celach RPA leży gdzieś pośrodku. Naukowcy oraz – o dziwo – armia nie byli w latach 60. zainteresowani bombą. Podkreślano, że program służy pozyskaniu wzbogaconego uranu lub plutonu do celów pokojowych jako towaru

eprasa.pl 468442f1bb

eksportowego do krajów zachodnich. Od lat 60. pracowano też nad tzw. urządzeniem do pokojowych eksplozji nuklearnych, które w zasadzie działa identycznie jak bomba atomowa, z tym że nie nadaje się do przenoszenia przez rakiety czy samoloty. Przerobienie takiego urządzenia na głowicę bojową dla państwa rozwiniętego, którym była RPA, nie stanowiło jednak problemu. Można zatem powiedzieć, że środowisko naukowe w latach 60., zadowolone z postępów, powoli oswajało się z możliwością stworzenia bomby atomowej.

Wszystko zmienił oczywiście rok 1975. Upadły wtedy portugalskie rządy kolonialne w Angoli i Mozambiku. W krajach tych natychmiast doszli do władzy czarnoskórzy komuniści, za jeden z głównych celów upatrując sobie wyzwolenie swoich pobratymców spod władzy białych w Rodezji (dziś Zimbabwe), Afryce Południowo-Zachodniej (dziś Namibia) i w samej RPA. W Angoli ten ambitny plan pokrzyżowała wtedy rodzima „prawicowa" partyzantka UNITA, której lokalni komuniści nie potrafili zgnieść. W reakcji na to do kraju z „bratnią pomocą" natychmiast wyruszyli sowieccy doradcy wojskowi, a Kubańczycy wysłali kontyngent wojskowy z lotnictwem, czołgami i artylerią. W Mozambiku aktywni stali się też doradcy z komunistycznych Chin. USA, wyczerpane wojną w Wietnamie, nie zamierzały interweniować, bojąc się utknięcia w kolejnej dżungli, co przywódcy RPA odebrali jako zdradę zachodnich ideałów. I wtedy południowoafrykańscy naukowcy, wojskowi i politycy zaczęli mówić jednym głosem: musimy stworzyć bombę atomową, aby powstrzymać wroga. „Czas przekuć pługi w miecze, bo nadchodzi bitwa" – po kilku latach skwitował ponuro premier Pieter Botha.

Hendrik Verwoerd

FOT. COMMONS.WIKIMEDIA, SNIKKERS ANEFO, NATIONAL ARCHIEF

Początkowo głównym celem ataku jądrowego miały być komunistyczne organizacje murzyńskie działające w Namibii i RPA, jak Włócznia Narodu, które nie cofały się przed stosowaniem terroryzmu. Jaki był jednak sens bombardowania kryjących się w buszu czy w slumsach działaczy za pomocą broni atomowej i to często na terytorium własnego państwa? Byłby to kompletny absurd. Przywódcy RPA zamierzali za pomocą owej broni straszyć rządy Angoli, Mozambiku, Zambii, potem Zimbabwe, że zbombardują ich stolice, jeśli państwa te będą udzielały schronienia organizacjom terrorystycznym. Sytuacja zmieniała się, gdy wojska RPA starły się w Angoli z Kubańczykami w czasie tzw. wojny granicznej. Na razie Afrykanerzy radzili sobie z nimi za pomocą czołgów i artylerii, jednak zadawali sobie cały czas pytanie, co się stanie, jeśli po stronie wojsk Castro znajdą się regularne siły sowieckie. Nuklearne uderzenie w miejsce koncentracji wrogich czołgów i ton paliwa z pewnością byłoby dla RPA chwilowym sukcesem, ale mogło się wiązać z nuklearnym kontruderzeniem Sowietów, a to byłoby dla Afryki Południowej katastrofą.

Przywódcy RPA zamierzali więc potraktować bombę w sposób dość oryginalny – jako broń polityczną. Jej użycie miało wyglądać następująco: jeśli RPA stanęłaby w obliczu konfrontacji z Sowietami, to zamierzała najpierw oficjalnie poformować państwa zachodnie, że posiada broń atomową i zamierza jej użyć przeciwko komunistom. To miałoby skłonić Zachód, na czele z USA, do interwencji po stronie RPA, niekoniecznie polegającej na wysłaniu wojska, ale choćby na wysłaniu gróźb pod adresem Kubańczyków i Sowietów. Jeśli to by nie poskutkowało, to zamierzano przeprowadzić testowy wybuch podziemny – jest to chyba jedyny przykład, gdy w czasie wojny zamierzano broń demonstrować, zamiast użyć jej na polu bitwy. Jeśli test podziemny na nikim nie zrobiłby wrażenia, to zamierzano powtórzyć go nad oceanem tysiąc kilometrów od wybrzeża. Dopiero potem, w akcie desperacji, zamierzano zrzucić bomby na nacierające siły sojuszu Kuby, Sowietów i państw afrykańskich. Co ważne, byłoby to użycie taktyczne, tylko przeciw wojskom, a nie strategiczne, czyli niszczące całe miasta, jak mgliście zakładano to jeszcze w latach 60.

Uran lepszy niż pluton

W 1975 r. RPA nie miała jednak jeszcze bomby. Do dyspozycji były wówczas trzy technologie. Najstarsza to tzw. bomba-działo. Nazwa pochodzi stąd, że rdzeniem bomby jest wąska rura. W jednym jej końcu tkwi stożkowy pocisk ze wzbogaconego uranu, a w drugim, niczym pastylki izotoniczne, umieszczone są dyski z tego samego materiału. Na skutek konwencjonalnej detonacji pocisk uderza w dyski i w ułamku sekundy stapia się z nimi w tzw. masę nadkrytyczną. W pobliżu znajduje się inicjator polonu i berylu mający kształt i rozmiar zapalniczki, który w tej samej chwili strzela w ową masę swoimi neutronami, doprowadzając do eksplozji. Na takiej zasadzie działała bomba zrzucona na Hiroszimę.

Bardziej zaawansowaną konstrukcją były bomby, w których materiałem rozszczepialnym był pluton. Tutaj

eprasa.pl 468442f1bb

rdzeń bomby miał kształt kuli, która na skutek konwencjonalnej eksplozji zapadała się do środka, powodując eksplozję nuklearną – stąd inna jej nazwa: bomba implozyjna. Taką bombą był Fat Man zrzucony na Nagasaki.

Najbardziej zaawansowana była oczywiście bomba termojądrowa, zwana też wodorową, składająca się niejako z dwóch nuklearnych ładunków, z których pierwszy, rozszczepialny, inicjuje syntezę jądrową w drugiej części bomby, powodując eksplozję jeszcze potężniejszą od bomb nuklearnych z końca drugiej wojny światowej.

W latach 70. arsenały sowiecki i amerykański bazowały już w większości na bombach wodorowych. RPA prowadziła badania teoretyczne nad taką bronią, ale z racji kosztów zrezygnowano z niej, słusznie przyjmując założenie, że na czerwonych kacyków wystarczy starsza (i tańsza) technologia.

Każda z klasycznych bomb atomowych miała swoje zalety i wady. Bomba typu „działo" wymagała wydobycia olbrzymich ilości rudy uranu. Sama surowa fluorescencyjna kopalina jest bowiem bezużyteczna. Trzeba jeszcze uzyskać z niej uran klasy wojskowej, czyli metalowy dysk zawierający ok. 90 proc. izotopu uranu (U-235). Dość powiedzieć, że z jednej tony rudy uranu można wytworzyć raptem kilkadziesiąt gramów takiego izotopu, najpierw zamieniając metal w gaz, a potem znów w ciało stałe. Sama bomba oparta na tej technologii jest jednak dość prosta.

Z kolei pluton potrzebny do budowy bomby implozyjnej trzeba wytworzyć w reaktorze atomowym. Jest to praca dużo szybsza i tańsza od wzbogacania uranu. Konstrukcja takiej bomby była jednak dużo bardziej misterna niż w przypadku „bomby-działa" typu Little Boy. RPA miała pod dostatkiem rudy uranu, więc tamtejsze władze stwierdziły, że lepiej trudzić się wzbogacaniem pierwiastka, niż zmagać się z wymagającą technologią bomby implozyjnej.

Zachodnia pomoc

Program atomowy RPA zawdzięczał wiele państwom zachodnim. Szczegóły wzbogacania uranu Afrykanerzy musieli opracować jednak sami, i to w warunkach nakładanych na ich kraj od 1963 r. międzynarodowych sankcji, będących karą za apartheid. RPA zamiast wirówek do wzbogacania uranu stosowała więc prostszą technologię – do rury zagiętej pod odpowiednim kątem z olbrzymią prędkością wtryskiwano sześciofluorek uranu, który wpadał w ruch obrotowy, wytrącając z siebie wzbogacony uran. I tu jednak nie obyło się bez trudności. Okazało się bowiem, że na całym świecie nie można było znaleźć wysokiej jakości uszczelek do kompresorów dostarczających gaz do owych rur. W RPA uruchomiono więc własną produkcję tych – zdawałoby się – prostych elementów. Ledwo uzyskano pierwsze gramy wzbogaconego uranu, a w zakładzie doszło do awarii, tzw. dnia chaosu, który wstrzymał cały proces. Okazało się, że cenny sześciofluorek uranu zniknął z rur wirowych... Odnaleziono go w instalacji hydraulicznej i filtrach, które przy okazji zniszczył. Usunięcie awarii i przywrócenie produkcji zajęło… dwa lata. Ostatecznie do roku 1987 zbudowano w RPA sześć bomb atomowych, a kolejna była w fazie produkcji.

Ładunek atomowy wraz z rurą umieszczono w nowoczesnych jak na tamte czasy bombach szybujących typu Raptor, zwanych też H2. Samolot zwalniał taką bombę ok. 100 km od celu. Natychmiast uruchamiał się jej silnik pozwalający kontynuować dalszy lot samodzielnie. Bomba ta była prawdziwym cudem techniki. Celność zawdzięczała naprowadzaniu na cel przez kilka różnych systemów. Dla pewności lotnictwo RPA wykonywało nalot na cel za pomocą dwóch samolotów, z których jeden zrzucał bombę, a drugi utrzymywał z nią łączność.

Atomowe bombardowanie wroga wykonywać miały samoloty szturmowe Blackburn Buccaneer (brytyjskiej produkcji). Były to maszyny solidne, ale jednak poddźwiękowe, co było sporym problemem w przypadku przedzierania się przez wrogą obronę przeciwlotniczą. Wiedząc o tym, RPA już w latach 70. zaczęła szukać alternatywnego środka przenoszenia, czyli rakiet. I tu dochodzimy do najdziwniejszego wątku afrykanerskiego programu atomowego. Do jego sukcesu walnie przyczynił się bowiem… Izrael.

Wspólny cel

Jest to sytuacja zaskakująca. Balthazar Vorster, premier RPA w latach 1966–1978, u progu swojej kariery politycznej był skrajnym nacjonalistą, antysemitą, piewcą polityki III Rzeszy i oczywiście przeciwnikiem przystąpienia Związku Południowej Afryki do wojny po stronie aliantów. W Afryce Południowej jeszcze kilka lat po drugiej wojnie światowej na porządku dziennym były groźby wobec Żydów ze strony bojówek zwanych Szarymi Koszulami. Polityka ta skończyła się jak nożem uciął w latach 50. Twórcy apartheidu podeszli bowiem do kwestii rasy dużo bardziej pragmatycznie niż Hitler i uznali, że skoro Żydzi z wyglądu (i stopnia ucywilizowania) niewiele różnią się np. od Włochów, to znaczy, że

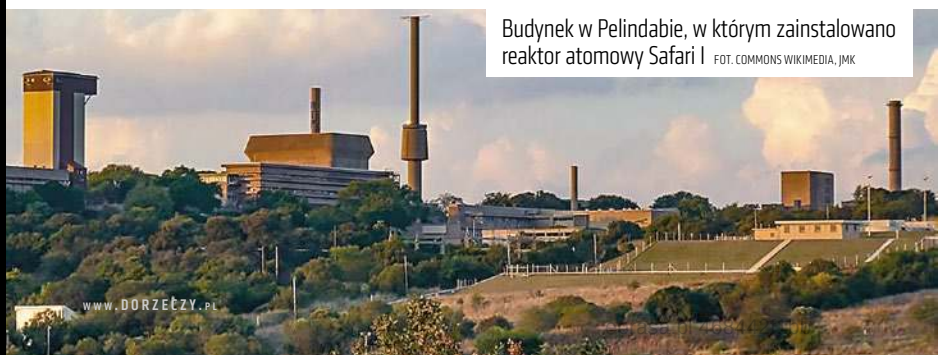

Budynek w Pelindabie, w którym zainstalowano reaktor atomowy Safari I FOT. COMMONS WIKIMEDIA, JMK

Blackburn Buccaneer
FOT. COMMONS WIKIMEDIA, COL ANDRÉ KRITZINGER

Ampułka z kryształami heksafluorku uranu
FOT. COMMONS WIKIMEDIA, ARGONNE NATIONAL LABORATORY US DEPT OF ENERGY

są biali. Południowoafrykańscy Żydzi, widząc w tym szansę na przetrwanie i godne życie, zapomnieli o moralnych rozterkach i tak rozpoczęła się ich symbioza z jednym z najbardziej rasistowskich systemów na świecie.

Weźmy choćby prokuratora generalnego RPA, który w 1964 r. wsadził Nelsona Mandelę do więzienia na 27 lat – był on jednocześnie liderem społeczności żydowskiej w Johannesburgu. Wieści o tej żydowsko-afrykanerskiej symbiozie bardzo szybko dotarły do Izraela. W Pretorii i Tel Awiwie rządzący zdali sobie sprawę, że więcej ich łączy, niż dzieli. Oba kraje widziały bowiem siebie w roli wysp cywilizacji leżących na morzu komunizującej dziczy – tu murzyńskiej, tam arabskiej. W 1974 r. zawarto więc umowę o współpracy wojskowej, a w 1976 r. Vorster, były nazista, podejmowany był w Izraelu z najwyższymi honorami. Alon Liel, były ambasador Izraela w RPA, mówił po latach dla brytyjskiego „Guardiana": „Stworzyliśmy południowoafrykański przemysł zbrojeniowy […]. Zwykle my dawaliśmy im wiedzę i technologię, a oni nam pieniądze. Po 1976 r. między resortami siłowymi obu krajów zapanowała prawdziwa miłość".

Pod koniec lat 80. w MSZ Izraela zastanawiano się nad zerwaniem tego romansu w imię walki z rasistowskim apartheidem. Pomysł ten oburzył izraelskich „siłowików". „Nasz przemysł zbrojeniowy nie istniałby, gdyby nie nasi klienci z RPA" – wspominał owe rozmowy Liel. Wkład Izraela w rozwój sił zbrojnych RPA był olbrzymi – opisana wyżej bomba Raptor wzorowana była na technologii izraelskiej.

Oprócz handlu technologiami kwitła też wymiana materiałów rozszczepialnych. Do Izraela płynęła więc oczyszczona ruda uranu, a do RPA tryt potrzebny do budowy bomby wodorowej. Izrael zyskiwał w RPA wielkie przestrzenie, gdzie bezkarnie mógł testować swoją broń nuklearną. Test taki najprawdopodobniej odbył się we wrześniu 1979 r. nad Oceanem Indyjskim, ok. 2 tys. km na południowy wschód od wybrzeża. Do dziś nie wiadomo, czy testowano wtedy pocisk rakietowy czy bombę lotniczą. Był to znakomity moment. Dwa lata wcześniej Sowieci wykryli bowiem, że na pustyni Kalahari budowane są podziemne szyby do testowania broni atomowej. Natychmiast poinformowali o tym Amerykanów, którzy wymusili na RPA wstrzymanie całej operacji, choć Afrykanerzy nie mieli jeszcze wówczas wystarczającej ilości wzbogaconego uranu, aby taką eksplozję wywołać. Test nad morzem przeprowadzony wspólnie z Izraelczykami był więc znakomitą okazją, aby uniknąć kolejnych połajanek, gróźb i bliżej przyjrzeć się działaniu prawdziwej bomby atomowej.

Latające Jerycho

Wisienką na torcie umowy Afrykanerów z Izraelitami było osiem rakiet Jerycho (wraz z głowicami atomowymi, tym razem plutonowymi), które Izrael mógł sprzedać RPA niejako od ręki. Ostatecznie Afryka Południowa nigdy nie nabyła tych rakiet, ale na licencji Jerycha zbudowano własne pociski o nazwach RSA-3 i RSA-4, choć zamontowanie w nich ciężkich i nieporęcznych głowic typu „działo" było problematyczne. Test jednej z takich rakiet (bez ładunku nuklearnego) odbył się w 1989 r.

Sowieci śledzili te postępy, ponieważ od lat 70. mieli swojego szpiega w południowoafrykańskim sztabie generalnym – Dietera Gerhardta. Wraz z sekretarzami RPA „kret" wysyłał też do Moskwy informacje na temat technologii i poczynań Brytyjczyków oraz Francuzów. Gerhardt poszedł za to w 1983 r. do więzienia, ale już dziewięć lat później, w związku z demontażem apartheidu, wypuszczono go, a kilka lat później, jako bojownika walki z rasizmem, zrehabilitowano.

Wraz z dojściem do władzy Afrykańskiego Kongresu Narodowego republika przestała być krajem rządzonym przez białych, tak więc nie miała już wrogów u swoich granicach

Ledwo Afrykanerzy zbudowali swoje sześć bomb atomowych, a już musieli pociąć je na żyletki. W wyniku tzw. porozumień nowojorskich od końca lat 80. w Angoli nie było już Kubańczyków, a wojska RPA wycofały się z Namibii. Pod potężną presją międzynarodową upadł w końcu apartheid. Wraz z dojściem do władzy Afrykańskiego Kongresu Narodowego republika przestała być krajem rządzonym przez białych, tak więc nie miała już wrogów u swoich granic. W 1994 r. Międzynarodowa Agencja Energii Atomowej potwierdziła demontaż wszystkich siedmiu bomb, aczkolwiek w magazynach pozostało sporo wzbogaconego uranu (w 2014 r. znajdowało się tam jeszcze kilkaset kilogramów). Część z tych zapasów użyto do produkcji izotopów medycznych. Dziś jedynym widocznym śladem programu atomowego RPA jest elektrownia jądrowa Koeberg.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Elektrownia atomowa Koeberg
FOT. COMMONS WIKIMEDIA, PIPODESIGN PHILIPP P EGLI

Führer podczas inspekcji „Leibstandarte SS Adolf Hitler", Berlin, 1935 r.

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, BUNDESARCHIV

1933–1945 / Elita Waffen-SS

Pretorianie Hitlera

Arkadiusz Karbowiak

1. Dywizja Pancerna SS była uważana na froncie wschodnim za „straż pożarną". Pod koniec wojny Führer właściwie napluł tym esesmanom prosto w twarz

Stu siedemnastu esesmanów miało ochraniać samo serce rodzącego się nazistowskiego państwa. Ten specjalny oddział SS powstał na mocy decyzji podjętej 17 marca 1933 r. przez nowo wybranego kanclerza. Esesmani z jednostki „Leibstandarte Adolf Hitler" mieli pełnić funkcje wartowniczo-ochronne w budynkach rządowych, w tym szczególnie w kancelarii Rzeszy. Tak rozpoczęła się historia 1. Dywizji Pancernej SS „Leibstandarte Adolf Hitler" (LSSAH), jednej z najbardziej elitarnych jednostek w gronie 38. dywizji Waffen-SS.

„Czarną gwardię" Hitlera włączono do powstałych w 1934 r. SS-Verfügungstruppe (SS-VT), czyli Oddziałów Dyspozycyjnych SS (od 1940 r. obowiązywała nazwa Waffen-SS), stanowiących rodzaj sił zbrojnych NSDAP. Dowódcą powstałego pułku LSSAH mianowano charyzmatycznego Bawarczyka, Josefa „Seppa" Dietricha, weterana pierwszej wojny światowej odznaczonego Krzyżem Żelaznym II klasy.

Pierwszym bojowym sprawdzianem „czarnej gwardii" była kampania w Polsce. Pułk LSSAH wkroczył do Rzeczypospolitej jako jednostka zmotoryzowana działająca w składzie XIII Korpusu Armijnego. Rankiem 1 września 1939 r. esesmani z plutonu dowodzonego przez SS-Obersturmführera Alberta Freya uchwycili most na Prośnie leżący w miejscowości Gola. Zanim do tego doszło, ostrzelano z karabinów maszynowych placówkę Straży Granicznej (zginął wtedy jeden polski funkcjonariusz, a drugi został ciężko ranny).

Następnie 9. kompania III batalionu ruszyła w kierunku Chróścina, a potem podeszła pod Bolesławiec. Na południowym skraju miasta Niemcy wpadli w zasadzkę. Żołnierze Wojska Polskiego otworzyli ogień z działek przeciwpancernych, trafiając w dwa ciężkie samochody pancerne. W efekcie pułk LSSAH poniósł pierwsze starty. Około godz. 9.20 Bolesławiec został zajęty. Udział LSSAH w kampanii w Polsce oceniony został bardzo krytycznie przez dowódców Wehrmachtu. Generał Walther von Brauchitsch w trakcie dyskusji na temat start poniesionych przez pułk we wrześniu 1939 r. (108 zabitych, 3 zaginionych, 292 rannych, 15 zabitych w wypadkach) stwierdził: „Zapłacili cenę za bycie policjantami przebranymi w wojskowe mundury". Cieniem na „chrzcie" bojowym LSSAH w Polsce położyła się kwestia zbrodni wojennych. Należy zaliczyć do

eprasa.pl 468442f1bb

nich mord dokonany na rozkaz SS-Hauptsturmführera Hermana Müllera-Johna, naczelnego kapelmistrza dywizyjnej orkiestry, który nakazał swym podwładnym zamordować 18 września 1939 r. w Błoniu 40–50 Żydów, za co zresztą został aresztowany (a później amnestionowany przez Hitlera).

Żołnierze 1. Dywizji Pancernej „Leibstandarte SS Adolf Hitler" wkraczają do Taganrogu, 1941 r. FOT. NAC

Zabłąkana kula

Kolejną kampanią, w której żołnierze pułku LSSAH wzięli udział, były walki na Zachodzie w maju 1940 r. W dniu jej rozpoczęcia (10 maja) pododdziały pułku agresywnym atakiem wdarły się 80 km w głąb terytorium Holandii. Początkowe dobre wrażenie przykrył jednak incydent z 14 maja 1940 r., gdy podczas rozmów niemiecko-holenderskich na temat kapitulacji toczących się w Rotterdamie do miasta wkroczył oddział LSSAH i wdał się w strzelaninę z holenderskimi żołnierzami. W trakcie wymiany ognia ciężko zraniony zostały w głowę uczestniczący w tych rozmowach gen. Kurt Student, dowódca 7. Dywizji Lotniczej. Abstrahując od tego, że była to kula wystrzelona przez esesmanów, do czego nie chcieli się przyznać, Leibstandarte znów spotkała się z falą negatywnych opinii ze strony Wehrmachtu – jednostka przedstawiana była jako grupa awanturników lekkomyślnie sięgających po broń.

Nawiasem mówiąc, niewiele brakowało, aby podczas działań wojennych we Francji życie stracił dowódca jednostki – „Sepp" Dietrich. 28 maja, w dniu swoich urodzin, gdy jechał do miejsca postoju II batalionu, jego samochód został ostrzelany. Pasażerom udało się wydostać z pojazdu i schronić w przepuście pod drogą, ale wyciekająca płonąca benzyna spowodowała, że jedynym ratunkiem było wysmarowanie się błotem. I w takim stanie znaleźli ich żołnierze Wehrmachtu... Ich wygląd naturalnie wywołał wiele komentarzy.

Ostrzelanie auta dowódcy jednostki miało swoje tragiczne konsekwencje. Tego samego dnia w Wormhoudt esesmani (prawdopodobnie na rozkaz SS-Hauptsturmführera Wilhelma Mohnkego) zamordowali w akcie zemsty 81 brytyjskich jeńców z Royal Warwickshire Regiment. Ta ewidentna zbrodnia wojenna nie spotkała się z żadną reakcją ze strony władz zwierzchnich.

Prawdziwy kunszt wojskowy żołnierze już nie pułku, lecz brygady pokazali w czasie inwazji na Grecję. Właśnie w słonecznej Helladzie podkomendnym Dietricha wyznaczono zadanie uderzenia przez przełęcz Klidi. Uczestniczący w szturmie żołnierze Kampfgruppe SS-Sturmbannführera Franza Witta zwarli się boju z żołnierzami australijskiej 6. DP. Do szczególnie zaciętych walk wręcz doszło na wzgórzu 997, które zdobyła 1. kompania SS-Obersturmführera Gerharda Plesissa (nagrodzono go za to Krzyżem Rycerskim). Do niemieckiej niewoli trafiło 520 jeńców, natomiast zajęcie przełęczy kosztowało atakujących 37 zabitych i 95 rannych.

Generał Georg Stumme, dowódca korpusu, w ramach którego walczyła LSSHA, pogratulował zwycięstwa podkomendnym Dietricha. Dzięki nim droga do wnętrza Grecji została otwarta. Nie był to ostatni sukces tej brygady w trakcie kampanii greckiej. W dniach 12–14 kwietnia batalion rozpoznawczy pod dowództwem SS-Sturmbannführera Kurta Meyera przebił się przez przełęcz Klisura i zajął miasto Kastoria, gdzie poddało mu się 12 tys. greckich żołnierzy. Zwieńczeniem zwycięskiej kampanii LSSAH było podpisanie 20 kwietnia 1941 r. przez Dietricha, wspólnie z gen. Jeorjosem Tsolakoglu, aktu kapitulacji armii greckiej, co wywołało irytację ze strony niezaproszonych na tę uroczystość Włochów. Z tego powodu dokument kapitulacyjny trzeba było podpisać po raz kolejny, tym razem z ich udziałem.

SS-Sturmbannführer Kurt Meyer FOT. BUNDESARCHIV

Wsie w ogniu

Prawdziwym wyzwaniem dla LSSAH okazała się wojna z ZSRS. 1 lipca 1941 r. esesmani pojawili się na linii frontu, wchodząc do walki na przyczółku nad Styrem niedaleko Łucka. Następnie w ramach XIII Korpusu Armijnego (KA) bronili 30-kilometrowego odcinka frontu na zachód od Żytomierza przed kontratakami Armii Czerwonej, tylko 14 lipca biorąc do niewoli 600 jeńców. Walki na froncie wschodnim były bez porównania cięższe od tych, które żołnierze brygady mieli okazję toczyć do tej pory. Potwierdzała to wielkość strat. Do 20 lipca wyniosły one 683 zabitych rannych i zaginionych. 24 lipca LSSAH przeniesiono z XIII KA do XXXXVIII KA. W ramach tego ostatniego brygada likwidowała kocioł pod Humaniem. Osiągnięcia na polu walki powodowały, że generałowie Wehrmachtu zaczęli starać się o ściągnięcie „Leibstandarte" do własnych korpusów. O dobrych notowaniach esesmanów świadczył rozkaz pochwalny dowódcy XXXXVIII KA gen. Wernera Kempfa.

Cechą charakterystyczną zmagań na froncie wschodnim były popełniane przez obie strony zbrodnie wojenne. Żołnierze LSSAH zetknęli się z takimi mordami już 3 lipca, kiedy przejeżdżając przez wieś Broniki, znaleźli zwłoki

eprasa.pl 468442f1bb

153 zabitych żołnierzy 25. Dywizji Zmotoryzowanej. 15 sierpnia w miejscowości Grejgowa natknęli się na 98 powieszonych w sadzie żołnierzy 16. Dywizji Pancernej (według innej wersji było ich 41, w tym jeden Węgier). Następnego dnia brygada dostała rozkaz rozstrzelania za tę zbrodnię wszystkich jeńców, którzy wpadną w jej ręce w ciągu kolejnych trzech dni. Nie wiadomo, czy rozkaz pochodził z korpusu czy od Dietricha (według niektórych oficerów miał on zdecydowanie przeciwstawiać się praktykom odwetowym). Erich Kern, reporter wojenny, pracujący wówczas przy Leibstandarte, twierdził w wydanej po wojnie książce, że 4. batalion LSSAH rozstrzelał 4 tys. jeńców.

20 listopada 1941 r. Niemcy uderzyli na Rostów. Na szpicy znajdowała się 3. kompania SS-Hauptsturmführera Heinricha Springera przebrana w sowieckie mundury. Jej żołnierze zapobiegli wysadzeniu mostu kolejowego. W ataku wsparła ich 11. kompania dowodzona przez SS-Hauptsturmführera Jochena Peipera. Mimo że miasto zdobyto, okazało się, że nie da się go utrzymać, w związku z czym jednostki niemieckie zmuszone były wycofać się z Rostowa na pozycję obronną Mius-Sambek. 31 grudnia 1941 r. „Sepp" Dietrich w uznaniu zasług otrzymał z rąk Hitlera Liście Dębu.

Pod koniec maja 1942 r. Leibstandarte wycofano z frontu do odwodu, a w lipcu żołnierze jednostki wyjechali do Francji. Tam 9 listopada 1942 r. LSSAH została przekształcona w Dywizję Grenadierów Pancernych. W styczniu 1943 r. wzmocniona i wypoczęta LSSAH wróciła na Ukrainę, gdzie wraz z dywizjami „Das Reich" i „Totenkopf" znalazła się w składzie Korpusu Pancernego SS. Dowódcy Wehrmachtu zaczęli traktować te jednostki jako swego rodzaju „straż pożarną" frontu wschodniego.

W lutym 1943 r. znajdująca się na prawym skrzydle LSSAH 320. Dywizja Piechoty licząca ponad 10 tys. żołnierzy (w tym 969 rannych) została odcięta przez Armię Czerwoną. Na pomoc podkomendnym gen. Georga-Wilhelma Postela ruszył III batalion pancerny LSSAH pod wodzą SS-Sturmbannführera Jochena Peipera. Esesmani prowadzący kolumnę sanitarną wdarli się 12 lutego na 40 km w głąb wrogiego terytorium i odblokowali okrążonych wehrmachtowców, a następnie osłaniali ich jako straż tylna aż do linii niemieckich. Podczas tej akcji Sowieci zlikwidowali 25-osobową grupę medyków i ochraniających ich esesmanów, za co Peiper w zemście spalił wieś Krasnaja Polana. Kilka dni później, 17 lutego 1943 r., na rozkaz SS-Sturmführera Kurta Meyera batalion rozpoznawczy wymordował 865 osób we wsiach Jefremiwka i Szepietiwka, paląc je doszczętnie. Podobny los spotkał 4 marca Stanicznoje. Wieś została spalona przez batalion Peipera za pomocą zamontowanych na pojazdach lamp lutowniczych przerobionych na miotacze ognia. Tym sposobem do oddziału przylgnęła nazwa „Lötlampen-Bataillon".

Czołg 1. Dywizji Pancernej „Leibstandarte SS Adolf Hitler" w Mediolanie, 1943 r.
FOT. COMMONS WIKIMEDIA, BUNDESARCHIV

Wisch na czele

Dywizję LSSAH zaangażowano w drugiej połowie lutego 1943 r. w przygotowaną przez feldmarszałka Ericha von Mansteina kontrofensywę. Jej efektem było zniszczenie Grupy Pancernej gen. Popowa (cztery gwardyjskie korpusy pancerne i dwie dywizje strzeleckie) oraz VI Korpusu Kawalerii. 14 marca Dywizji Leibstandarte udało się po krwawych zmaganiach odbić Charków. Tego samego dnia na rozkaz nieznanego oficera esesmani wymordowali 400 rannych jeńców sowieckich (dzień wcześniej zginęło w ten sam sposób 300 jeńców). Charkowskie zwycięstwo miało dla LSSAH gorzki smak, ponieważ straty w tych ciężkich zimowych walkach wyniosły 4550 zabitych rannych i zaginionych.

Grupa bojowa Joachima Peipera rozstrzelała pod Malmedy 61 żołnierzy amerykańskich wziętych do niewoli. Nie była to jedyna jej zbrodnia

W nagrodę za zdobycie miasta Dietrich został odznaczony 14 marca Mieczami do Krzyża Rycerskiego. Jednocześnie wyznaczono go na dowódcą I Korpusu Pancernego SS, który miał się składać z dywizji LSSAH i nowo utworzonej dywizji „Hitlerjugend" (HJ). Proces budowania tej siostrzanej jednostki wiązał się z koniecznością przekazania jej przez Leibstandarte wielu doświadczonych oficerów i podoficerów. Do dywizji HJ trafili starzy weterani, tacy jak Franz

SS-Oberstgruppenführer Josef „Sepp" Dietrich (z lewej) w Ardenach, 1944 r.
FOT. COMMONS WIKIMEDIA, BUNDESARCHIV

eprasa.pl 468442f1bb

Witt, Kurt Meyer, Max Wünsche, Wilhelm Mohnke czy Gerhard Bremer. Powstałe w związku z tymi przesunięciami deficyty kadrowe uzupełniano już nie ochotnikami, a słabo przeszkolonymi żołnierzami z Luftwaffe czy Kriegsmarine, a także słabo lub w ogóle niemówiącymi po niemiecku rekrutami, np. Alzatczykami. 4 czerwca 1943 r. dowodzenie Leibstandarte przejął SS-Standartenführer Theodor Wisch, ceniony dowódca 2. pułku grenadierów pancernych, kawaler Krzyża Rycerskiego.

5 lipca, realizując założenia operacji Zitadelle, niemieckie jednostki przystąpiły do natarcia. Znakomicie ufortyfikowane pozycje Sowietów okazały się zbyt trudne do zdobycia. Esesmanom udało się jednak wbić w terytorium wroga na głębokość 29 km. Przy czym nie za bardzo mogli się posuwać dalej, ponieważ ugrzęźnięcie III Korpusu Pancernego oznaczało niebezpieczeństwo sowieckiego natarcia na prawą flankę dywizji. W toku całej operacji dywizja straciła 2753 żołnierzy i oficerów, w tym 474 zabitych. Zniszczeniu uległo 60 czołgów LSSAH, ale żołnierze jednostki zgłosili wyeliminowanie 500 pojazdów przeciwnika.

Zagrożenie zerwaniem przez Włochy sojuszu z Niemcami i perspektywa przejścia Italii do obozu aliantów skłoniły Hitlera do przerzucenia Leibstandarte

pod koniec lipca 1943 r. na Półwysep Apeniński. Esesmani nie zabawili tam jednak zbyt długo, bo już w listopadzie 1943 r. znów byli na froncie wschodnim, tyle że od 24 października 1943 r. służyli w szeregach dywizji pancernej.

Medale w nocnikach

W kwietniu LSSAH przesunięta została do Francji. Tydzień po rozpoczęciu operacji Overlord esesmani weszli do walki z alianckimi siłami inwazyjnymi m.in. w rejonie Caen i pod Falaise. LSSAH w trakcie tych zmagań została praktycznie całkowicie zniszczona. W walkach ciężkie rany odniósł dowódca jednostki – skończyło się na amputacji obu nóg. Wischa zastąpił w związku z tym SS-Brigadeführer Wilhelm Mohnke.

A co się działo wówczas z byłym dowódcą Leibstandarte? Dietrich został awansowany 1 września 1944 r. na stopień SS-Oberstgruppenführera i objął komendę nad 6. Armią Pancerną. Dowodząc nią, brał udział w operacji o kryptonimie Jesienna Mgła (atak w Ardenach). Dietrich od 1943 r. uważał, że wojna jest przegrana, w związku z czym w naturalny sposób był sceptyczny wobec pomysłu przeprowadzenia ofensywy w Ardenach. Zdecydowanie większym entuzjazmem wykazywał się tu dowódca jednej z wywodzących się z LSSAH Grup Bojowych (Kampfgruppe) – Obersturmbannführer Jochen Peiper. Jego Grupie Bojowej wyznaczono zadanie dotarcia w 72 godziny do Mozy (generalnym celem ofensywy było zdobycie Antwerpii). Peiperowi nie udało się tego dokonać i ostatecznie odcięty od głównych sił, po okrążeniu w La Gleize, wyrwał się z potrzasku z 770 żołnierzami i dotarł do linii niemieckich. Jego Grupa Bojowa „zasłynęła" przede wszystkim z rozstrzelania pod Malmedy 71 żołnierzy US Army ujętych na skrzyżowaniu nieopodal Baugnez. Nie była to jedyna zbrodnia oddziału Peipera. W innych miejscowościach jego żołnierze zabili 338 amerykańskich jeńców. Mordy niemieckie spotkały się z odpowiedzią US Army – 1 stycznia 1945 r. w Chenogne Amerykanie zabili 60 niemieckich jeńców.

Ostatnią ofensywą dywizji Leibstandarte była przeprowadzona na Węgrzech operacja „Frühlingserwachen" („Wiosenne Przebudzenie"). Zanim jednak rozpoczęły ją związki taktyczne 6. Armii Pancernej, komendę nad będącą już cieniem dawnej siebie LSSAH objął SS-Brigadeführer Otto Kumm. Pomimo niekwestionowanego poświęcenia, bohaterstwa i determinacji esesmanów z LSSAH dywizja nie zdołała zrealizować wyznaczonych jej celów. Ponieważ jednostka zmuszona była wycofać się za kanał Mercal, wściekły Hitler wydał 27 marca 1945 r. rozkaz ściągnięcia przez żołnierzy opasek z nazwą dywizji. Gdy dowiedział się o tym SS-Brigadeführer Fritz Kraemer, szef sztabu 6. Armii Pancernej, złośliwie

Ciała amerykańskich żołnierzy zamordowanych pod Malmedy

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, CW NATIONAL OCEANIC AND ATMOSPHERIC ADMINISTRATION

zasugerował, aby dopytać, czy opaski mają być również zdjęte wszystkim poległym podczas ofensywy.

Dietrich, coraz bardziej krytyczny wobec Hitlera, nie ujawnił podwładnym treści rozkazu. Jednak wieść o nim się rozniosła i niektórzy oficerowie swoje opaski – wraz z odznaczeniami – wysłali do Kancelarii Rzeszy zapakowane w nocnikach. Żołnierze LSSAH zakończyli swą wojenną epopeję 8 maja 1945r. w Austrii, poddając się Amerykanom w pobliżu miejscowości Steyer.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

WYBRANA BIBLIOGRAFIA:

Parker D., ***„Wojna Peipera. Wojenna kariera dowódcy SS Jochena Peipera 1941–1944"***; *Reynolds M.*, ***„Adiutant diabła. Jochen Peiper. Dowódca wojsk pancernych"***; *Reynolds M.*, ***„Stalowe piekło. I Korpus Pancerny SS w Normandii"***; *Weingartner J.*, ***„Dywizja Führera. Leibstandarte SS Adolf Hitler".***

eprasa.pl 468442f1bb

Corvara, stolica Ladynów

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, KUEBI

W obronie tradycji / Twardzi Ladynowie

Tajemniczy lud z serca Alp

Piotr Semka

Dopiero od niedawna specyficzne usytuowanie małej ojczyzny Ladynów, na pograniczu żywiołu włoskiego i niemieckiego, przestało być dla nich problemem, a stało się atutem

Nie ma ich wielu. Etnolodzy szacują populację Ladynów na 30–35 tys. ludzi. Mają własny język, flagę i mitologię, swoje unikalne, tradycyjne stroje, charakterystyczny styl budownictwa górskiego, a dla swoich dzieci wywalczyli nawet szkoły z ojczystym językiem wykładowym. Ale tak naprawdę nikt nie wie, kiedy dokładnie pojawili się w rejonie Dolomitów.

Przez wieki uważali się po prostu za „tutejszych", zadowalając się lojalnością wobec imperium Habsburgów. Dostarczali władcom Świętego Cesarstwa Rzymskiego Narodu Niemieckiego bitnych żołnierzy i wyśmienitych górskich przewodników. Dopiero w XIX w. Ladynowie przeżyli samouświadomienie narodowe. Jednak przyszło im za to zapłacić wysoką cenę. Niewielki górski ludek znalazł się bowiem na linii nacjonalistycznych sporów germańsko-włoskich.

Ladynowie byli jednym z pierwszych ludów, które na stałe wybrały na swoją siedzibę Dolomity. Niegdyś obszar ich osiedlenia był znacznie większy. Dziś jednak ludność ta skupiona jest głównie w czterech dolinach masywu Sella, czyli Val Gardena, Val Badia, Val Di Fassa i Livinallongo, ale spotkać ją można też w dolinach Pettorinatal, Val Florentin, Val Comelico i Boite. Najbardziej znaną miejscowością, od wieków związaną z Ladynami, jest Anpëz, bardziej kojarzone jednak na świecie pod włoską nazwą Cortina d'Ampezzo. Ten kurort od lat 20. XX w. szybko się italianizował, a w 1956 r. zasłynął z zimowych igrzysk olimpijskich. W tej sytuacji za nieformalną stolicę Ladynów uchodzi dziś raczej Corvara, siedziba wielu instytucji tej grupy etnicznej.

Inni niż wszyscy

Niekiedy wyłonienie się danej społeczności wynika po prostu z jej izolacji od pozostałych grup etnicznych. Wybierając życie w alpejskich dolinach, Ladynowie byli w naturalny sposób oddzieleni od innych. Ich osady zwane Viles miały jedno główne zadanie: pozwolić mieszkańcom przetrwać w surowych górskich warunkach. To wyzwanie ze strony przyrody, szczególnie ostre zimy, zmuszało ladyńskich chłopów do ścisłej współpracy. Tylko tak mogli zapewnić przetrwanie swoich rodzin. Musieli zdobyć umiejętności, których nie znali ludzie

eprasa.pl 468442f1bb

Ladynowie przy pracy na roli. Zdjęcie z lat 60. XX w. FOT. COMMONS WIKIMEDIA

żyjący z roli na równinach – uprawiali pola pod ostrym kątem, wypracowali skomplikowane techniki przechowywania zboża czy hodowli zwierząt. Liczne trudności wykształciły w nich hart ducha i zaradność. Żyli w miejscach, które inni uważali za nienadające się do kolonizacji. Przez wieki musieli prowadzić oszczędne życie, gdyż ich pola dawały umiarkowane plony.

W sensie historycznym zamieszkiwane przez nich tereny zawsze stanowiły obszar rywalizacji państw plemion germańskich (od północy) i retoromańskich (od południa). Istnieje tylko kilka pisanych źródeł rzucających światło na historię ludów zamieszkujących te ziemie we wczesnym średniowieczu. Tereny te po raz pierwszy trafiają do kronik jako obszary podlegające królestwu Longobardów. Od VI w. miejscowości ladyńskie przyjmują formę tzw. regules, czyli struktur samorządu lokalnego, które zachowają się częściowo aż do końca władzy Habsburgów.

W 776 r. rejon Dolomitów zostaje włączony do państwa Franków pod rządami Karola Wielkiego. I to wtedy Anpëz stało się nieformalną stolicą terenów zamieszkanych przez Ladynów. Również wówczas na północ od Dolomitów ustala się granica językowa między plemionami mówiącymi językami pragermańskimi a wspólnotami tworzonymi przez Ladynów. Począwszy od 951 r., te ziemie, wraz z Marchią Werony i Akwilei, zostają na krótko włączone do księstwa Bawarii. Potem do ok. 1420 r. ladyńskie ziemie podlegają władzy patriarchatu Akwilei, który z kolei z czasem zostanie wchłonięty przez Republikę Wenecką.

Jednak to rozciągnięcie władzy nad Dolomitami przez Wenecjan wywołuje opór cesarzy niemieckich. Gdy papież Juliusz II tworzy w 1508 r. koalicję przeciwko republice, tzw. ligę w Cambrai, wojska cesarskie odbijają z rąk Wenecji tereny zamieszkane przez Ladynów. I tu pojawia się pierwsza data, która czczona jest przez ten lud z ogromną dumą. 21 października 1511 r. Anpëz odwiedza sam cesarz habsburski Maksymilian I, który włącza te tereny do hrabstwa książęcego Tyrolu. Wdzięczni Ladynowie – lud, który zawsze cenił sobie autonomię – uzyskują potwierdzenie przez cesarza praw samorządowych, którymi cieszyły się samorządy „regules". Te prastare prawa i przywileje były honorowane przez kolejnych władców w Wiedniu aż do końca XVIII w., kiedy to cesarz Józef zaczął narzucać swemu państwu wścibski i wszechwładny system administracji państwowej.

Mieszkańcy zamieszkujący rejony ladyńskie przez kolejne wieki dzielili los z niemieckimi Tyrolczykami. Strzelcy ladyńscy przystąpili do tyrolskiego powstania przeciw wojskom Republiki Francuskiej, a następnie cesarstwa Napoleona (w latach 1796–1813). Mimo że Ladynowie są narodem o korzeniach romańskich, to jednak brutalna okupacja francuska po raz pierwszy zaczęła popychać ich w kierunku utożsamiania się z Austriakami.

Na krótki czas tereny wokół Cortiny d'Ampezzo włączone zostają dekretem Napoleona do Królestwa Włoch, ale już w 1813 r. Austriacy odzyskują te ziemie dla cesarza. Wszystko wraca do spokojnego patriarchalnego ładu naznaczonego lojalnością wobec władców w dalekim Wiedniu. Budowa wygodnej drogi między austriackim Toblach a Anpëz (w 1835 r.) sprawia, że te biedne rejony otwierają się na turystykę – orle percie Dolomitów przyciągają pierwszych miłośników wspinaczek wysokogórskich. Niemiecki i Austriacki Klub Alpejski zaczynają budować sieć schronisk i zajazdów. Anpëz zyskuje przydomek Perły Dolomitów i Królowej Alp. Przybywają tu turyści z Anglii, Francji, a nawet Węgier. Chłopi ladyńscy bogacą się i zaczynają inwestować w agroturystykę.

Wengen, wioska Ladynów
FOT. COMMONS WIKIMEDIA, ALEX 1011

Kim wy jesteście?

Jednocześnie rozpoczyna się dyskusja na temat prawdziwych korzeni ladyńskiego ludu. Przez wieki panowania habsburskiego nie przykuwało to żadnej uwagi. W tej monarchii żyły dziesiątki, jeśli nie setki grup narodowościowych i podstawową identyfikacją był status poddanego. Było tak zarówno w przypadku Hucułów w Karpatach Wschodnich, jak i Szeklerów w Siedmiogrodzie.

Pierwszym badaczem, który w sposób naukowy zainteresował się tym przedziwnym językiem, był Ladyn Nikolaus Bacher, który urodził się w 1789 r. w miejscowości Lü w pobliżu opactwa St. Kassian. Wywodził się z rodziny zajmującej się uprawą roli. Z racji zamiłowania do wiedzy studiował filozofię i teologię w szkołach kościelnych w Innsbrucku, Trydencie i Salzburgu. Co charakterystyczne, doskonale znał włoski, z którym język Ladynów ma pewne cechy wspólne, co pozwoliło mu nauczać języka włoskiego na uniwersytecie w Innsbrucku.

eprasa.pl 468442f1bb

Przyjął wtedy pseudonim Micurá de Rü. Używając go, napisał i wydał w 1833 r. pierwszą gramatykę ladyńską. Jego celem było usankcjonowanie wspólnego języka pisanego dla wszystkich społeczności ladyńskich. Gdy ten budziciel poczucia narodowego Ladynów umierał w 1847 r., żegnało go już spore grono młodych ludzi, którzy postanowili kontynuować w jego imieniu pisanie i czytanie w języku ladyńskim. Powtarza się tu zresztą schemat, który będzie typowy dla innych niehistorycznych narodów w Cesarstwie Habsburskim – pionierami samoidentyfikacji są księża z rodzin chłopskich.

Pojawienie się gramatyki języka ladyńskiego zostaje zauważone w północnych Włoszech. Słychać opinie, że Ladynowie to jeden ze szczepów narodu włoskiego zagubiony przed wiekami w dolomickich dolinach. Włoscy nacjonaliści uznają, że przyszła granica Włoch powinna przebiegać na północ od Dolomitów. Tak zwani irredentyści, czyli zwolennicy oderwania od Austrii terenów alpejskich, włącznie z południowym Tyrolem, są święcie przekonani o swej misji wyzwolenia Ladynów. Wierzą, że gdy tylko włoski żołnierz postawi swój but na szczytach Dolomitów, to wyzwoleni spod okupacji germańskiej ladyńscy chłopi bez trudu dadzą się odzyskać dla włoskiej wspólnoty narodowej. Było to jednak bujanie w obłokach. Ladynowie byli wierni Habsburgom i gdy 23 maja 1915 r. wybuchła wojna Włoch z Austro-Węgrami, niemal bez wyjątku opowiedzieli się za obroną Dolomitów przed włoskim atakiem z południa. Wskutek niezrozumiałego toku myślenia austriackiej biurokracji Ladynów wysyłano jednak na front wschodni do walki przeciwko carskiej Rosji. Tylko mniejszość powołano do tzw. Landwehry, która broniła regionu Dolomitów ramię w ramię z żołnierzami austriackimi i niemieckimi.

Ostatnią okazją do zademonstrowania wierności Habsburgom była wizyta cesarza Karola, który zastąpił zmarłego Franciszka Józefa. Doszło do niej 24 listopada 1917 r. w Anpëz. Ladyni ubłagali wówczas cesarza o to, by Austriacy nie zabierali na potrzeby wojenne siedmiu dzwonów z miejscowego kościoła. Żołnierze ladyńscy w armii austro-węgierskiej otrzymali wiele medali za odwagę.

Plakat wzywający niemieckojęzyczną i ladyńską ludność południowego Tyrolu do przeprowadzki do Niemiec FOT. COMMONS WIKIMEDIA, ZINTOSH 7

Ladyńscy przewodnicy byli nieocenionymi doradcami dowódców austriackich strzelców górskich, walczących z Włochami w wysokich partiach Dolomitów.

Nagły koniec wojny i implozja monarchii Habsburgów w listopadzie 1918 r. był dla Ladynów szokiem. Mieszkańcy Dolomitów, podobnie jak ich sąsiedzi z południowego Tyrolu, przyjęli wkroczenie wojsk włoskich na te tereny jako tymczasową okupację. Kiedy zrozumieli, że Włosi chcą włączyć ten obszar do Królestwa Włoch na stałe, zaczęły się demonstracje, które były jednak brutalnie tłumione przez włoskich karabinierów. Zbierano podpisy pod protesty do wielkich mocarstw przeciwko oderwaniu tych terenów od Austrii. Ale Wielka Brytania i Francja, które skłoniły Włochy w 1915 r. do wejścia do wojny po stronie ententy obietnicami zdobyczy terytorialnych kosztem Austrii, nawet nie próbowały wpływać na Rzym. 10 września 1919 r. traktat pokojowy z Saint-Germain przyznał Tyrol Południowy i rejon Dolomitów Italii.

Pod włoskim uciskiem

W latach 1921–1922 mieszkańcy Dolomitów, podobnie jak Tyrolu Południowego, na mocy tzw. małego traktatu opcyjnego mieli prawo wybierać między przyjęciem włoskiego panowania a wyjazdem do Austrii. Ta pierwsza fala wyjazdów jest niewielka. Tamtejsi mieszkańcy stoją na stanowisku, że nie wolno im opuszczać ziemi odziedziczonej po pradziadach. Nowe władze włoskie, szczególnie po 1922 r., kiedy władzę nad Italią zdobywa Benito Mussolini, próbują wobec Ladynów prowadzić politykę kija i marchewki. Przysłani w ten rejon włoscy urzędnicy i nauczyciele przekonują Ladynów, że jako plemię retoromańskie są de facto Włochami. Ten, kto protestuje, jest represjonowany. Przybysze z południa nie potrafią zrozumieć, dlaczego górale mówiący językiem z rodziny romańskiej solidaryzują się narodowo z niemieckimi Tyrolczykami z Tyrolu Południowego.

Aby ułatwić italianizację Ladynów, Anpëz wraz z miejscowościami Fodom i Coll zostaje 1923 r. odłączona od południowego Tyrolu i wcielona do włoskiej prowincji Belluno. Ogłoszono też, że ladyńska stolica przyjmuje nową włoską nazwę – Cortina d'Ampezzo. Usuwane są pamiątki po austriackim panowaniu, a w centrum miasta wzniesiony zostaje ogromny pomnik chwały poległych włoskich żołnierzy. Jednocześnie włoskie władze odmawiają wybudowania podobnego monumentu dla mieszkańców miasta, którzy zginęli, walcząc w armii austro-węgierskiej.

W 1939 r. Adolf Hitler postanawia w przyjazny sposób rozwiązać problem obecności ludności germańskiej na terenie włoskiego południowego Tyrolu. Aktywiści NSDAP wyruszają z akcją propagandową do południowego Tyrolu, lansując hasło „Heim ins Reich" (powrotu do Rzeszy). Przybysze z Niemiec straszą tubylców, że jeśli nie wyjadą oni do Rzeszy, to władze włoskie mogą wysiedlić całą tutejszą niemieckojęzyczną i ladyńską ludność na południe Włoch, a nawet na Sycylię. Południowi Tyrolczycy się dzielą. Jedni wymęczeni włoską okupacją

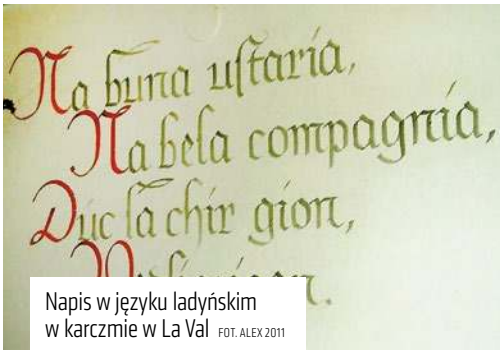

Napis w języku ladyńskim w karczmie w La Val FOT. ALEX 2011

eprasa.pl 468442f1bb

przyjmują atrakcyjnie brzmiące obietnice Niemiec hitlerowskich, a inni głoszą, że trzeba za wszelką cenę przetrwać i obronić stan posiadania Tyrolczyków na tych ziemiach. Formalnie rzecz biorąc, z 250 tys. Tyrolczyków i Ladynów uprawnionych do wyboru opcji ok. 85 proc. opowiedziało się za wyjazdem. Ale w wielu wypadkach było to tylko granie na czas.

W rezultacie w latach 1939–1943 realnie wyjechało tylko 75 tys. południowych Tyrolczyków i Ladynów. Co więcej, władze hitlerowskie postanowiły wykorzystać okazję i skierować część Tyrolczyków i Ladynów do osiedlania się w Dystrykcie Galicja, włączonym w czerwcu 1941 r. do Generalnej Guberni. Z tego czasu pochodzi poruszająca Polaka ulotka podziemnego ruchu tyrolskiego na rzecz pozostania w kraju, która wzywa, by nie ulegać namowom nazistów.

Warto przytoczyć ją w całości: „Południowy Tyrol i Galicja. Czyż istnieje bardziej jaskrawy kontrast? Będziecie mieszkać w chatach, z których wypędzono polskich mieszkańców [...]. Będziecie żyć wciśnięci między wrogi wam naród. Zostaniecie rozlokowani tak, aby zrobić z was wrogów Polaków, co ściągnie na was ich nienawiść. Aż w końcu zostaniecie z ich ziem wypędzeni, gdyż koło fortuny może znów się obrócić".

Ta ulotka jednej z grup oporu w południowym Tyrolu budzi szacunek swoją mądrością i zdolnością przewidywania. W istocie ci z południowych Tyrolczyków i Ladynów, którzy dali się namówić na osiedlenie na terenie Galicji musieli w 1944 r. uciekać pod osłoną Wehrmachtu przed zbliżającą się armią sowiecką. Po wojnie ok. 25 tys. optantów wróciło na tereny, które znów stały się częścią Włoch po zajęciu ich w maju 1945 r. przez wojska brytyjskie i francuskie.

Droga do swobód

Ladynowie tuż po wojnie rozpoczęli akcję zbierania podpisów pod petycją do wielkich mocarstw z prośbą o ponowne przyłączenie ich do Austrii. Przywódcy alianccy odmówili, ale przymusili rządy Austrii i Włoch do podpisania umowy dającej niemieckojęzycznej ludności w południowym Tyrolu prawa do własnych szkół i autonomii kulturalnej. Była to tzw. umowa Gruber-De Gasperi z 1946 r.

Duet folklorystyczny Die Ladiner

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Niemcy byli zadowoleni, ale Ladyni nie. Umowa mówiła tylko o szkołach niemieckojęzycznych, a nie wspominała nic na temat praw dla ludności ladyńskiej. Oczywiście wszyscy Ladyni znali doskonale niemiecki, ale jednak uznawali, że prawa mniejszości powinny być rozciągnięte także na nich. Tym bardziej że boom turystyczny, który rozpoczął się wraz z cudem gospodarczym w Italii, spowodował napływ Włochów.

Cortina d'Ampezzo stała się snobistycznym włoskim kurortem, w którym Ladyni znaleźli się w mniejszości. Dzieci ladyńskich gospodarzy chłopskich w poszukiwaniu lżejszego życia porzucały ciężką harówkę na roli i wyjeżdżały do powstających jak grzyby po deszczu licznych kurortów narciarskich w Dolomitach. W tej sytuacji ruch Ladynów na rzecz ratowania ich tożsamości i języka wyłonił się w ostatniej chwili – tuż przed rozpuszczeniem się tej grupy narodowościowej we włoskiej „zupie".

Nowy traktat autonomiczny wywalczony przez południowych Tyrolczyków w 1970 r., który wszedł w życie rok później, zapewniał przywileje już nie tylko dla niemieckojęzycznych Tyrolczyków, lecz także dla Ladynów. Władze włoskie wyrzekły się wszelkich prób italianizacji tego górskiego narodu i zaczęły kształcenie nauczycieli dla dzieci mówiących po ladyńsku. Dziś istnieją muzea ladyńskie, domy kultury kultywujące obyczaje tej grupy narodowej, a nawet osobna redakcja państwowej telewizji – Rai Ladinia.

Posiadający smykałkę do interesów górale zaczęli robić biznes na lokalnej specyfice, lansując ladyńskie folklor i kuchnię. Tereny gmin ladyńskich w 2007 r. ostatecznie włączono do Autonomicznej Prowincji Bolzano-Tyrol Południowy. Jedynymi rejonami ladyńskimi, które pozostały poza tą prowincją, są Cortina d'Ampezzo i dwie sąsiednie gminy – Coll i Fodom. Prowincja Belluno i region Veneto postanowiły zrobić wszystko, by nie wypuścić z rąk światowej sławy kurortu turystycznego, przynoszącego ogromne zyski… We włoskim Trybunale Konstytucyjnym i Europejskim Trybunale Sprawiedliwości złożone są przeciwstawne pozwy w sprawie przynależności administracyjnej tych ziem i nic nie wskazuje na to, by sprawa rychło znalazła swój finał. Nowa ustawa z 1999 r. o ochronie mniejszości językowych zapewnia nowy przywilej – w miejscowościach zamieszkałych przez Ladynów znaki drogowe z nazwą wsi opisane są po włosku i po ladyńsku. Władze w Rzymie zapewniają jeszcze więcej udogodnień dla języka ladyńskiego.

Włoscy prześmiewcy wskazują, że tak naprawdę Ladynowie upierają się przy swojej mowie jedynie dla nakręcania tutejszego przemysłu turystycznego. Działacze ladyńscy z oburzeniem przyjmują tego typu ironiczne uwagi. Podkreślają, że kosztem ogromnego wysiłku uratowali swoją mowę od wymarcia i że kierują nimi jedynie pobudki patriotyczne.

Międzynarodową sławę zdobył folkowy duet Die Ladiner, który umiejętnie łączy tradycje alpejskiej muzyki ludowej z włoskim bel canto. Sentymentalni Niemcy w RFN, ze Szwajcarii i z Austrii zachwycają się tą syntezą kultury włoskiej i niemieckiej. Jak widać, po wielu wiekach życie na styku żywiołu włoskiego i germańskiego stało się dla Ladynów atutem, a nie problemem.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 468442f1bb

XX w. / Piloci Zygmunt Lewoniewski i Jan Nagórski

Arktyczni polscy lotnicy

Mikołaj Iwanow

Z doświadczeń Jana Nagórskiego zawartych w jego raportach z 1914 r. korzystało całe pokolenie arktycznych lotników

Gdzieś na rozległych obszarach Arktyki znajduje się mogiła Zygmunta Lewoniewskiego, Polaka urodzonego w Sokółce na Podlasiu, sowieckiego pilota, którego w ZSRS nie bez podstaw nazywano „pierwszym sokołem Stalina". Jego samolot, nowy potężny czterosilnikowy bombowiec DB-A konstrukcji prof. inż. Wiktora Bołchowitinowa, latem 1937 r. miał przelecieć nad biegunem północnym i wylądować w Stanach Zjednoczonych, demonstrując całemu światu możliwości sowieckiego lotnictwa i tym samym wsławić „ojca narodów". Mimo propagandowego charakteru lot miał również cele naukowe – badanie Arktyki.

DB-A był maszyną niezwykłą. Już podczas pierwszych doświadczalnych lotów bił kolejne rekordy. W listopadzie 1936 r. bombowiec Bołchowitinowa podniósł 10 ton ładunku na wysokość ponad 7 km i 13 ton na wysokość 4,5 km. Żadna inna maszyna na świecie nie była w stanie dokonać takiego wyczynu. Przelot Lewoniewskiego tym gigantem miał otworzyć przed światem erę lotów długodystansowych z dużymi ładunkami.

W podróż do USA Zygmunt Lewoniewski wziął kilka ton futer, spory ładunek złota (ponad tonę), a także cenny obraz z kolekcji Ermitażu, jako prezent dla prezydenta Stanów Zjednoczonych. Samolot, który otrzymał nazwę „SSSR – H-209", ważył tuż przed startem 35 ton. Było to o dwie tony więcej, niż przewidywali inżynierowie.

Start nastąpił 12 sierpnia 1937 r. z moskiewskiego lotniska, a lądowanie zaplanowano w mieście Fairbanks na Alasce. Załoga składała się z sześciu osób. Początkowo wszystko szło zgodnie z planem, ale już nad Morzem Barentsa samolot musiał się zmierzyć z mocnym wiatrem. Lewoniewski próbował lecieć coraz wyżej, aby utrzymać zaplanowaną prędkość. W południe 13 sierpnia samolot przeleciał nad biegunem północnym. I tu na wysokości 4600 metrów zgasł jeden z silników. Temperatura w kabinie pilotów wahała się od –25 do –35 st. C. Ostatni radiogram z pokładu samolotu otrzymano o godz. 17.53. Pilot informował o bardzo trudnych warunkach pogodowych…

Zygmunt Lewoniewski spoczął gdzieś na ogromnych przestrzeniach między Rosją a Alaską. Miejsce katastrofy jego samolotu do dziś stanowi wielką niewia-

eprasa.pl 468442f1bb

Bołchowitinow DB-A, pilotowany przez Zygmunta Lewoniewskiego, podczas lotu do Ameryki

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, SAN DIEGO AIR AND SPACE MUSEUM ARCHIVE

domą. Dziesiątki ekspedycji sowieckich, rosyjskich, amerykańskich i kanadyjskich zajmowały się poszukiwaniem samolotu. Bez skutku. Ostatnia międzynarodowa wyprawa miała miejsce w 2013 r. Do akcji weszli również zawodowi poszukiwacze skarbów, ponieważ na pokładzie znajdowały się wspomniane złoto, a także inne wartościowe przedmioty.

Pilot inżynier

Lewoniewski nie był jednak pierwszym Polakiem badaczem Arktyki. Prawdziwym pionierem lotnictwa polarnego był inny Polak – Jan Nagórski, który w 1914 r. wykonał pięć udanych lotów za kręgiem polarnym o łącznej długości ponad tysiąca kilometrów. Dla uczczenia tych wyczynów jego imieniem nazwano przylądek na wyspie Ziemia Aleksandry (w archipelagu Ziemia Franciszka Józefa), lotnisko i bazę graniczną w tym samym rejonie.

Jan Nagórski urodził się 8 lutego 1888 r. we wsi położonej niedaleko Włocławka, w rodzinie ubogiego młynarza. Już w wieku 17 lat (po ukończeniu zaledwie sześciu klas szkoły średniej) zaczął sam zarabiać, podejmując pracę nauczyciela w szkole podstawowej. Podobnie jak wielu młodych mężczyzn w tamtych czasach Jan pragnął rozpocząć służbę wojskową. W 1906 r. wstąpił do Szkoły Podchorążych Piechoty w Odessie i ukończył ją z wyróżnieniem w stopniu podporucznika. Został wysłany do służby w 23. Pułku Strzelców Syberyjskich stacjonującym w Chabarowsku. Pod koniec 1910 r. pozwolono mu przenieść się do Petersburga, gdzie wstąpił do Szkoły Inżynierii Morskiej.

I to właśnie w tym mieście rozpoczął się najważniejszy rozdział jego życia. Stolica Rosji dosłownie oszalała na punkcie lotnictwa. Jesienią 1910 r. w Petersburgu odbył się „festiwal aeronautyki", na którym zabłysnęli najlepsi rosyjscy lotnicy, w tym słynny Siergiej Utoczkin. Nagórski był pod wielkim wrażeniem jego lotów, nawiązał z nim korespondencję i za jego radą zaczął zgłębiać teorię pilotażu. W 1911 r. poznał Władimira Lebiediewa, pierwszego w Petersburgu certyfikowanego pilota, który otrzymał swą licencję we Francji, w słynnej szkole Henriego Farmana. Był on również wpływowym przedstawicielem firmy lotniczej Farmana w Rosji.

W Petersburgu pierwszą szkołę lotniczą przy Wszechrosyjskim Aeroklubie Imperatorskim założono w 1911 r. Na jej czele stanął właśnie Lebiediew, który natychmiast zaprosił Nagórskiego. „W aeroklubie lataliśmy głównie na samych »farmanach« – wspominał po latach Nagórski – bo w tamtym czasie był to najpopularniejszy samolot na świecie. Słynna »półka« z otwartą kabiną pilota, na której niczym woźnica siedzieli pilot i pasażer. Urządzenie wyglądało groźnie, zachowywało się mało stabilnie w powietrzu, a silnik co 10 minut lotu pluł olejem i próbował się zepsuć".

Swą edukację lotniczą Jan Nagórski kontynuował w Oficerskiej Szkole Lotniczej w Gatczynie, gdzie uczyły się takie gwiazdy jak choćby Piotr Niestierow (pierwszy na świecie, który wykonał „pętlę" myśliwcem).

Wkrótce okazało się, że Nagórski ma wielki talent. Jego samolot idealnie

Zygmunt Lewoniewski

FOT. COMMONS WIKIMEDIA

reagował na ruchy wolantem, lądował i startował bardzo gładko, a nawet silnik z jakiegoś powodu zepsuł się nie po 10 minutach, ale dopiero po pół godzinie. W ciągu zaledwie dwóch miesięcy Nagórski był gotowy, by stanąć do egzaminu i zdobyć międzynarodowe świadectwo pilota, a w 1911 r. wstąpił do elitarnej jednostki lotniczej armii rosyjskiej.

Jednocześnie Nagórski nie porzucił Szkoły Inżynierii Morskiej; udało mu się i latać, i studiować. W rezultacie w 1913 r., po ukończeniu uczelni i podjęciu służby w Głównym Zarządzie Hydrograficznym Ministerstwa Marynarki Wojennej, znalazł się we właściwym

Zygmunt Lewoniewski upamiętniony na znaczku z lat 30. FOT. COMMONS WIKIMEDIA

eprasa.pl 468442f1bb

Gieorgij Siedow z członkami ekspedycji w porcie w Archangielsku

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, PAULSEN RU

miejscu o właściwym czasie. Posiadał dyplomy inżyniera oraz pilota wojskowego i gdy w 1914 r. pojawił się pomysł wykorzystania lotnictwa w Arktyce, był idealnym kandydatem do lotów na Północ.

Nowa Ziemia z góry

W 1914 r. Nagórski otrzymał polecenie odnalezienia kilku zaginionych na Północy statków, w tym śladów słynnej wyprawy Gieorgija Siedowa, który zginął z wycieńczenia podczas próby dotarcia na biegun północny. Z inicjatywy Nagórskiego po raz pierwszy w historii postanowiono do badań arktycznych wykorzystać samolot – sprowadzonego z Francji farmana MF.11. Nagórski wraz z przydzielonym mu marynarzem mechanikiem Jewgienijem Kuzniecowem załadowali maszynę na statek i przetransportowali ją na Nową Ziemię (ponad pół wieku później stalinowski ZSRS wykorzystywał tę grupę wysp do prób nuklearnych). Na miejscu Jan Nagórski, w trudnych arktycznych warunkach, wraz z mechanikiem zmontował samolot.

Pierwszy lot za kręgiem polarnym Nagórski wykonał 8 sierpnia 1914 r. Rankiem tego dnia w pełni zmontowany samolot (ważył zaledwie 450 kg) został wepchnięty do wody – był to hydroplan. Ponieważ jednak samolot nie mógł unieść zbyt wiele ładunku, pilot i jego mechanik pokładowy musieli zabrać ze sobą w pierwszy doświadczalny lot tylko najpotrzebniejsze rzeczy: namiot, narty, karabin i jedzenie na 10 dni. Planowano lecieć na wschód, w kierunku Wysp Pankratowa. Specjalnie przydzielony do misji jacht „Andromeda" miał podążać za samolotem i wypatrywać miejsca, w którym dwaj śmiałkowie wylądują. Nie mieli radiostacji, natomiast posiadali pistolet sygnałowy, za którego pomocą wysyłali statkowi umówione znaki.

„Ciężko załadowany samolot z trudem wzniósł się ponad lód, ale potem zaczął szybko nabierać wysokości. Przed nami otwierały się coraz piękniejsze widoki – pisał później Nagórski w swoich wspomnieniach. – Po prawej stronie była wyspa z grzbietami ostrych pasm górskich i lodowcami opadającymi wzdłuż nich, po lewej biały ocean, na którym tu i ówdzie widać było ciemne plamy otwartej wody. Malownicze góry lodowe o fantastycznych kształtach lśniły lodowymi wierzchołkami. Były rozmieszczone w równych rzędach lub rozrzucone chaotycznie; niektóre przypominały smukłe obeliski lub pryzmaty, inne – dziwnie wyglądające konary. Wszystkie lśniły, jakby posypane milionami diamentów, w promieniach nigdy niezachodzącego słońca. Świadomość, że byłem pierwszą osobą, która wzbiła się w powietrze samolotem w tej surowej krainie wiecznej zimy, napełniła mnie radością i niepokojem i uniemożliwiła mi koncentrację".

Gieorgij Siedow

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, RUSSIANPHOTO.RU

Po czterech godzinach lotu Nagórskiemu udało się zorientować w terenie i odnaleźć Wyspę Barentsa, gdzie zaplanowano spotkanie z „Andromedą". Jednak nad wodą pojawiła się mgła, więc lądowanie w tym miejscu było zbyt niebezpieczne. Bardziej dogodny rejon znaleziono 5 km dalej, w pobliżu Przylądka Borysów, gdzie udało się bezpiecznie wylądować. Na spotkanie z „Andromedą" trzeba było jednak czekać cały dzień. W tym czasie pływaki samolotu przymarzły do skał, a jego skrzydła pokryły się śniegiem.

Następnego dnia Nagórski przeprowadził rozpoznanie lodu z pokładu wodnosamolotu. Na drugim siedzeniu, zamiast chorego mechanika, siedział wtedy kapitan „Andromedy", który był zachwycony lotem.

Podczas trzeciego długiego lotu Nagórski miał szczęście. Na jednej z wysp wypatrzył małą chatkę zbudowaną z bali. Postanowił wylądować w pobliżu wyspy. Chatka okazała się pusta, ale na stole leżała notatka od nieżyjącego Siedowa. Okazało się, że po tym, jak jego statek „Foka" utknął w lodzie zimą 1912 r., Siedow z kilkoma uczestnikami wyprawy spędził tu kilkanaście dni, zostawiając świadectwo swej tragicznej sytuacji. Następnego dnia Nagórski wyruszył w kolejny lot.

Na zakończenie misji hydroplan musiał przelecieć kilkaset kilometrów w kierunku Nowej Ziemi, gdzie czekał już na niego parowiec „Peczora". Jednak lot powrotny niemal nie zakończył się śmiercią kapitana i jego mechanika. Mężczyźni się zgubili... Przez trzy i pół godziny latali nad Nową Ziemią, nie wiedząc, gdzie się znajdują. Bardzo późno zrozumieli, że zboczyli zbyt daleko na południe. Benzyny jednak wciąż było wystarczająco dużo

eprasa.pl 468442f1bb

Jan Nagórski FOT. COMMONS WIKIMEDIA

i godzinę później piloci zobaczyli w końcu zatokę, a w niej stojący parowiec…

Pętla w hydroplanie

Pierwszą wojnę światową kpt. Nagórski rozpoczął w ramach rosyjskiego lotnictwa morskiego Floty Bałtyckiej. W 1915 r. został dowódcą eskadry latających łodzi M-9. Były to jak na tamte czasy stosunkowo zwrotne i szybkie wodnosamoloty.

W latach 1914–1915 na Bałtyku toczyły się coraz bardziej zacięte bitwy na wodzie, pod wodą i w powietrzu. Niemcy mieli szybkie myśliwce, z którymi trudno było konkurować. Podczas jednego ze swoich lotów bojowych samolot Nagórskiego znalazł się na celowniku niemieckiego myśliwca. Wtedy, ku wielkiemu zdumieniu Niemców, pilot rosyjskiego samolotu po raz pierwszy w historii wykonał hydroplanem „martwą pętlę", unikając w ten sposób ostrzału. Ten manewr był niespodzianką nie tylko dla niemieckich pilotów, lecz także dla mechanika Nagórskiego, który siedział z tyłu z niezapiętymi pasami bezpieczeństwa. Kiedy wodnosamolot nagle wykonał „salto", mechanik wypadł z kokpitu. W ostatniej chwili udało mu się chwycić za wspornik skrzydła i zawisnąć na nim, niezgrabnie machając nogami w powietrzu. Gdy maszyna odzyskała równowagę, zdołał się wdrapać z powrotem do kokpitu.

„Martwa pętla" na wodnosamolocie przyniosła Nagórskiemu sławę. Następnego dnia, aby przekonać wątpiących, powtórzył akrobację jeszcze dwukrotnie na oczach kolegów i to osiągnięcie zostało oficjalnie wpisane na listę światowych rekordów lotniczych.

Wojna jednak trwała nadal i stawała się coraz bardziej brutalna. Niemcy wiedzieli już, że nad Bałtykiem lata groźny pilot, którego trzeba się obawiać. Rozpoczęło się prawdziwe polowanie na samolot Nagórskiego. We wrześniu 1917 r. został on zestrzelony podczas kolejnego lotu eskadry łodzi latających. Nagórski wylądował uszkodzonym samolotem na wodzie, ale niemieccy piloci próbowali dobić zestrzeloną maszynę. Na samolot, który już się bujał na falach, runęła lawina ognia. Wydawało się, że to koniec Nagórskiego. Kilku rosyjskich pilotów widziało, jak Niemcy roznoszą samolot ich dowódcy na strzępy. Raport o jego śmierci wysłano do centrali i Nagórski został oficjalnie usunięty z listy walczących pilotów.

Tymczasem na wodach Bałtyku wydarzenia rozgrywały się jak w filmie przygodowym. Przez ponad godzinę Nagórski i jego mechanik, ubrani w nadmuchiwane kamizelki ratunkowe, pływali w lodowatej wodzie i powoli żegnali się z życiem… Nagle, dosłownie 50 metrów od nich, wynurzył się okręt podwodny. Na szczęście była to rosyjska jednostka, ale był to czysty przypadek – kapitan zarządził wynurzenie po prostu w celu uzupełnienia zapasu powietrza.

Rewolucję bolszewicką Nagórski przyjął niechętnie. Jego jednostkę lodzi latających włączono w skład Armii Czerwonej. Była to czysta formalność, ponieważ w żadnych walkach jednostka nie brała udziału. Na początku 1919 r. Nagórski wrócił do Polski i zgłosił się do Marynarki Wojennej, jednak z uwagi na służbę – nominalną – w Armii Czerwonej nie został do niej przyjęty.

W odrodzonej Polsce nie udało mu się kontynuować kariery lotniczej. Podjął studia na Politechnice Warszawskiej, gdzie studiował inżynierię chłodniczą. Dostał pracę jako inżynier w małej cukrowni. Zajmował się też działalnością społeczną. O swoich wyczynach za kręgiem polarnym wolał nie wspominać, ale w 1925 r. do jego raportu z lotów nad Arktyką dotarł słynny amerykański lotnik, pionier lotów na bieguny północny i południowy – Richard Byrd. Informacje uzyskane od Nagórskiego na temat warunków pogodowych i innych szczegółów lotów w warunkach podbiegunowych wykorzystano podczas późniejszych wypraw Byrda do Arktyki i na Antarktydę. Z doświadczeń polskiego pilota zawartych w jego raportach z 1914 r. korzystało następnie całe pokolenie arktycznych lotników w Kanadzie, Stanach Zjednoczonych, Norwegii, Szwecji i Związku Sowieckim.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Farman MF.11 Jana Nagórskiego
FOT. COMMONS WIKIMEDIA, ZBYHU.REPUBLIKA.PL

eprasa.pl 468442f1bb

Lata 1939–1945 / W 80. rocznicę zakończenia działalności Polskiego Państwa Podziemnego

Scena z powstania warszawskiego FOT. CAW/WIKIPEDIA

Fenomen nieznany historii

Marek Gałęzowski

Stworzone wysiłkiem dziesiątek tysięcy Polaków tajne państwo nie miało odpowiednika w innych krajach okupowanej Europy

Prawdą były słowa zapisane w deklaracji Rady Jedności Narodowej i delegata rządu wydanej 3 kwietnia 1944 r. w związku z wkroczeniem armii sowieckiej w granice Rzeczypospolitej. Dowodziły one manifestacyjnie woli niepodległości Polaków w obliczu nowego jej zagrożenia: „Państwo polskie – mimo tymczasowej okupacji niemieckiej – istnieje, działa i walczy; posiada bowiem legalne konstytucyjne władze naczelne (Prezydenta, Radę Narodową, Rząd i Wodza Naczelnego), urzędujące przejściowo poza granicami Rzeczypospolitej, posiada w kraju przedstawicieli władz naczelnych – Pełnomocnika na Kraj – Wicepremiera Rządu, Komendanta Armii Krajowej oraz reprezentację polityczną społeczeństwa – Radę Jedności Narodowej, posiada tajną administrację państwową oraz siłę zbrojną walczącą w Kraju i poza Krajem. Reprezentują oni razem ciągłość niepodległego bytu państwowego Rzeczypospolitej i wyrażają wolę całego narodu polskiego”.

W żadnym z krajów...

Określenie „Polskie Państwo Podziemne” zostało użyte pierwszy raz przez słynnego emisariusza Jana Kozielewskiego-Karskiego w artykule „Polskie Państwo Podziemne: założenia i organizacja”, opublikowanym w ukazującym się w Londynie piśmie „Polska Walcząca. Żołnierz Polski na Obczyźnie” w grudniu 1943 r. Zostało powtórzone miesiąc później w głównym organie prasowym Armii Krajowej – „Biuletynie Informacyjnym”. Co może zaskakiwać, nazwa ta się wówczas nie przyjęła i powszechnie używano określeń „Polska podziemna” lub „Polska Walcząca”.

Polskie Państwo Podziemne w okupowanej Polsce podlegało suwerennym władzom Rzeczypospolitej na uchodźstwie. Odpowiednikiem władz cywilnych była w nim Delegatura Rządu RP na Kraj, kierowana przez delegata rządu w randze wicepremiera. Pełniła funkcję tajnej władzy administracyjnej (podporządkowano jej również cywilne sądy specjalne). Siłę zbrojną stanowiła Armia Krajowa i – jak pisał badacz jej dziejów Marek Ney-Krwawicz – „była armią najliczniejszą, najdłużej działającą i stosującą najbardziej zróżnicowane formy walki w zestawieniu z konspiracjami wojskowymi innych okupowanych krajów europejskich”. W strukturze AK powstały służby typowe dla regularnej armii, m.in. intendencka, zdrowia, łączności, duszpasterska, pełniła ona też część funkcji sądowniczych.

eprasa.pl 468442f1bb

W 1943 r. cztery stronnictwa koalicji rządowej – Polska Partia Socjalistyczna, Stronnictwo Ludowe, Stronnictwo Narodowe oraz Stronnictwo Pracy – powołały swoje przedstawicielstwo – Krajową Reprezentację Polityczną. Po rozszerzeniu na część innych ugrupowań 9 stycznia 1944 r. została ona przekształcona w Radę Jedności Narodowej, uważaną za odpowiadającą podziemnemu parlamentowi.

Elementem koordynującym walkę konspiracyjną struktur wojskowych i oporu cywilnego było Kierownictwo Walki Podziemnej powstałe 15 lipca 1943 r. z połączenia Kierownictwa Walki Konspiracyjnej i Kierownictwa Walki Cywilnej, na czele z dowódcą AK gen. Tadeuszem Komorowskim. „Pierwsza połowa 1944 r. była okresem, kiedy Polska Podziemna osiągnęła najwyższy pułap zorganizowania i stanów członkowskich oraz cieszyła się najszerszym wsparciem społecznym" – pisał Eugeniusz Duraczyński. W tym właśnie czasie rozpoczęło się największe przedsięwzięcie polityczne i wojskowe Polskiego Państwa Podziemnego – akcja „Burza" na ziemiach wschodnich Rzeczypospolitej. Objęła ona następnie większość ziem polskich, które AK starała się oswobodzić spod okupacji niemieckiej. Wówczas też stoczona została największa bitwa Polski podziemnej z Niemcami – powstanie warszawskie.

Stworzone wysiłkiem dziesiątków tysięcy Polaków tajne państwo nie miało odpowiednika w innych krajach okupowanej Europy, w których w opór przeciw III Rzeszy zaangażowany był nieporównanie mniejszy odsetek obywateli. Zwracał na to uwagę Marek Ney-Krwawicz: „W żadnym z krajów okupowanych przez Niemcy nie powstały tak rozbudowane w konspiracji struktury aparatu państwowego, z takim umocowaniem formalnoprawnym", a Janusz Marszalec, rozpoczynając jedną z dyskusji o tajnym państwie Polaków, postawił tezę, że

Jan Stanisław Jankowski

FOT. COMMONS WIKIMEDIA

było ono „fenomenem na skalę światową, fenomenem, który nigdzie indziej się nie pojawił". Niewątpliwie argumentami na korzyść drugiej z tych opinii byłyby przede wszystkim powszechny charakter – w sensie uczestnictwa Polaków w walce podziemnej – jak również akceptacja dla niej wśród tych warstw społecznych i jednostek, które w tej walce nie uczestniczyły.

Postawy otwarcie niechętne spotykało się sporadycznie, inaczej niż np. w niektórych innych krajach okupowanych, jak chociażby we Francji. Tam przez znaczny okres wojny wsparcie dla ruchu oporu – a nie Państwa Podziemnego podlegającego suwerennym władzom na uchodźstwie, bo to nigdzie poza Polską nie powstało – było co najmniej ograniczone. Udział zaś samych Francuzów w zwalczaniu ruchu oporu był nieporównanie większy niż np. policji granatowej w okupowanej Polsce.

Nie należy jednak przeceniać znaczenia wpływu Państwa Podziemnego na społeczeństwo w okupowanym kraju. W warunkach wojny i okupacji miało ono ograniczoną możliwość wywierania takiego nacisku jak aparat państwowy działający w warunkach pokojowych. Jego wpływ opierał się przede wszystkim na autorytecie moralnym, na podstawie którego oddziaływał na społeczeństwo.

Nie tylko Armia Krajowa

Fenomenu Polskiego Państwa Podziemnego dowodziły odtworzone w podziemiu siły zbrojne, które przewyższyła swoją liczebnością jedynie partyzancka Narodowa Armia Wyzwolenia Jugosławii. Tajne nauczanie to oryginalne osiągnięcie Polaków, ponieważ w żadnym innym okupowanym państwie europejskim Niemcy nie zlikwidowali szkolnictwa średniego i wyższego tak jak w Polsce. A równocześnie prowadzenie podziemnej edukacji groziło drakońskimi karami, do śmierci włącznie. Wybitnym osiągnięciem było zorganizowanie akcji pomocy Żydom, a także informowanie świata o dokonanej przez Niemców zagładzie obywateli Rzeczypospolitej wyznania mojżeszowego. Było to wybitne osiągnięcie, ponieważ wymagało heroizmu większego niż udział w strukturach zbrojnych. Trzeba więc tym bardziej podkreślić, że fenomen Polskiego Państwa Podziemnego ujawnił się może bardziej w innych aspektach

Pomnik Lotnika w Warszawie z namalowanym w 1943 r. symbolem Polski Walczącej

FOT. STEFAN BAŁUK/CAF/PAP

eprasa.pl 468442f1bb

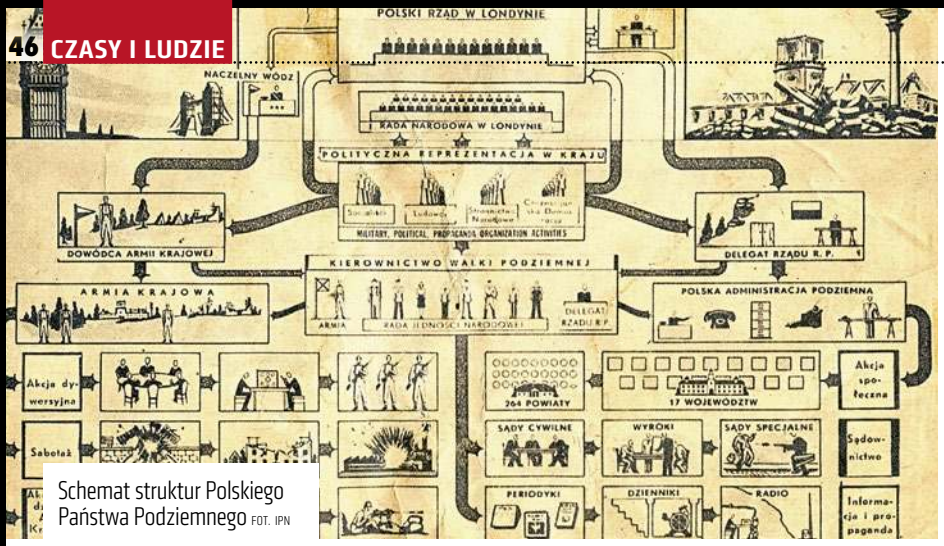

Schemat struktur Polskiego Państwa Podziemnego FOT. IPN

niż tylko militarnym – solidarnościowych, organizacyjnych, koncepcyjnych – związanych z planowaną odbudową państwowości polskiej po wojnie. Warto na to zwrócić uwagę również dlatego, że wydaje się, iż w polskiej tradycji narodowej takie postawy są doceniane rzadko i – jak się wydaje – niechętnie.

Zastanawiając się nad dziejami Polskiego Państwa Podziemnego, można przyjąć, że o wysokiej ocenie jego bilansu świadczy wysoki stopień poczucia obywatelskiego, patriotyzmu, poświęcenia i oddania sprawie niepodległości Polski przez uczestników konspiracyjnej walki. Te cechy – a nie stanowiące margines zjawiska negatywne – stanowiły treść jego dziejów. Fenomen ów, którym były wspomniane działania organizacyjne, zwłaszcza – przypomnijmy – ratowanie obywateli polskich pochodzenia żydowskiego, jak również na polu tajnej oświaty, walka o ochronę dóbr kultury polskiej przed rabunkiem lub zniszczeniem, tworzenie planów odbudowy Polski i kadr, które miały ją wcielić w życie. Walka o utrzymanie samej tożsamości narodowej.

Naprzeciw bezwzględnego wroga

Częścią tego fenomenu było też zbrojne przeciwstawienie się bezprecedensowej przemocy niemieckiej. Jaki był bilans tej formy oporu, biorąc pod uwagę niewspółmierność sił i poniesione wskutek terroru niemieckiego straty? O ile nie ulegają wątpliwości konieczność czynnego przeciwstawienia się niemieckim wysiedleniom na Zamojszczyźnie, zasadność akcji pod Arsenałem (i liczne podobne mające na celu odbijanie więźniów) czy likwidacji kata Franza Kutschery, kata Warszawy, o tyle trudno nie dostrzec, że Polskie Państwo Podziemne toczyło bój z wrogiem znacznie potężniejszym. Jak pisał wspomniany już Duraczyński, wyposażonym poza środkami militarnymi „w najnowocześniejsze podówczas środki łączności, wykrywania i ostrzegania oraz komunikacji, z całkowitym posłuszeństwem wykonującego wszelkie rozkazy i bezwzględnego w osiąganiu wyznaczonych celów".

To zaś – jak zauważył wspomniany badacz – „winno skłaniać przywódców i dowódców podziemnych do zachowania szczególnej przezorności w planowaniu i wyborze określonych typów działań przeciwokupacyjnych. Jednak nie zawsze tak było. Często dochodziło do akcji nieprzemyślanych, źle przygotowanych, kiepsko, a nawet fatalnie przeprowadzonych lub wręcz niepotrzebnych, za to wywołujących krwawe represje wroga".

W planowaniu operacyjnym, także na szczeblu Komendy Głównej Armii Krajowej, przewagę militarną Niemców czasem zbytnio bagatelizowano, przeceniając rolę męstwa, ideowości i ducha walki – czynników ważkich, lecz nie mogących decydować o pomyślnym rozstrzygnięciu w nowoczesnej wojnie. Było to owo „irracjonalne przekonanie o wyższości butelki z benzyną i patriotyzmu nad czołgiem", jak czytamy w jednym z wczesnych tekstów Zbigniewa Herberta (później zresztą niebędącego w tej sprawie już tak stanowczego zdania). Wraz ze zdarzającymi się nierzadko niedociągnięciami w kwestii przestrzegania zasad konspiracji, zwłaszcza w pierwszych dwóch latach wojny, przyniosło to ogromne, do dziś nieokreślone w liczbach straty osobowe. Samo podziemne wojsko do chwili wybuchu powstania warszawskiego utraciło ok. 62 tys. żołnierzy poległych lub zamordowanych przez Niemców. Straty te były jednak większe, gdyż poza poległymi w powstaniu należy do nich dodać nieznaną do dziś liczbę tych żołnierzy ZWZ, którzy ponieśli śmierć z rąk sowieckich w latach 1940–1941, i AK, którzy zginęli z rąk partyzantów Stalina i wspierających ich komunistów z GL-AL, NKWD i Armii Czerwonej, jak również ze strony UPA i Litwinów. Do tej liczby należy również doliczyć straty osobowe Delegatury Rządu, poszczególnych organizacji spoza ZWZ-AK oraz środowisk politycznych.

Polskie Państwo Podziemne miało minimalne możliwości chronienia obywateli II Rzeczypospolitej w okupowanym kraju i nie było w stanie zapobiec eksterminacyjnej polityce niemieckiej. Jednak w ferworze przygotowań do wystąpienia zbrojnego w ramach „Burzy" pomijano czasem kwestię ochrony społeczeństwa przed wycofującymi Niemcami. Ci zaś potrafili dokonywać mordów na więźniach bądź zbrodni na ludności cywilnej do ostatnich chwil. Zabrakło chociażby przeciwdziałania ewakuacji więźniów obozu koncentracyjnego na Majdanku, dokonanej przez Niemców bez przeszkód w lipcu 1944 r., mimo obecności na Lubelszczyźnie silnych i dobrze uzbrojonych oddziałów AK, potrafiących nawiązać zwycięską walkę z oddziałami regularnej armii niemieckiej. Dramat tego zdarzenia pogłębia to, że ostatni tysiąc więźniów opuścił obóz 20 lipca 1944 r., by pieszo dotrzeć pod Kraśnik, skąd ci, którzy ten okrutny marsz przeżyli, zostali wywiezieni do obozu Auschwitz. Dwa dni później oddziały AK zajęły Lublin, gdzie jednak jeszcze kilka godzin wcześniej, w południe, Niemcy dokonali mordu na przeszło 400 więźniach Zamku Lubelskiego.

Zawiodło też planowanie polityczne kierownictwa Polskiego Państwa Podziemnego, oparte na mylnym przekonaniu, że ofiarność w walce z Niemcami w jakikolwiek sposób wpłynie na państwa zachodnie, by ratowały niepodległość Polski przed agresją Związku Sowieckiego. Dramatycznym

eprasa.pl 468442f1bb

tego dowodem było ostatnie przesłanie Polskiego Państwa Podziemnego, nazwane „Testamentem Polski Walczącej", podsumowujące walkę konspiracyjną, prowadzoną przez społeczeństwo polskie z Niemcami przez ponad pięć lat bezwzględnej okupacji. Przesłanie dramatyczne, ponieważ walka ta, mimo okupienia jej największymi w dziejach Polski ofiarami i zniszczeniem kraju, na czele z jego stolicą – Warszawą, „sercem Polski" – nie przyniosła ani oczekiwanej niepodległości, ani prawa do samodzielnych rządów wyłonionych zgodnie z wolą społeczeństwa polskiego, a nie narzuconych z zewnątrz przez totalitarny ZSRS, ani nawet zapewnienia Polakom podstawowych praw obywatelskich. A realizacja postulatów zawartych w „Testamencie Polski Walczącej", na czele z odzyskaniem niepodległości i wolności, okazała się możliwa dopiero blisko pół wieku później.

Etos rycerski szlachetnej walki

Ponad wszystko ostatnie przesłanie Polskiego Państwa Podziemnego było przejmująco dramatyczne, ponieważ „państwo podziemne nie mogło się ujawnić w pełnej chwale", ludzie je tworzący nie mogli „stanąć w pełnym blasku swoich zasług mierzonych poświęceniem, ryzykiem życia przez tyle lat, walką i cierpieniami, nie mogli o swoim działaniu powiedzieć jawnie całemu narodowi" – jak pisał socjolog Jan Szczepański.

August Emil Fieldorf „Nil"

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, CENTRALNE ARCHIWUM WOJSKOWE

Narzucona przez ościenne mocarstwo władza komunistyczna wszczęła wobec bohaterów Polski podziemnej walczącej z Niemcami okrutne prześladowania, dążąc równocześnie, by prawda o ich bezinteresownym poświęceniu została zapomniana. W powojennej Polsce dziesiątki tysięcy z nich były więzione lub prześladowane w inny sposób przez władze komunistyczne. Wielu przedstawicieli elity Polski podziemnej zamordowano lub zamęczono w więzieniach, nawet jeżeli nie uczestniczyli w powojennym oporze. Listę tę otwiera generał „Nil" – August Emil Fieldorf – który jako szef Kierownictwa Dywersji (Kedywu) KG AK kierował bieżącą walką z Niemcami. Tych zamordowanych bohaterów było wielokrotnie więcej niż ukaranych śmiercią zbrodniarzy niemieckich – jak zauważył Jerzy Ślaski. Niewielu tylko oficerów Armii Krajowej ominęło komunistyczne więzienie, gdzie spotykali w celach gestapowców i esesmanów, „oskarżeni o to, że byli ich wspólnikami i pomocnikami [...]. Przy tym często oficerowie śledczy, jak i strażnicy więzienni traktowali hitlerowskich zbrodniarzy lepiej niż żołnierzy AK. I często lepiej zbrodniarzom tym się w więzieniu wiodło: otrzymywali zagraniczne paczki, dostarczano im prasę i książki, znali wysuwane przeciw nim zarzuty, mogli przygotować linię obrony".

W rządzonej przez komunistów Polsce „pod hasło »zdrajców Narodu Polskiego« wpisano najpiękniejsze i najbardziej zasłużone nazwiska polskich żołnierzy i polityków przewodzących walce narodu w dniach wojny i okupacji" – pisał Dariusz Baliszewski.

Obca przemoc nie mogła jednak usunąć tradycji Państwa Podziemnego z polskich dziejów. W wolnej Polsce stała się ona w pełni częścią polskiego dziedzictwa narodowego i dumy narodowej. Tworzący Polskie Państwo Podziemne ludzie przekazali jego wielki kapitał niezłomnej walki o niepodległość i prawo do wolności następnym pokoleniom Polaków, zmagających się z komunistycznym zniewoleniem, „etos rycerski szlachetnej walki o wartości. Najszerzej pojęte wartości ludzkie, które zostały zagrożone" – pisał wybitny historyk Polski podziemnej Tomasz Strzembosz.

Kiedy zaś Polska zaczęła odzyskiwać swoją niepodległość, był to także triumf żołnierzy Polski podziemnej. Symbolem zaś zwycięstwa ich ideałów jest poświęcony im i jej pomnik, postawiony w niepodległej Polsce przed gmachem Sejmu Rzeczypospolitej. Bo – jak pisał dalej prof. Strzembosz – „możemy być dumni z Polskiego Państwa Podziemnego z lat 1939–1945. Nie tylko dlatego, że było ono dziełem wyjątkowych umiejętności organizatorskich. Przede wszystkim dlatego, że pomimo wszelkich ludzkich ułomności w myśleniu i działaniu, wbrew wszelkim błędom i niedoskonałościom, od których nie było ono wolne, wyrażały się w nim autentyczne wartości. Było to państwo stosunkowo najbliższe stuletniemu marzeniu Polaków o własnej dobrej Ojczyźnie".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest doktorem habilitowanym, pracownikiem Archiwum IPN.

Pomnik Polskiego Państwa Podziemnego i Armii Krajowej w Warszawie

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, ADRIAN GRYCUK

eprasa.pl 468442f1bb

Olga Boznańska w monachijskiej pracowni. Ok. 1896 r. FOT. MUZEUM NARODOWE W KRAKOWIE

1865–1940 / Olga Boznańska

Polska królowa pędzla i palety

Leszek Lubicki

Nie miała szczęścia w miłości – tej ludzkiej. Znalazła ją, i to ze wzajemnością, w sztuce, której pozostała wierna do końca. Przez wielu znawców, a także zwykłych muzealnych oglądaczy uważana jest za najwybitniejszą polską malarkę wszech czasów

W podparyskiej miejscowości Montmorency znajduje się największa polska nekropolia we Francji. Często określa się ten cmentarz mianem panteonu polskiej emigracji. Pochowanych jest tam kilkuset Polaków, m.in. Cyprian Kamil Norwid czy Julian Ursyn Niemcewicz. Tutaj także spoczywało ciało zmarłego w Stambule Adama Mickiewicza, aż do czasu przewiezienia jego szczątków na Wawel. Pośród tych wybitnych Polaków pochowana została zmarła w paryskim szpitalu skromna kobieta, malarka Olga Boznańska. Pamięć o niej wciąż jednak żyje, skoro Sejm RP ustanowił rok 2025 Rokiem Olgi Boznańskiej (w uwagi na 160. rocznicę urodzin oraz 85. rocznicę śmierci artystki).

Zamknięte drzwi

Dziesięć lat temu, w jeszcze bardziej okrągłą rocznicę urodzin i śmierci malarki, Muzeum Narodowe w Krakowie przygotowało z tej okazji wielką wystawę prac panny Olgi. Pokazano blisko 180 jej obrazów. To pierwsza po ponad pół wieku tak duża wystawa zorganizowana w Krakowie. W tym królewskim mieście malarka przyszła na świat, a po jej śmierci cała spuścizna, która pozostała w jej paryskiej pracowni, została przekazana krakowskiemu muzeum.

Zazwyczaj każdy z wielkich artystów stworzył jakieś dzieło, które w jednoznaczny sposób określa jego twórczą postawę, a już na pewno takie, które w osobistym dorobku powszechnie uznawane jest za dzieło najsłynniejsze. W przypadku życiorysu artystycznego Olgi Boznańskiej obrazem takim wydaje się „Dziewczynka z chryzantemami". I właśnie to malarskie dzieło na wspomnianej wystawie wywołało tak duże zainteresowanie publiczności, że dłuższy czas stała przy nim gromadka widzów, a pośród nich również piszący te słowa. I nie powinniśmy się dziwić, bo – mówiąc wprost – jest to arcydzieło. Boznańska, malując ten obraz, miała 29 lat i była „na

eprasa.pl 468442f1bb

naukach" w Monachium. Zanim jednak to dzieło powstało, malarka musiała przejść trudną drogę, ponieważ była... kobietą. Musimy pamiętać, że wówczas niewiasty nie mogły studiować na wyższych państwowych uczelniach, w tym artystycznych. I uważam, że nasza artystka miała tu szczęście. Akademicka tradycja zabijała bowiem indywidualność.

„Boznańska miała uważnych rodziców. Wcześnie dostrzegli talenty obu córek. I opłacili prywatne lekcje [...]. Połowa lat osiemdziesiątych dziewiętnastego wieku (ale niestety również później) to czas, w którym wykształcenie kobiet wielu nadal uważa za zbyteczne" (Kuźniak, 2019). Mowa tu nie tylko o Krakowie, lecz także o akademiach sztuki w takich miastach jak Paryż czy Monachium. W Krakowie do Akademii Sztuk Pięknych zaczęto przyjmować kobiety dopiero w roku 1920. W owych czasach rodzice dziewczynek z mieszczańskich domów nie wyobrażali sobie, aby ich córki zostały „zawodowymi" malarkami. Nie można tego jednoznacznie powiedzieć o rodzinie Boznańskich. Uczęszcza zatem Olga na prywatne lekcje rysunku, jak wiele innych panien i pań z dobrych domów. Akademizm tam prezentowany, malowanie w większości głów z gipsów – to wszystko nie odpowiadało jednak jej aspiracjom. Niemniej z takich kursów malarskich w rodzinnym mieście pewne podstawy wyniosła.

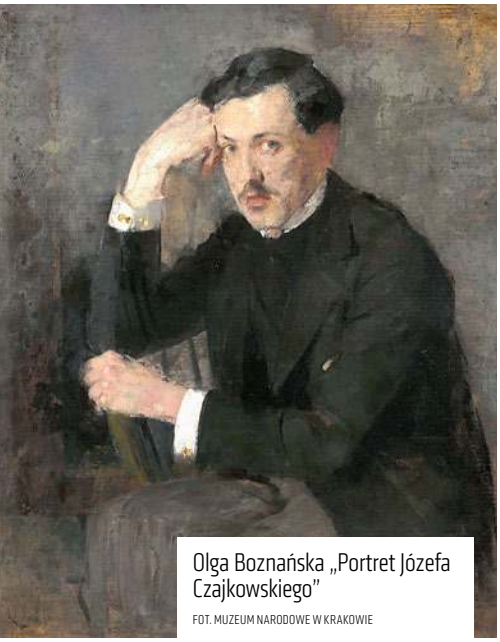

Olga Boznańska „Portret Józefa Czajkowskiego"
FOT. MUZEUM NARODOWE W KRAKOWIE

Olga Boznańska „Kwiaciarki"
FOT. MUZEUM NARODOWE W KRAKOWIE

Rodzice – matka Francuzka, nauczycielka; ojciec Polak, inżynier budowlany – na szczęście podzielali zainteresowania artystyczne obydwu córek (młodsza grała na pianinie), wspierali je, podróżując z nimi do miast z bogatą kulturą, m.in. do Paryża czy Wiednia. Rozbudzone potrzeby artystyczne zmuszają malarkę do poszukiwania nowej drogi. Rodzice wysyłają więc córkę do Monachium, ale nie do tamtejszej akademii, gdzie drzwi były dla niej, jako kobiety, oczywiście zamknięte, lecz do jednej z wielu szkół prywatnych, w których kształcono młode niewiasty zainteresowane sztukami plastycznymi. Był koniec roku 1885, może początek kolejnego, a panna Olga miała wtedy 20 lat.

Miłość w Monachium

O tym mieście położonym nad Izarą mówiono wówczas „niemieckie Ateny". Była to mekka malarstwa. „Prawdziwa walka o realizację artystycznych aspiracji rozpoczynała się dopiero po przekroczeniu progów troskliwego rodzinnego domu. Trzeba pamiętać, że w XIX wieku utrzymywała się bardzo wyraźna i głęboka różnica między rozwijaniem zdolności artystycznych panienki z dobrego domu, co należało do kanonu jej wykształcenia, a rzeczywistą twórczą pracą artysty" (Poprzęcka, 2000). Ten pierwszy etap przeszła panna Olga w Krakowie. Teraz zabawa w „panienkę z dobrego domu" się skończyła. Chcesz zaistnieć na twardym rynku sztuki, wystawiać, żyć z tego, co namalujesz, być w środowisku rozpoznawalną – musisz się ostro wziąć do pracy.

Olgę wspomagają dwaj wybitni polscy malarze na stałe mieszkający w Monachium: Józef Brandt i Alfred Wierusz-Kowalski. Czynią to przede wszystkim na prośbę ojca malarki, który zamartwiał się, jak jego ukochana córka da sobie radę w wielkim świecie. Jednak panna Olga po pewnym czasie, pobierając prywatne nauki, zauważa, że ona sama stawia sobie większe wymagania niż jej niemieccy nauczyciele z Monachium, którzy bardziej przejmowali się własną karierą niż rozwojem powierzonych im uczennic. Nasza malarka wyjechała bowiem z Krakowa wyposażona w sporą znajomość sztuki. „Postanowienie o wysłaniu córki na studia zagraniczne zapadło ponoć po wydaniu pozytywnej opinii o jej talencie przez Matejkę. Jednak z punktu widzenia jej twórczości pobyt w Monachium był bardziej kontynuacją zapoczątkowanej w Krakowie linii rozwojowej niż przełomem. Jej monachijscy nauczyciele nie byli artystami wybitnymi [...]. Ważniejsze znaczenie dla jej rozwoju miały wizyty w Starej i Nowej Pinakotece" (Kopszak, 2006).

Panna Olga idzie swoją drogą twórczą. Maluje wtedy kilka obrazów wybitnych

eprasa.pl 468442f1bb

czy wręcz arcydzieł, m.in. „Kwiaciarki" i „Zadumaną". Artystką pejzażystką nie była, swoje dzieła tworzyła tylko w pracowni, choć na tym pierwszym obrazie pejzaż jednak widzimy… za oknem. Swoje dzieła wystawia zarówno w Monachium, w Krakowie, jak i w Warszawie. W polskich miastach uznania nie zdobyły. Wówczas tak naprawdę liczyli się tylko Jan Matejko i może jeszcze Wojciech Gerson (choć ten drugi był także wybitnym pejzażystą), czyli malarze historyczni.

Warszawski malarz i krytyk współczesny artystce, Henryk Piątkowski, otwarty na nowe trendy w sztuce, zauważył po tej wystawie, że krytyka warszawska niepochlebnie wyraziła się o tych pierwszych próbach artystki, a tylko on oddał „należną sprawiedliwość jej wyjątkowemu talentowi malarskiemu i nie rozminął się z prawdą" (1895). Natomiast w stolicy Bawarii, „w gronie polskich malarzy tamtego czasu wybitnych, utalentowanych kobiet, które by utrwaliły swoje nazwiska i pozycję znakomitymi dokonaniami, zasadniczo nie było. Boznańska swoim wielkim talentem i wytrwałą konsekwentną pracą szybko, bo już w okresie monachijskim, osiągnęła największe wśród kobiet miejsce i dotąd je niepodważenie zajmuje" (Dziedzic, 2016).

Olga Boznańska „Dziewczynka z chryzantemami"
FOT. MUZEUM NARODOWE W KRAKOWIE

Autoportret Olgi Boznańskiej
FOT. MUZEUM NARODOWE W KRAKOWIE

Z roku na rok malarka staje się w Monachium coraz bardziej popularna. Uczestniczy w życiu towarzyskim, co ułatwia jej biegła znajomość kilku języków. W tym czasie poznaje przybyłego z Krakowa na nauki do tamtejszej Akademii Sztuk Pięknych 20-letniego malarza Józefa Czajkowskiego. Zakochuje się w młodszym o sześć lat mężczyźnie. Uchodzą tam za parę, choć zaręczyny utrzymują w tajemnicy. Olga imponuje Czajkowskiemu swoją pozycją i osiągnięciami. Związek nie wytrzymuje jednak próby czasy. Po powrocie do Krakowa z dwuletniego stypendium Józef spotyka się z Olgą, gdy bywa ona czasami w rodzinnym mieście. „Oldze, mimo tęsknoty, nieśpieszno było do małżeństwa i niezbyt lubianego Krakowa [...]. Pojawiły się jakieś niedomówienia, nieporozumienia, zdrady... ostatecznie zaręczyny zostały zerwane w roku 1900, już w Paryżu. Okrutny w swojej otwartości list Józefa śmiertelnie zranił Olgę, która mimo to jeszcze przez parę lat nie potrafiła o nim zapomnieć" (Rostworowska, 2003). „Znamy finał tego narzeczeństwa, znamy też skalę rozpaczy starzejącej się panny, która po siedmiu latach tego narzeczeństwa poczuła się dramatycznie osamotniona, upokorzona – ale jako artystka sztuce w najwyższym stopniu oddana – wolna" (Dziedzic, 2016).

Boznańska czasami przyjeżdżała do Krakowa. W trakcie jednego z pobytów maluje dwa wielkie obrazy. Nigdy już więcej takich ogromnych malowideł nie stworzyła. Mowa o obrazach „W oranżerii" (235 x 180 cm) oraz „W Wielki Piątek" (240 x 158 cm). Dlaczego więc zdecydowała się na taki krok w 1890 r., mając zaledwie 25 lat? Być może artystka chciała przez to zademonstrować rodzimej publiczności, jakie uczyniła w ostatnim okresie postępy. Pokazać, że kobiety też potrafią. „Okres monachijski, dwunastoletni, uznawać będzie zawsze za szczególnie ważny i pomyślny w jej artystycznej biografii. I choć w ocenie tego środowiska i doświadczeń bywała czasem bezkrytyczna – Monachium artystka w istocie zawdzięczała wiele" (Dziedzic, 2016). Ot, choćby tworzy wtedy „Portret Paula Nauena" (1893), uważany za dzieło kluczowe w jej karierze, a także „przełomowe w historii modernistycznego polskiego malarstwa portretowego". Nagradzany na wielu wystawach obraz już w 1896 r. został zakupiony do zbiorów Muzeum Narodowego w Krakowie jako pierwsze dzieło artystki.

Wróćmy jeszcze na chwilę do wspomnianego malowidła „Dziewczynka z chryzantemami", określanego nierzadko mianem arcydzieła. Szwajcarski krytyk, patrząc na obraz, zauważy dziewczynkę „o dziwnych i niepokojących oczach jak krople atramentu, co zdają się wylewać na przezroczystą twarz". Patrzmy więc w jej oczy. W końcu XIX w. inaczej się zwykło malować dzieci – w salonach czy w innych pięknych, kolorowych miejscach. Boznańska tym malowidłem zerwała z ową konwencją. Trzeba jeszcze dodać, że gdy władzę nad krakowską Szkołą Sztuk Pięknych objął Julian Fałat, zaproponował Oldze prowadzenie w niej kursu malarstwa dla kobiet za naprawdę poważną gażę. Boznańska odmówiła. Nie chciała żyć w Krakowie. Marzył się jej Paryż.

Samotność w Paryżu

W tej światowej stolicy sztuki „szalał" wówczas impresjonizm. „Artystka nie uważała się za impresjonistkę, określenie to nie było także popularne w Niemczech. W okresie monachijskim powstają jej najbardziej znaczące dzieła. Tam maluje »Portret Nauena«, który przynosi jej złoty medal na wystawie w Wiedniu oraz międzynarodowy rozgłos. Powstają też obrazy: »Imieniny babuni«, »Kwiaciarki«, »Dziewczynka z chryzantemami«" (Kokoska, 2015). Chociaż – jak twierdzą

eprasa.pl 468442f1bb

Olga Boznańska „Dzieci siedzące na schodach"
FOT. MUZEUM NARODOWE W POZNANIU

niektórzy znawcy – w tymże Monachium, w nieprzychylnej atmosferze dla tego kierunku, doszła w jego pobliże „zdumiewająco samodzielną drogą".

Ale w ukochanym przez siebie Paryżu, co nie dziwi, bo przecież była po kądzieli Francuzką, nie spoczęła na laurach. Jej upodobanie do tworzenia portretów (a także martwych natur) przynosi wiele wybitnych dzieł. Osiągnęła w tej dziedzinie własny, niepowtarzalny styl, wręcz mistrzostwo. Malowała ludzi ładnych, brzydkich, młodych i starych oraz pełne subtelności sylwetki dzieci. Jednym z takich obrazów, który urzekł piszącego te słowa, jest dzieło „Dzieci siedzące na schodach". Schody, powiedzmy sobie uczciwie, nie są zbyt częstym miejscem do portretowania ludzi. Także w tym portrecie osiągnęła Boznańska zupełne mistrzostwo w wydobywaniu z postaci istoty człowieczeństwa, łącząc przy tym ich wyobrażenia ze swoją marzycielską duszą. Swego czasu pisała z Paryża do swojej znajomej: „Mam 6 portretów dobrze umieszczonych dosyć (w Salonie). Cała krytyka pisze, że smutne, co ja zrobię, że smutne. Nic mogę być inną, niż jestem, jak podkład smutny, to wszystko, co na nim wyrośnie, smutnym musi być. Tak naprawdę nie przeszkadza ten smutek temu, aby naprawdę były najlepszymi portretami z całego Salonu".

Otóż to, „podkład smutny", czyli – mówiąc wprost – sama artystka smutna. Życie prywatne przestało ją interesować. Po roku 1900 przestała dbać o cokolwiek, chyba że o różne zwierzaki, które buszowały po jej domu – myszy, kanarka, papugę, psa. Poświęca się całkowicie malarstwu i tak już pozostanie do końca jej dni. Tworzy bezustannie, choć jej obrazy stają się jakby mgliste i przygaszone. Pogrąża się coraz bardziej w sztuce. Odnosi sukcesy, wystawia swoje dzieła i jest wielokrotnie nagradzana. „Sztuka jest dla niej wszystkim, wszystko jej zastępuje. Pracownia staje się jej światem i niepodzielnym królestwem [...]. W życiu prywatnym nie dba o nic. Ta do niedawna jeszcze elegancka kobieta staje się osobą zaniedbaną, rezygnuje z możliwości założenia rodziny. Jest samotna, choć w jej domu, jej pracowni gości zawsze mnóstwo ludzi..." (Witz, 1970).

„Po Paryżu chodziła w sukni gipiurowej z trenem pełnym falban i plis. Wzbijał się za nią tuman kurzu. Drobna, delikatna, wyglądała jak posąg wyjęty na chwilę z ciemności piramidy" (Kuźniak, 2019). Autorka przytacza także słowa człowieka wielu talentów, Józefa Czapskiego, który miał powiedzieć w czasie, gdy chorowała, że siedząc u jej wezgłowia, „odnosiło się wrażenie, że pełni się straż nad grobowcem średniowiecznym".

Upodobanie Boznańskiej do tworzenia portretów przynosi wiele wybitnych dzieł. Osiągnęła w tej dziedzinie prawdziwe mistrzostwo. Zerwała z dotychczasową konwencją malowania dzieci

Artystka już w 1912 r. została odznaczona Francuską Legią Honorową, a dopiero ponad ćwierć wieku później w Polsce otrzymała Order Polonia Restituta (1938). Cóż, często tak bywało z polskimi malarzami. Za granicą doceniani, w kraju nie za bardzo lub dopiero po wielu latach. Jak pisał w 1894 r. anonimowy krytyk („Głos Narodu" nr 170): „Publiczność nasza nie jest wykształcona artystycznie. Dla niej istnieje albo przyjemny dla jej oka sposób malowania, albo przyjemna osoba artysty [...]. Do takich nieuznawanych przez naszą publiczność należy i Olga Boznańska. Obrazy jej nie podobają się – bo są za dobrze malowane. Nie dozna też ona nigdy powodzenia między szeroką masą zwiedzaczy niedzielnych, bo nie kokietuje żądanym przez nich schematem".

Jednak doznała tego powodzenia, bo wielką artystką była. Truizm? Wesprę się tu słowami Eugène'a Delacroix, który twierdził, że „nie ma wielkiego artysty bez arcydzieła: ale ci wszyscy, którzy stworzyli za życia jedno arcydzieło, nie są jeszcze z tego powodu wielcy" (Poprzęcka, 2000). Panna Olga stworzyła ich wiele.

Olga Boznańska umiera w paryskim szpitalu w samotności. Nie ma przy niej nikogo z wcześniejszych znajomych czy przyjaciół. Przeżyła 75 lat. Swego czasu napisała do ojca o trafności wyboru takiego, a nie innego sposobu na życie: „To moje szczęście, że innego nie pragnę na świecie, i w chwili, kiedy nie będę mogła malować, powinnam przestać żyć".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

WYBRANA BIBLIOGRAFIA:

Dziedzic S., ***„Monachijskie lata Olgi Boznańskiej"****, „Hybryda" 2016 nr 29; Kokoska B.,* ***„Impresjonizm polski"****, Ożarów Mazowiecki 2015; Kopszak P.,* ***„Olga Boznańska"****, Warszawa 2006; Kuźniak A.,* ***„Boznańska. Non finito"****, Kraków 2019; Piątkowski H.,* ***„Polskie malarstwo współczesne"****, Petersburg 1895; Poprzęcka M.,* ***„Pochwała malarstwa. Studia z historii i teorii sztuki"****, Gdańsk 2000; Rostworowska M.,* ***„Portret za mgłą"****, Warszawa 2003; Witz I.,* ***„Polscy malarze, polskie obrazy"****, Warszawa 1970.*

eprasa.pl 468442f1bb

Pawilon Hitachi na Expo 2005 w Aichi

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, GNSIN

Lata 80. XX w. / Nippon pompuje bańkę

Jak Tokio kupowało Manhattan

Jakub Wozinski

Gdy w 1989 r. Japończycy przejęli pakiet kontrolny akcji Rockefeller Center w Nowym Jorku, wielu Amerykanów było przekonanych, że ich kraj będzie musiał wkrótce uznać wyższość Kraju Kwitnącej Wiśni. Dlaczego japoński sen o potędze tak szybko się skończył?

eprasa.pl 468442f1bb

Honda Civic pierwszej generacji, lata 70. XX w.
FOT. COMMONS WIKIMEDIA, CALREYN88

Japonia odzyskała suwerenność w kwietniu 1952 r. i podobnie jak Niemcy weszła na ścieżkę niezwykle dynamicznego rozwoju (nawet 9,6 proc. PKB rocznie). Przestawiając się z produkcji wojskowej na cywilną, Japończycy uzyskali swobodny dostęp do rynków pozostałych krajów kapitalistycznych, co bardzo ułatwiło im rozwój swoich wielkich firm. Amerykańskie władze okupacyjne rozwiązały przedwojenne kartele, czyli zaibatsu, lecz Japończycy w pewnym sensie odtworzyli je na nowo w łagodniejszej formie. System keiretsu, czyli rozbudowanych sieci firm skupionych najczęściej wokół dużych banków, doskonale napędzał powojenny wzrost, lecz jednocześnie stwarzał wiele potencjalnych zagrożeń. Kartele mają wszak to do siebie, że choć pozwalają swoim członkom odnosić korzyści kosztem konsumentów, to jednocześnie uniemożliwiają właściwe odbieranie sygnałów płynących z rynku.

Powojenna Japonia była jednym z najbardziej zdyscyplinowanych członków systemu z Bretton Woods. Jej polityka fiskalna i monetarna ściśle odpowiadała potrzebom Amerykanów, którzy w zamian umożliwiali Japończykom utrzymywanie wysokiej nadwyżki handlowej i dynamiczny rozwój ich marek. To właśnie w latach 60. XX w. furorę na całym świecie zaczynały robić takie firmy jak Sony czy Honda, które wspierane przez japońskie państwo zdobywały uznanie za sprawą wysokiej jakości produktów. Japończycy przejściowo nie mogli myśleć o odtworzeniu swojego imperialnego statusu, ale ekspansja ekonomiczna w zupełności im to rekompensowała.

Przynależność do systemu z Bretton Woods wiązała się jednak z określonymi kosztami. Jeśli japoński jen miał pozostawać w stosunku do amerykańskiego dolara w ściśle określonym stosunku, a japońska gospodarka rozwijała się w tak imponującym tempie, to wiązało się to z koniecznością dokonywania stałej ekspansji pieniężnej. Już w latach 60. doprowadziło to do pierwszych korekt, choć początkowo nie tak dramatycznych, jak w późniejszym okresie.

Na wzburzonym oceanie

Wszystko skomplikowało się, gdy w 1971 r. Richard Nixon oficjalnie zamknął „złote okno", system z Bretton Woods się rozpadł, a świat wkroczył na zupełnie niezbadane dotąd terytoria ogromnego zadłużenia i narastających deficytów. W latach 70. Japonia po raz pierwszy w swoich dziejach odnotowała deficyt budżetowy, choć wcześniej – nawet w czasie wojny – utrzymywała nadwyżkę.

Obserwując narastający chaos, decydenci w Tokio uznali, że najlepiej będzie dalej podążać za Stanami Zjednoczonymi, będącymi głównym rynkiem zbytu dla japońskich towarów. Bank Japonii wciąż starał się dbać o utrzymanie kursu jena względem dolara na poziomie zbliżonym do poprzednich dekad, lecz już w połowie lat 70. spowodowało to galopującą inflację. Niezwłocznie podniesione zostały stopy procentowe, żeby zniwelować wzrost cen.

Mniej więcej od tego momentu w Japonii zwyciężyło przekonanie, że kraj musi podążać swoją własną ścieżką monetarną i fiskalną. Z dzisiejszej perspektywy można zaryzykować tezę, że Japończycy zdążyli nabrać ogromnego apetytu na dalszą ekspansję na światowych rynkach i postanowili zagrać bardziej agresywnie, obniżając w 1978 r. swoją główną stopę procentową do 3,5 proc. W tym czasie zdobyte już zostały ważne przyczółki w amerykańskiej gospodarce. Honda od 1972 r. produkowała model Civic, który z powodu niskiego spalania okazał się w świecie kryzysu naftowego wielkim hitem sprzedażowym. Auta Toyoty zyskały popularność dzięki niezawodności, natomiast Sony wprowadziło na rynek przenośny odtwarzacz kaset magnetofonowych znany jako walkman.

Zyski japońskich firm i kredytujących ich banków w połączeniu z luźną polityką Banku Japonii sprawiły, że już w 1980 r. japoński jen odpowiadał za ok. 5 proc. światowych rezerw walutowych. Japonia zaczęła pożyczać innym państwom, a popyt na jej dług wyraźnie wzrósł, co odzwierciedlało powszechne uznanie dla osiągnięć jej wiodących marek. Podobnie jak Niemcy Kraj Kwitnącej Wiśni nie musiał wydawać większych środków na badania i rozwój w obszarze militarnym, ponieważ niemal całe koszty ponosili tu Amerykanie. Japońskie elity coraz odważniej myślały o zdominowaniu rynków w swoim regionie.

W połowie lat 80. udział jena w światowych rezerwach walutowych wzrósł do 8 proc., co w znacznej mierze stanowiło rezultat jego umocnienia się względem dolara. Taki obrót spraw nie mógł oczywiście ujść uwadze Stanów Zjednoczonych, które musiały bronić statusu swojej waluty jako głównego

Seiko Astron, pierwszy naręczny zegarek kwarcowy, 1969 r.
FOT. COMMONS WIKIMEDIA, DEUTSCHES-UHRENMUSEUM

eprasa.pl 468442f1bb

środka międzynarodowych rozliczeń. We wrześniu 1985 r. ministrowie finansów RFN, Francji, Wielkiej Brytanii i Japonii zawarli tzw. Porozumienie z Plaza, na mocy którego dolar miał zostać osłabiony w stosunku do najważniejszych walut zachodniego świata. Cel ten został zrealizowany i Amerykanie zyskali zdecydowanie lepszą pozycję wyjściową do zwiększania swojego eksportu.

Lustrzanka Canon AE-1, wprowadzona na rynek w 1976 r.

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, CHARLES LANTEIGNE

Rosnąca bańka

Oczywistym poszkodowanym porozumienia z 1985 r. była Japonia. W połowie lat 80. Amerykanie mieli wystarczająco silną pozycję, aby wymusić na swoich sojusznikach nawet niekorzystne dla nich rozwiązania. Japoński eksport do USA musiał ucierpieć (jego udział w PKB spadł z 13,6 proc. w 1985 r. do mniej niż 10 proc. w 1987 r.), lecz Japończycy postanowili, że powstałą w ten sposób wyrwę spróbują załatać dalszą ekspansją kredytową, nastawioną bardziej na zaopatrywanie rynku wewnętrznego. W 1986 r. główna stopa procentowa Banku Japonii została obniżona z 5 proc. do zaledwie 2,6 proc.

W ten właśnie sposób w drugiej połowie lat 80. doszło do powstania wielkiej bańki spekulacyjnej. Ceny akcji na japońskiej giełdzie oraz wartości nieruchomości zaczęły dynamicznie rosnąć, a Japończycy na potęgę zapożyczali się, aby nabyć jeszcze więcej aktywów. Pomagały im w tym japońskie banki, spośród których aż siedem znalazło się w ścisłym gronie 10 największych pod względem kapitalizacji banków na świecie. Wydana w tamtym czasie w Stanach Zjednoczonych książka „Japonia jako numer jeden: lekcje dla Ameryki" szybko znalazła się na liście bestsellerów, a opinia publiczna na świecie zachwycała się osiągnięciami japońskiego modelu gospodarczego.

W latach 80. japońscy producenci aut mieli aż 20 proc. udziału w amerykańskim rynku, a koncerny produkujące sprzęt elektroniczny otwierały fabryki niemal na całym świecie – począwszy od Europy, a skończywszy na Australii. Japończycy inwestowali jednak przede wszystkim w regionie Azji Południowo-Wschodniej oraz w Korei Południowej.

Na japońskim rynku nieruchomości zaczęło dochodzić do prawdziwych ekscesów: w latach 1985–1989 ceny ziemi w sześciu głównych miastach wzrosły aż o 600 proc. Gdyby Japonia nie była stale zagrożona trzęsieniami ziemi ograniczającymi możliwość budowy wysokich konstrukcji, pamiątką po bańce z lat 80. byłby zapewne imponujący las wieżowców, przewyższający swoim rozmachem to, co można zaobserwować w Nowym Jorku czy Hongkongu. Pomimo tego w Japonii zawierano wiele transakcji, które szokowały świat: w 1987 r. pojedynczy kompleks biurowy sprzedany został za równowartość 4 mld dol.

Obawy Amerykanów w kwestii rosnącej potęgi Japonii podsycały kolejne spektakularne przejęcia ważnych nieruchomości leżących w samym finansowym sercu Stanów Zjednoczonych. Oprócz wspomnianego już zakupu Rockefeller Center firma Mitsui Real Estate nabyła w 1987 r. Exxon Building za 625 mln dol., bijąc tym samym dotychczasowy rekord wartości budynku biurowego w USA. Z amerykańskiej perspektywy mogło się wydawać, że Manhattan zostanie wręcz przejęty przez obcy kapitał.

Pierwszy walkman Sony, 1979 r.

FOT. COMMNOS WIKIMEDIA, YOSHIKAZU TAKADA TOKYO JAPAN

eprasa.pl 468442f1bb

Bogacący się w szybkim tempie Japończycy robili duże zakupy nie tylko w USA. Do Kraju Kwitnącej Wiśni napływały z całego świata obrazy, rzeźby i inne dzieła sztuki. Przedsiębiorca z Osaki pobił rekord świata, płacąc za „Portret doktora Gacheta" Van Gogha aż 90 mln dol. Z kolei firma ubezpieczeniowa Yasuda nabyła „Słoneczniki" Van Gogha, a magnat rynku nieruchomości Tomonori Tsumanaki stał się właścicielem „Les Noces de Pierrette" Picassa. Japończycy od dawna byli znani jako wielbiciele sztuki, ale w latach 80. przyświecała im na ogół chęć odpowiedniego ulokowania kapitału.

Dla milionów Japończyków tamta dekada była niczym sen. Kredyty były dosłownie na wyciągnięcie ręki, płace dynamicznie rosły, a społeczeństwo szybko przywykło do bardzo konsumpcyjnego stylu życia. W poprzednich dekadach władze nieco utrudniały wyjazdy zagraniczne zwykłym obywatelom, lecz w latach boomu japońska klasa średnia dosłownie rozlała się po całym świecie, a jej znakiem rozpoznawczym stały się zdjęcia wykonywane wysokiej klasy sprzętem. Intensywnej turystyce sprzyjał też niewątpliwie silny jen.

Konsola Nintendo, 1979 r.
FOT. COMMONS WIKIMEDIA, EVAN-AMOS

Koniec snów

Japończycy zostali brutalnie obudzeni w grudniu 1989 r., gdy na głównym indeksie tokijskiej giełdy odnotowano duże spadki. Bank Japonii podniósł wcześniej stopy procentowe, co ograniczyło płynność w systemie finansowym. Wiosną 1990 r. przyszła kolej na tąpnięcia na rynku nieruchomości. Niebawem okazało się, że wiodące instytucje finansowe są na dużym minusie – w pewnym momencie wysokość strat odnotowanych przez banki z Tokio i Osaki odpowiadała aż jednej czwartej całego japońskiego PKB.

Poważne problemy japońskiej gospodarki ciągnęły się niemal przez całe lata 90. Bodaj najbardziej dramatyczne wydarzenia miały jednak miejsce w styczniu 1995 r., gdy w Kobe doszło do silnego trzęsienia ziemi. Szykujące się do wypłaty odszkodowań firmy ubezpieczeniowe zaczęły gorączkowo wyprzedawać aktywa w obcych walutach, aby zgromadzić jak najwięcej jenów. Doprowadziło to do nagłego wzrostu wartości japońskiej waluty, która od kilku lat coraz bardziej wzmacniała się w stosunku do dolara. W kryzysowych dniach jen stał się tak drogi, że drastycznie ograniczył atrakcyjność japońskiego eksportu. Bank centralny Japonii zdecydował się obniżyć stopę procentową do najniższego poziomu w historii – zaledwie 0,5 proc. – choć tym razem banki komercyjne zaczęły wręcz zniechęcać klientów do pożyczania pieniędzy. Nie mogło się to nie odbić na kondycji wiodących instytucji finansowych – w listopadzie 1997 r. aż 98 z nich upadło.

Japoński cud gospodarczy zakończony wielkim krachem pozostawił trwałe ślady właściwie do dziś. Odważni przedsiębiorcy z Kraju Kwitnącej Wiśni stali się dużo bardziej zachowawczy i przestali wdrażać innowacje w takim zakresie, jak w latach boomu. Japońskie banki wciąż niechętnie udzielają większych kredytów komukolwiek innemu niż dużym i wiarygodnym przedsiębiorstwom. W rolę stymulatora popytu konsumpcyjnego aktywnie wkroczyło natomiast państwo. Miało to jednak swoje konsekwencje. Od końca XX w. Japonia pozostaje najbardziej zadłużonym państwem na świecie (obecnie relacja długu do PKB wynosi ok. 260 proc.).

Odpowiedzialność japońskich liderów politycznych i biznesowych za stworzenie wielkiej bańki spekulacyjnej i późniejszy krach wydaje się dość oczywista. Pod pewnymi względami to, co działo się w Japonii, stanowiło jednak tylko odzwierciedlenie globalnych trendów. To właśnie w latach 80. XX w. rozpoczął się proces globalizacji rynków finansowych. Na całym świecie upowszechniły się komputerowe systemy do inwestowania, znoszące wiele z dotychczasowych ograniczeń przepływu kapitału. Do pogłębienia tego zjawiska walnie przyczyniła się sama Japonia, której rząd zliberalizował w 1985 r. przepisy regulujące handel na rynkach oraz obrót kapitałem poza granicami.

Szczyt japońskiej bańki spekulacyjnej przypadł na okres, gdy świat zachłysnął się nowymi możliwościami, które stwarzał swobodny obrót kapitałem. Globalna wartość transakcji z udziałem obligacji i akcji wzrosła w latach 80. kilkunastokrotnie, a manii inwestowania w japońskie akcje czy rynek nieruchomości ulegli inwestorzy praktycznie z całego świata. Mało kto pamięta dziś, że jeszcze większa bańka na rynku nieruchomości powstała dokładnie w tym samym momencie w krajach skandynawskich.

Japończycy mogli do pewnego stopnia żywić przekonanie, że ogromne zyski i rosnąca wartość aktywów to efekt ogromnego sukcesu ich wiodących firm. Auta Toyoty, sprzęt muzyczny Sony, gry Nintendo czy aparaty Canona symbolizowały przecież wysoką jakość i nowoczesne technologie. Jako kraj z imperialną przeszłością Japończycy mogli także zakładać, że światowa popularność jena to wyraz zaufania do pozycji ich gospodarki w międzynarodowej polityce. Ostatecznie okazało się jednak, że w systemie hegemonii dolara nie może być miejsca na tak silną konkurencję.

Niemal natychmiast po pęknięciu japońskiej bańki na ścieżkę dynamicznego rozwoju wkroczyły Chiny. Pod wieloma względami Państwo Środka prezentuje się dziś dokładnie tak samo jak Japonia w latach 80. Czy chiński sen o potędze pryśnie w podobnych okolicznościach?

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 468442f1bb

1939–1943 / Pan życia i śmierci sosnowieckiego getta

Likwidacja getta w Sosnowcu FOT. YAD VASHEM

„Król” zagłębiowskich Żydów

Sebastian Reńca

Mojżesz Merin w czasie wojny niepodzielnie rządził żydowską społecznością Zagłębia. Wolną rękę dał mu w tym zakresie sam Heinrich Himmler

W sobotę 19 czerwca 1943 r. mieszkańcy sosnowieckiego getta, które Niemcy stworzyli w robotniczej dzielnicy Środula, byli w szoku. Ich wielki przywódca, król i władca, Mojżesz Merin, został zatrzymany przez Niemców wraz ze swoją świtą…

„Chodziliśmy po getcie bez celu, byliśmy jak żywe trupy. Kręciliśmy się po ulicach, udawaliśmy, że jeszcze żyjemy. Getto było jak statek bez kapitana” – pisał Henry Neugebauer w książce „Gęsi puch”.

Romek Goldminc, komendant policji żydowskiej, był świadkiem, jak Niemcy prowadzą ludzi do ciężarówki. Mieli być internowani, ale tak naprawdę czekała ich droga do KL Auschwitz. Tamtego dnia do obozu przywieziono 45 Żydów. „Król Mojżesz” – bo tak o nim mówiono – był jednym z nich… To był człowiek, o którym Chaim Mołczadzki z Będzina powiedział: „Cokolwiek Merin robi, jest dobre – jest błogosławionym przez Boga przywódcą”. Jednak nie wszyscy tak uważali…

Niech osądzi mnie historia

Po wojnie dziennikarz Mordechaj Canin, który przyjechał do Polski, by opowiedzieć o kraju po Holokauście, napisał w jednym z reportaży, które drukował w nowojorskiej gazecie „Forwerts”: „Do panowania nad zgnębionymi Żydami wyznaczono osławionego Mońka Merina. Jego rękami Niemcy zaczęli zagładę Żydów. On był tym, który dostarczał Niemcom »wyselekcjonowane transporty« Żydów do Oświęcimia. Najpierw biedaków, bezrobotnych, potem sieroty, wdowy, chorych ze szpitala, Żydów z innych gmin. Germański moloch żądał coraz więcej ofiar i Merin dostarczał tysiąc, dwa tysiące, dziesięć tysięcy z Sosnowca, z Będzina, z Chorzowa, z Katowic. Piece w Oświęcimiu szeroko otwierały drzwi dla Żydów, a Moniek Merin dostarczał pełne pociągi ludzi”.

Sam Merin tak tłumaczył swoje postępowanie:

„Jestem w klatce, naprzeciwko wściekłego, głodnego lwa. Podsuwam mu ludzkie mięso, mięso moich braci i sióstr… Dlaczego? Robię to, ponieważ chcę utrzymać tego lwa w jego klatce, tak żeby nie mógł wyjść i zdeptać oraz pożreć nas wszystkich […]. Niech osądzi mnie historia”.

eprasa.pl 468442f1bb

Fałszerz weksli z Sosnowca przed sądem w Częstochowie

W swoim czasie pisaliśmy obszernie o wielkiej aferze fałszowania weksli, której bohaterem był jeden z kupców żydowskich w Sosnowcu, Mojżesz Merin. Wspólnikiem Merina był niejaki Zajdman, również z Sosnowca.

Po ujawnieniu afery Merina aresztowano w Częstochowie, Zajdman zaś zdołał ulotnić się za granicę. Za zbiegłym oszustem rozesłano listy gończe.

Wczoraj Merin zasiadł na ławie oskarżonych Sądu okręgowego w Częstochowie. Na rozprawę powołano wielu świadków z Sosnowca, Będzina, Częstochowy i innych miejscowości.

Wobec konieczności powołania dodatkowych świadków rozprawę odroczono do dnia 20 bm.

Notatka prasowa o Mojżeszu Merinie z 1938 r. FOT. JBC

„Osławiony” Merin, który „ludzkim mięsem” karmił niemieckie lwy, przed wojną był zwykłym hochsztaplerem i karciarzem, sądzonym za machlojki gospodarcze.

Sala Garncarz, która w 1923 r. urodziła się w Sosnowcu, opisała go jako zawsze spiętego syjonistę i pomniejszego polityka, który „cieszył się wątpliwą reputacją jako rozwodnik i hazardzista, ambitny hochsztapler, nieustannie proszący o pożyczki lub przysługi”. Również sosnowiczanin Dawid Fischer tak scharakteryzował Merina w kilka słowach: „Marna kreatura, kobieciarz, karciarz i nicpoń”.

Jako „król” narodził się już w pierwszych dniach okupacji Sosnowca. Stało się to w halach schoenowskich, do których Niemcy spędzili setki Żydów. Gdy okupanci zaczęli do nich strzelać, ludzie uciekali na oślep, tratowano tych, którzy upadli na beton. Kiedy wszystko ucichło, mężczyźni mieli stać i się nie ruszać, a kto nie wykonał rozkazu, był bity. Jeżeli ktoś omdlewał, to polewano go wodą, by świadomie cierpiał dalsze tortury. W tym czasie pozostali mogli tylko na to patrzeć i marzyć o wodzie, której nie mieli w ustach od wielu godzin.

Kiedy już oprawcom znudziło się patrzeć na stojących więźniów, rozkazali im klęczeć. Co jakiś czas Niemcy strzelali do swoich ofiar. Gdy zapadł zmrok, ciemność została rozświetlona reflektorami. Po wielogodzinnym klęczeniu padł rozkaz, by mężczyźni wstali. Niejednemu nogi odmówiły posłuszeństwa. W ruch znowu poszły pięści, szpicruty i buty. Gdy wszyscy już stali, co 10. Żyd musiał wystąpić. Ci nieszczęśliwcy zostali wyprowadzeni, a Niemcy część z nich rozstrzelali. Ci, którzy wciąż byli na miejscu, musieli położyć się na betonie, twarzami do ziemi i tak leżeli do świtu, kiedy padł rozkaz, by pokazali się piekarze, a następnie wystąpili rzeźnicy. Niemcy pozwolili kilku mężczyznom iść po wodę, którą ci przynieśli w wiadrach.

„Czy jest tutaj ktoś, kto należy do Rady Gminy Żydowskiej?” – padło głośne pytanie.

Wówczas przed szereg wystąpił Mojżesz Merin, a raczej zaczął biec w kierunku esesmana, który zadał to pytanie.

Mojżesz dostał rozkaz sprowadzenia do hal jedzenia. Do pomocy dostał kilku mężczyzn i pozwolenie na wchodzenie do sklepów, z których zabierano żywność. Wtedy niektórzy z przetrzymywanych w halach Żydów po raz pierwszy zobaczyli swego „króla”.

6 września 1939 r. w kamienicy przy ul. Modrzejowskiej 22 Mojżesz Merin powołał do życia Komitet Żydowskiej Gminy Wyznaniowej, na którego czele sam stanął. W grudniu 1939 r. komisarz generalny Hans Dreier, kierownik referatu do spraw żydowskich w katowickim gestapo, wyznaczył Merina na przełożonego wszystkich Żydów mieszkających w rejencji katowickiej, a później także w części opolskiej. Trzydzieści siedem gmin żydowskich, z ok. 100 tys. „poddanych”, znalazło się pod autokratyczną władzą, którą Merin sprawował osobiście i wyłącznie.

Dreier pisał w sygnowanym przez siebie rozporządzeniu m.in.:

„Moszek Merin z Sosnowca został przeze mnie upoważniony do stosowania wszystkich dostępnych środków wobec rasy żydowskiej na terenie rejencji katowickiej. On jest osobiście odpowiedzialny przede mną. Do przeprowadzenia tych zadań jest on uprawniony do: 1) swobodnego przemieszczania się dniem i nocą po ulicach, 2) wstępu do urzędów niemieckich [...], 3) utworzenia rad starszych w terenie [...]. Wszystkie utworzone gminy żydowskie są mu podległe”.

W ten sposób została ustanowiona Centrala Żydowskich Rad Starszych Wschodniego Górnego Śląska. Leiter – tak tytułowano Merina – miał za zadanie organizować życie żydowskie na obszarze zawiadywanym przez CŻRS, której siedziba mieściła się przy ul. Targowej 12 w Sosnowcu.

Glejt od Himmlera

Władza Merina była ogromna, tak jak ambicje i ego. Miał więc pozwolenie na nieograniczone poruszanie się po mieście – zarówno w dzień, jak i w nocy. Bez ograniczeń mógł również wchodzić do urzędów niemieckich. Kiedy Żyd mógł mieć 1 tys. marek i 2 tys. zł, Merin mógł ich mieć 10 tys.

„Król” miał też do dyspozycji własny samochód z szoferem. Początkowo był nim Polak, ale gestapo zakazało zatrudniania chrześcijanina przez Żyda i od 10 maja 1940 r. został nim Naftali Baron.

„Centrala wystarała się dla mnie o niemieckie prawo jazdy. Złożyłem drugi raz egzamin i Gestapo zezwoliło na zatrudnienie mnie w związku z zarządzeniem zwolnienia Polaka szofera. Gestapowcy mówili mi, że byłem jedynym Żydem w Rzeszy, który ma niemieckie prawo jazdy – opowiadał Naftali Baron 4 grudnia 1946 r. w Wojewódzkiej Żydowskiej Komisji Historycznej w Katowicach. – Moniek miał przepustkę, którą stale przedłużano, na podstawie której mógł jeździć do Generalnego Gubernatorstwa, po całym Śląsku. Dla mnie, jako dla szofera, wystarali się o odpowiednie przepustki. Poza Śląskiem i Zagłębiem jeździłem z Merinem do Warszawy w roku czterdziestym, do Krakowa w tym samym roku, do Łodzi, nie pamiętam, czy w czterdziestym czy w czterdziestym pierwszym roku,

Mojżesz Merin (z prawej) i Chaim Rumkowski, prezes Starszeństwa Żydów w Łodzi

FOT. YIVO, MALINIAK

eprasa.pl 468442f1bb

Domy w getcie na Środuli w Sosnowcu

FOT. UNITED STATES HOLOCAUST MEMORIAL MUSEUM

do Morawskiej Ostrawy. W Krakowie byliśmy niezliczoną ilość razy. Merin był również kilka razy w Berlinie, ale pociągiem".

Gdy wybuchła wojna, Leon Schönker został przewodniczącym Żydowskiej Rady Starszych w Oświęcimiu, dlatego prędzej czy później musiał dowiedzieć się o „królu" z Sosnowca. Najprawdopodobniej po raz pierwszy usłyszał to nazwisko od prof. Leo Baecka. Profesor ostrzegł Schönkera przed Merinem jako zaufanym człowiekiem Himmlera i Eichmanna. Więcej o Merinie Schönker dowiedział się od mężczyzny, który przyjechał do Oświęcimia z Katowic. Ów gość opowiedział mu o tym, jak Merin został człowiekiem Niemców oraz że bardzo szybko stał się tym, który zaspokajał wszelkie potrzeby oficerów.

Teren getta w Sosnowcu zaznaczony na powojennej mapie

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, PIOTR WOJNOWSKI, PRACA WŁASNA

Był styczeń 1940 r., kiedy to Leon Schönker w końcu poznał „króla". Naftali Baron przywiózł Merina volkswagenem do Oświęcimia. Na koniec spotkania „król" zaproponował, by jego gospodarz pojechał z nim do Sosnowca. W czasie drogi z Oświęcimia do stolicy Zagłębia Dąbrowskiego Merin pochwalił się dokumentem, o którym Schönkerowi opowiedział prof. Leo Baeck: „Israel Moniek Merin występuje w moim imieniu. Wszyscy przedstawiciele władzy niemieckiej mają ustosunkować się do jego poleceń, tak jakby wyrażone były przeze mnie osobiście. W sprawach wymagających wyjaśnień należy zwracać się wprost do mnie. Podpisał Heinrich Himmler".

Eden Merina

Przez wiele miesięcy, aż do „wysiedleń" w 1942 r., „król" uważany był przez wielu za zbawcę. Aron Brandys wspominał: „Gdy przyjechałem do Będzina, zastałem tam zupełnie inny świat niż ten, który zostawiłem w Generalnej Guberni. Tam wykańczano wtedy ostatnie getta, akcja zagłady pochłaniała ostatnich Żydów, a tu w Zagłębiu nowy świat żydowski. Odbywają się zebrania i referaty. W kolektywach śpiewają, czytają książki, prowadzą pogawędki na różne tematy, prowadzi się życie żydowskie w pewnej mierze…".

Inka Wajsbort pisała w książce „Był świat": „W Zagłębiu – nie potrafię wytłumaczyć tego zjawiska – właściwie nie widziało się nędzy, takiej skrajnej nędzy. Kto nie miał pieniędzy, nie kupował niczego poza przydziałem, który co prawda był bardzo skromny, ale chronił przed śmiercią głodową. Dostawaliśmy chleb, brukiew, kapustę i marmoladę buraczaną […]. Skrajnego głodu w gettach Zagłębia nie doświadczyliśmy".

Ludzie ryzykowali przejście przez zieloną granicę pomiędzy Generalną Gubernią a Rzeszą, by tylko dostać się do Zagłębia Dąbrowskiego, w którym Żydami rządził Merin.

Gdy w Sosnowcu gościł Friedrich „Fritz" Fiala, dziennikarz urodzony w Wiedniu w 1906 r. w rodzinie czesko-niemieckiej, była połowa roku 1942. W tym czasie Fiala pracował nie tylko jako redaktor i reporter, lecz także agent NSDAP (do partii wstąpił w 1938 r.) oraz Abwehry. Jego tekst został wydrukowany w niemieckiej gadzinówce ukazującej się we Francji. Fiala opisał żydowski Sosnowiec i Będzin, był pełen zachwytów nad życiem jego „niearyjskich" mieszkańców. Dziennikarz zauważył tylko jeden wyjątek w ów „sielance" – dzieci, które są na swej małej wojnie z żydowską policją.

Ochroniarze i gliniarze

Merin stworzył policję żydowską, która była nazywana jego ochroniarzami. Policja powstała w roku 1940, była chlubą Merina i jego strażą przyboczną. Ludzie po raz pierwszy zobaczyli policjanta z białą czapką na głowie i opaską na lewym ramieniu z napisem „Jüdische Strassenordner", gdy któregoś dnia stanął na skrzyżowaniu ulic Modrzejowskiej z Targową i kierował ruchem; nie tylko samochodowym czy wozów konnych, lecz także na chodnikach. Policjanci pilnowali, by nie zbierały się grupki tworzące zatory, by nikt nie handlował. Z czasem zadania policjantów nie będą już tak prozaiczne, ale tragiczne… Merinowych gliniarzy obawiano się w niedługim czasie tak samo jak SS, choć według historyka Alberta Nirensztaina Żydzi mieli o wiele mniej styczności z Niemcami niż z własną policją.

„Gdy Gestapo chciało aresztować Żyda, zwracało się do żydowskiej policji, ta zaś dostarczała rzekomego przestępcę, który być może naruszył godzinę policyjną, przeszedł na drugą stronę zakazanej ulicy lub ukradł coś do jedzenia. Co tydzień przeprowadzano egzekucje około trzydziestu osób uznanych za przestępców" – pisze Ann Kirschner w książce „Listy z pudełka. Sekret mojej mamy".

eprasa.pl 468442f1bb

Żydzi na robotach przymusowych między Sosnowcem i Będzinem

FOT. UNITED STATES HOLOCAUST MEMORIAL MUSEUM

Żydowska policja brała czynny udział w „wysiedleniu" Żydów z „królestwa" w sierpniu 1942 r. Chajka Klinger pisała w swym dzienniku: „Milicja żydowska pokazała, co potrafi. Gdy komuś się udało przebiec na stronę zwolnionych, zmieszać się z tłumem, na siłę go wywlekali. Matce z wózkiem, w którym leżało małe dziecko, udało się jakimś cudem przekraść na stronę, która wiodła do obozu zwolnionych. Milicjant dopadł do niej, złapał wózek i podrzucił go do góry. Dziecko wypadło z wózka na kamienie. Zmarło na miejscu".

Gdy w 1942 r. praktycznie nie było już w mieście bogatych żydowskich kupców i przemysłowców, zostali ci, którzy wzbogacili się na „szmuglu granicznym, na wysługiwaniu się Niemcom w szopach, warstwa, która wraz z agentami gestapowskimi, wyższymi funkcjonariuszami Judenratu i policji żydowskiej składała się na plutokrację żydowską, która poza realizowaniem polityki eksterminacyjnej wroga prowadziła na własną rękę w stosunku do mas żydowskich politykę ucisku podatkowego i mieszkaniowego, politykę kontrybucji i kar pieniężnych, politykę dyskryminacji biednych warstw ludności żydowskiej" – pisał Nirensztain.

Sztuka dla „króla"

Emil Zegadłowicz zamieszkał w Sosnowcu, ponieważ był chory, cierpiał – miał raka gruczołów limfatycznych – a w tutejszym szpitalu miał szansę na leczenie. Przyjechał do stolicy Zagłębia Dąbrowskiego w listopadzie 1940 r. i zamieszkał przy ulicy Mariackiej 4, w niewielkim jednopiętrowym domu z półokrągłym balkonem i sześcioma oknami od frontu.

Pisarz poznał Merina 2 stycznia 1941 r. Spotkanie odbyło się w siedzibie Centrali. Zegadłowicz. Tak opisał ten dzień: „[…] poznaliśmy tajemniczego, już dziś legendarnego Merina – organizatora Żydów – przywódcę Żydów – Merina, który wywiódł Żydów z niewoli najsroższej i upodlenia – zratował dziesiątki tysięcy żywotów – przywrócił im godność ludzką. – Istotnie: postać niezwykła! – Zewnętrznie: raczej niski (tzw. średni wzrost) – bardzo szczupły, ruchliwy, lecz nie nerwowy – twarz wychudzona (policzki wybrane) – oczy jasne – wzrok badawczo-bystry, wysokie, wypukłe czoło […]. Wielki człowiek! – to nie ulega kwestii! – Zwycięzca! – To pewne!! – Nie ma (i być nie może!) wątpliwości, że Żydzi już są zwycięzcami!". Rewizyta miała miejsce 19 stycznia i trwała kilka kwadransów. Podczas niej Merin dowiedział się od pisarza, że ten pracuje nad dramatem, w którym on – Mojżesz, będzie głównym bohaterem – Natanem.

Zegadłowicz dzień wcześniej zdradził w liście do Marii Parafińskiej z Krakowa, że żyje w Sosnowcu wyłącznie dzięki Gminie Żydowskiej. Otrzymuje stamtąd mleko, o które bardzo trudno było w mieście, cukier czy masło, a nawet pieniądze, dzięki którym może chociażby wykupić leki czy opłacić rentgen. Pisał również o Merinie jako o wspaniałym organizatorze, mędrcu i szamanie, który „uratował dziesiątki tysięcy jestestw – i coś jeszcze znacznie trudniejszego i cnotliwszego: godność człowieka! – godność w znaczeniu potrzeby istnienia!".

O tym, który ratował dziesiątki, Zegadłowicz słyszał również nieprzychylne opinie, chociażby od innego chorego, z którym leżał na sali szpitala. Starszy pan wyrażał się o „królu" jako o największym łotrze: „Toż to gestapowiec wysokiej klasy. Zaufany Niemców!".

Emil Zegadłowicz nie dokończy dramatu „Natan, syn Dawida (Sind Sie Jude?)". Zmarł w Sosnowcu 24 lutego 1941 r. i został pochowany na cmentarzu parafii św. Tomasza.

Koniec „królestwa"

Historyk Philip Friedman napisał w 1958 r., że zniknięcie „króla" część mieszkańców getta uznała za ciężki cios, gdyż nagle poczuli się opuszczeni. To oni wspominali monarchę z sentymentem. Wielu z nich się nad nim litowało i było im go żal. Nie patrzono już na Merina jak na kogoś, kto przyczynił się do nieszczęścia, ale jak na tego, kto próbował zapobiec owemu nieszczęściu. Ci ludzi pragnęli jego powrotu, ale się go nie doczekali. Według Friedmana było to efektem silnej osobowości „króla", ale jeżeli jemu udało się oszukać swoich podwładnych, to jego samego Niemcy oszukali jeszcze bardziej.

Inny historyk – Natan Eliasz Szternfinkiel – dodaje: „Rola Merina skończyła się. Nie był on już potrzebny Niemcom i postanowili go wykończyć".

Józef Seweryn, więzień KL Auschwitz, fryzjer, kelner i goniec esesmanów, wspominał: „Moi esesmani chwalili go [Merina] za lojalność i kpili z jego łatwowierności, bo wierzył, że wywożą ich do pracy w Oświęcimiu i jego czterdziestu podobozów, a do gazu pójdą tylko starzy i chorzy. Tak go okłamywano. A może udawał, że wierzy, aby ludzie godnie umierali?".

Nieprawdopodobna jest opowieść o tym, że w Auschwitz szybko rozniosła się wieść, iż Niemcy zamknęli w obozie Merina. Wówczas jedna z grup, która wracała z pracy, miała rzucić się na „króla" i go zlinczować

Bardziej prawdopodobne jest to, co napisał Avihu Ronen w biografii swojej matki Chajki Klinger „Skazana na życie". Według historyka „król" trafił do Auschwitz I, do bloku 11: „Dawid Gertler, komendant specjalnej jednostki policji żydowskiej w Łodzi, który został zatrzymany 12 sierpnia 1943 roku, w swej szczególnie cennej relacji pisze o pobycie Merina w tym bloku i prawdopodobnym jego rozstrzelaniu".

W sierpniu 1943 r., już po likwidacji zagłębiowskich gett, Urząd Powierniczy przejął zasoby pieniężne gmin żydowskich znajdujące się w sosnowieckim oddziale Dresdner Bank. Wynosiły one wówczas 848 810 reichsmarek. Nie była to jednak cała kwota. Doliczono do niej jeszcze 86 839 reichsmarek z prywatnego konta „króla" Mojżesza Merina.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

W tym roku nakładem wydawnictwa Arcana ukaże się książka „Król i szuler" – reportaż historyczny autora o Merinie, jego „królestwie" i poddanych.

eprasa.pl 468442f1bb

Wywiad / Z Cezarym Koryckim, popularyzatorem historii, autorem książki „Protokół rozbieżności. Historia Polski bez histerii”

rozmawiają Krzysztof Masłoń i Tomasz Zbigniew Zapert

Karol X Gustaw w potyczce z Tatarami. Malował Johann Philipp Lemke

FOT. MUZEUM WOJSKA POLSKIEGO

Sąsiedzkie spojrzenie Klio

– Te wszystkie przymierza sprzed 85 lat są doskonałą lekcją na dziś, kiedy część klasy politycznej uroiła sobie, że gwarancje ze strony USA dają nam jakąś szczególną ochronę przed ewentualną agresją ze strony Rosji – mówi Cezary Korycki

KRZYSZTOF MASŁOŃ, TOMASZ ZBIGNIEW ZAPERT: Lektura pana książki uświadamia, jak w istocie powierzchowna jest nasza wiedza, także o najważniejszych wydarzeniach, o których uczymy się już w szkole podstawowej, a potem wraca się do nich przy niezliczonych okazjach. Tak jest choćby z hołdem pruskim, którego 500. rocznicę obchodzimy w tym roku. Konia z rzędem tym, którzy uświadamiają sobie, że Zygmunt Stary był wujem Albrechta von Hohenzollerna, a w wyniku sławnego aktu uwiecznionego przez Matejkę powstało pierwsze w Europie państwo protestanckie. A o tym m.in. traktuje otwierająca „Protokół rozbieżności” pierwsza z 17 składających się na nią rozmów – z prof. Jürgenem Sarnowskym.

CEZARY KORYCKI: Konia z rzędem temu, kto będzie wiedział, że sprytny Albrecht, przyjeżdżając na podpisanie traktatu krakowskiego – tak to nazywajmy, bo lubimy hołubić ewidentne polityczne błędy i jeszcze nazywać je hołdami – oszukał wuja. W szkole uczymy się, że to wydarzenie oznaczało, iż Prusy stają się lennem, a Albrecht przechodzi na luteranizm. Matejko w powszechnym odbiorze ilustruje moment nie tylko sekularyzacji państwa zakonnego, a także przejścia byłych Krzyżaków na luteranizm. Otóż nie, Albrecht przeszedł na luteranizm kilka tygodni później, więc gdyby katolicki król wiedział, co się święci, mógłby inaczej załatwić sprawę, zrobić z byłego wielkiego mistrza jedynie wojewodę i włączyć Prusy do Rzeczypospolitej. Popełnił błąd – pozwolił stworzyć nowe państwo, które później stało się pierwszym luterańskim księstwem Europy. Nie wiedzieć czemu, w szkole uczymy się, że te dwa wydarzenia były równoległe.

Z Niemcami, przynajmniej do czasu, najlepiej wychodziły nam wojny: Cedynia, Niemcza, Głogów, Psie Pole, Płowce, Grunwald... Jak te starcia są dziś odbierane między Odrą a Renem?

Z listą tych bitew i naszych wielkich zwycięstw nad Niemcami w czasach piastowskich także bym się nie rozpędzał. Wiemy, co Niemcy zrobili w czasie

eprasa.pl 468442f1bb

Marcello Bacciarelli „Hołd pruski"
FOT. COMMONS WIKIMEDIA, ZAMEK KRÓLEWSKI W WARSZAWIE

drugiej wojny światowej, ale kojarzenie tamtych Niemiec z X czy XI w. z Niemcami Hitlera to wytwór propagandy PRL. Szkoda, że jeszcze nie powstała dysertacja poświęcona temu, jak komuniści, chcąc legitymizować swoje rządy, używali retoryki Ziem Odzyskanych, piastowskich granic Polski, nowej władzy, która obroni nas przed zakusami złych Niemców. Czymś trzeba było przykryć sprawę przekazania Stalinowi Kresów Wschodnich, autoryzować się jako legalna polska władza. Stąd nawet obchody chrztu Polski nagle stały się ważnym wydarzeniem. Za Gomułki na wielką skalę celebrowano millennium naszej państwowości, jednocześnie traktując Kościół katolicki jako największe zagrożenie. Tu także chodziło o akcent na Ziemie Odzyskane, piastowskie dziedzictwo i konflikt z Niemcami.

Tymczasem tysiąc lat temu piastowscy i niemieccy wojowie równie często walczyli razem przeciwko poganom, Bolesław Chrobry jeździł na zjazdy niemieckich margrabiów, a gdyby nie niemiecka pomoc dla Kazimierza Odnowiciela, być może nie mielibyśmy czego świętować, bo po koronacji jego dziadka – Chrobrego – kilkanaście lat później państwo i królestwo rozpadły się niczym domek z kart. I jeszcze mała uwaga dotycząca listy zwycięstw nad Niemcami: nie było bitwy na Psim Polu, a sam przebieg i miejsce starcia pod Cedynią to sprawa nadal niejasna, opisana w kronikach lakonicznie. Dla naszych zachodnich sąsiadów jest ona bardziej niż marginalna.

A w jaki sposób Szwedzi patrzą na wieloletnie wojny prowadzone z Rzecząpospolitą Obojga Narodów w XVII stuleciu?

Zupełnie tak samo jak Niemcy. Mój znakomity rozmówca Herman Lindqvist, kultowa postać w Szwecji, przez lata prowadzący najpopularniejszy program historyczny w tamtejszej telewizji, autor kilkudziesięciu książek naukowych, otwarcie przyznaje, że Szwedzi nie mają pojęcia o czymś takim jak potop. Oczywiście bardziej zainteresowani Klio wiedzą, że w pewnym momencie Polska i Szwecja miały tego samego monarchę, że były jakieś kampanie ich wojsk po południowej stronie Bałtyku, ale co tam się działo i kiedy, to już niekoniecznie. Mój szwedzki interlokutor zresztą sam przyznaje, że podczas wieloletnich rządów socjaldemokracji w jego kraju historia była przez państwo oraz programy nauczania w szkołach traktowana pobieżnie. Według szwedzkiej lewicy dzieje tego państwa miały rozpocząć się w 1921 r., gdy kobiety uzyskały prawo do głosowania. Nikogo już miały nie obchodzić czasy wcześniejsze. Dziś podobno się to zmienia, stąd Lindqvist dostrzega wśród młodej generacji głód wiedzy.

A relacje polsko-litewskie? Czy postrzegane są przez pryzmat unii lubelskiej czy raczej pod kątem buntu gen. Lucjana Żeligowskiego?

To sprawa, w której dramatycznie podział klasowy przekłada się na językowy i – później – narodowy. Ponadto jesteśmy jednego wyznania; to wspólne dziedzictwo jest bardziej namacalne w postaci historii Rzeczypospolitej Obojga Narodów, więc mamy relacje nieco inne niż z Białorusinami i Ukraińcami. Litwini to naród chłopów, ale takich porządnych, proszę się przejechać przez litewskie wsie w okolicach Puńska i porównać wygląd siedlisk do tych na Mazowszu. Nie mają z tego powodu kompleksów, nie ma tam tego zakorzenionego u nas odniesienia do szlachectwa w minionych wiekach.

Grunwald oczywiście nas jednoczy, do tej pory drużyny piłkarskie noszą tam nazwę Žalgiris, ale myślę, że traktowany jest inaczej niż w Polsce. Zresztą stosunki niemiecko-litewskie były zupełnie inne, przecież oni koronowali po pierwszej

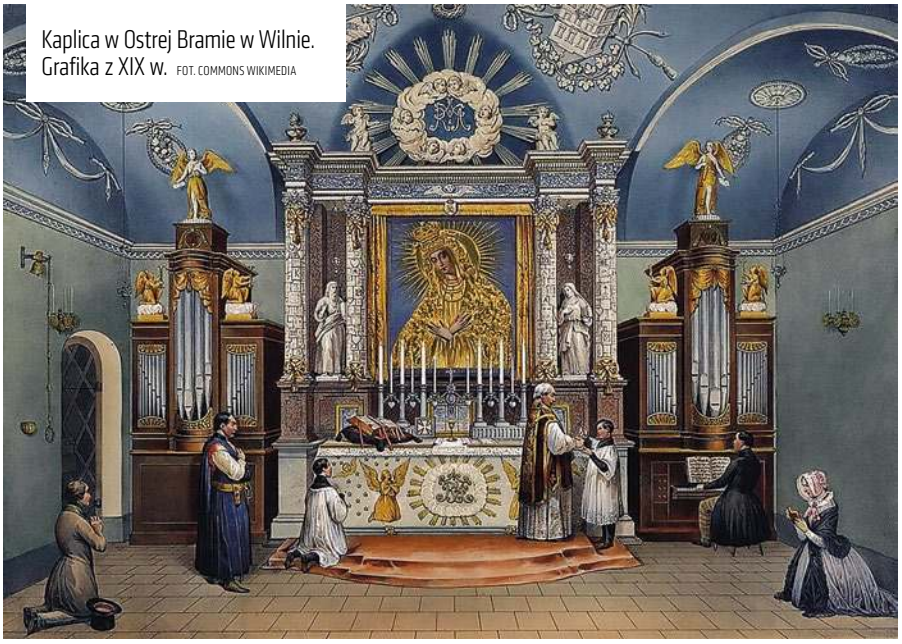

Kaplica w Ostrej Bramie w Wilnie. Grafika z XIX w. FOT. COMMONS WIKIMEDIA

eprasa.pl 468442f1bb

Manifestacja w Warszawie po wypowiedzeniu przez Wielką Brytanię wojny Niemcom, 3 września 1939 r. FOT. COMMONS WIKIMEDIA

wojnie światowej Niemca na swojego króla Mendoga… Sprawa unii lubelskiej wydaje się dość mało znana w powszechnym odbiorze Litwinów, gdyż jednak utracone w tym momencie ziemie nie były rdzennie litewskie, lecz rusińskie. Tymczasem specjalna operacja wojskowa gen. Żeligowskiego odebrała im Wilno, które miało zostać stolicą niepodległej Litwy.

Czy Francuzi odczuwają wyrzuty sumienia wobec niedotrzymania zobowiązań sojuszniczych wobec Polski we wrześniu 1939 r.?

Jakich zobowiązań? Mam wrażenie, że ktoś po stronie polskiej nie doczytał umowy, może nie przetłumaczył, może uwierzył w coś, czego tam nie było. Czy Francja zapisała tam, że w przypadku agresji na Polskę jej czołgi wjadą do Zagłębia Ruhry, a wojska desantowe zaatakują Rugię? Czy Brytyjczycy mieli bombardować Berlin? Wstyd nam się przyznać, że nie było do tego sojuszu nawet protokołu politycznego i ratyfikacji umowy przez francuski parlament. Co oznacza, że i tak zrobili więcej niż to, do czego byli zobowiązani. To jeden z ciekawych przykładów tego, jak wykreowany mit przeniknął do społecznego krwiobiegu i jest bezmyślnie powielany zawsze na okoliczność 1 września. A przecież te wszystkie przymierza sprzed 85 lat są doskonałą lekcją na dziś, kiedy część klasy politycznej uroiła sobie, że gwarancje ze strony USA dają nam jakąś szczególną ochronę przez ewentualną agresją ze strony Rosji. Warto zapytać, czy Polska ma jakiś specjalny pakt sojuszniczy z USA czy może formalnie jesteśmy dla Waszyngtonu takim samym partnerem jak – powiedzmy – Portugalia? Nadal nie wyciągnęliśmy wniosków z września 1939 r., a powielanie opinii o zdradzie takie myślenie podtrzymuje.

A czy pozostawienie – sześć lat później – Polski na pastwę Stalina ciąży brytyjskim sumieniom?

Nie. I wydaje mi się, że w Albionie nie mają absolutnie żadnej wiedzy na ten temat. Zresztą Brytyjczycy są mistrzami w pomijaniu własnych grzechów, a nazbierało się ich wiele. Kwestia taka jak Jałta, ignorowanie sprawy mordu w Katyniu, to w katalogu Winstona Churchilla zaledwie jedno z wielu przewinień. Jeśli już jednak chcielibyśmy rozliczać Brytyjczyków za pozostawianie Polski na pastwę Kremla czy za potraktowanie polskich kombatantów po roku 1945, to jednak powinniśmy pamiętać, że to Wielka Brytania była de facto największym przegranym drugiej wojny światowej. Poza bon motami Churchilla i pozowanymi zdjęciami premiera stawiającego czoła Niemcom nie mieli wiele do powiedzenia wobec potęgi gospodarczej USA. Skądinąd mój rozmówca, prof. Sean McMeekin, sygnalizuje, że osłabienie kolonialnej potęgi Wielkiej Brytanii i zajęcie jej pozycji w wielu regionach świata stanowiło cel działań administracji Franklina Delano Roosevelta.

Delegacja amerykańska w Jałcie FOT. COMMONS WIKIMEDIA, LIBRARY OF CONGRESS

Dlaczego bez stosownego responsu pozostawił pan pouczanie Polaków przez austriackiego profesora Philippa Thera, który najpierw wygłasza, kompletnie oderwane od tematu rozmowy, obiekcje wobec rzekomego wykorzystywania w Polsce przez „radykalnych narodowców" Święta Niepodległości, a następnie dziwi się, że podkreślamy niemieckość obozów koncentracyjnych z czasu drugiej wojny światowej, skoro – jego zdaniem – wszyscy znają prawdę, a on, co prawda, nie stawia znaku równości między Auschwitz i Mauthausen, ale ten drugi obóz prowadzony był

eprasa.pl 468442f1bb

przecież i „obsługiwany" przez Austriaków. No to po co przypominać, że był to obóz niemiecki? Czy to potrzebne? – zastanawia się pański rozmówca, tak poprawny politycznie, że aż zęby bolą.

To, jak wyglądała ta rozmowa, to już pozostanie między mną a gościem. Autoryzacja trwała miesiącami, bo zależało mi, żeby w książce znalazł się ten wywiad. Czy miałem dawać reprymendę znanemu profesorowi z Wiednia, wchodzić z nim w polemikę czy słuchać go uważnie i przedstawić to, jak Zachód widzi polskie myślenie o historii? Faktycznie to niesprawiedliwe, że na Zachodzie z upodobaniem wybiórczo przedstawia się nas jako faszystów i mój rozmówca uległ temu stereotypowi. Mogę go jedynie zaprosić do Warszawy na Marsz Niepodległości, ponieważ akurat w jego ojczyźnie wydarzenie tak łączące wspólnotę narodową jest praktycznie niemożliwe.

Niejednego z czytelników pańskiej książki zaskoczyć może konstatacja o różnicy między hymnem narodowym Czechów a hymnami zdecydowanej większości innych nacji, w tym naszego „Mazurka Dąbrowskiego". Czesi nie odwołują się bowiem do żadnych wojen czy powstań, a opiewają swoje łąki i bory. A dr hab. Jiří Friedl mówi wprost, że historia nie jest w Czechach specjalnie szanowana. Czy dzieje się tak dlatego, że nasi południowi sąsiedzi są – jak powiada pana interlokutor – „narodem kupców"?

Ciekawa sprawa z tymi Czechami. Niby to naród Szwejków, niezainteresowany przelewaniem krwi i powstaniami, a jednak załatwili sprawę niepodległości po pierwszej wojnie światowej dużo sprawniej niż Polacy, a do tego skutecznie wdrożyli model federacyjnego państwa, co nam się nie udało. Naród, który niespecjalnie nawet jest zainteresowany celebrowaniem swych bohaterów wojennych, dla których tego rodzaju aktywności przodków są mało istotne. Między Czechami i Polakami jest moim zdaniem wielka przepaść w skali uczuć i emocji historyczno-patriotycznych. Mój rozmówca powiedział, że może nam zazdrościć dumy i świadomości swojej historii. Ja przewrotnie mogę konstatować, że na to wydaliśmy w ostatniej dekadzie setki milionów złotych, za które powstawały instytuty, agendy i instytucje historyczne. Oni – z tego, co wiem – przeznaczają dość duże środki na naukę, nowe technologie czy rozwój sztucznej inteligencji.

Mapa Wielkiego Księstwa Litewskiego z XVII w. Willem Blaeu i Tomasz Makowski FOT. COMMONS WIKIMEDIA, LITHUANIANMAPS.COM

Białorusin dr Aliaksandr Smalianchuk rozprawia się z nieuprawnionymi tezami naszych propagatorów „ludowej historii Polski", mówiąc, że o jakiejkolwiek „kolonizacji" Białorusinów przez Polaków nie może być mowy, a historia amerykańskiego niewolnictwa do obowiązku pańszczyźnianego w Rzeczypospolitej ma się nijak. W tej bardzo ciekawej rozmowie zwraca jednak uwagę smutny fakt, że tuż przed wybuchem wojny w 1939 r. nie było na naszych terenach ani jednej (!) białoruskiej szkoły. Poza tym nieprzypadkowo naukowiec zwraca uwagę, że w polskich podręcznikach historii o Białorusi niemal się nie wspomina, w przeciwieństwie do Litwy czy Ukrainy. Z pewnością mało znany jest też bohater powstania styczniowego Konstanty Kalinowski. Wygląda na to, że niedostatecznie dbamy o historyczną wrażliwość sąsiadów, domagając się od nich akceptacji naszego punktu widzenia na przeszłość.

Ten temat jest najsmutniejszy również dlatego, że sami Białorusini wydają się nacją najbardziej podobną nam mentalnie. Niemniej są przez nas traktowani pobłażliwie, choć ich język obowiązywał w Wielkim Księstwie Litewskim. Zupełnie zapominamy o szlachcie mieszkającej na terenach Białorusi, gdzieś w świadomości na temat historii Rzeczypospolitej nazywamy potomków Białorusinów Litwinami, kojarząc Wielkie Księstwo z etniczną Litwą, czyli narodem bałtyckim zamieszkującym Żmudź. Co najważniejsze, ignorujemy to, od czego zaczyna rozmowę prof. Smalianchuk, a mianowicie fakt, że traktat ryski pozostawił naród białoruski na łaskę Sowietów.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Cezary Korycki – publicysta, popularyzator historii, producent filmów dokumentalnych. Twórca kanału na YouTube i podcastu „Historia, jakiej nie znacie". Autor zbioru wywiadów z wybitnymi historykami naszych krajów ościennych pt. „Protokół rozbieżności. Historia Polski bez histerii".

eprasa.pl 468442f1bb

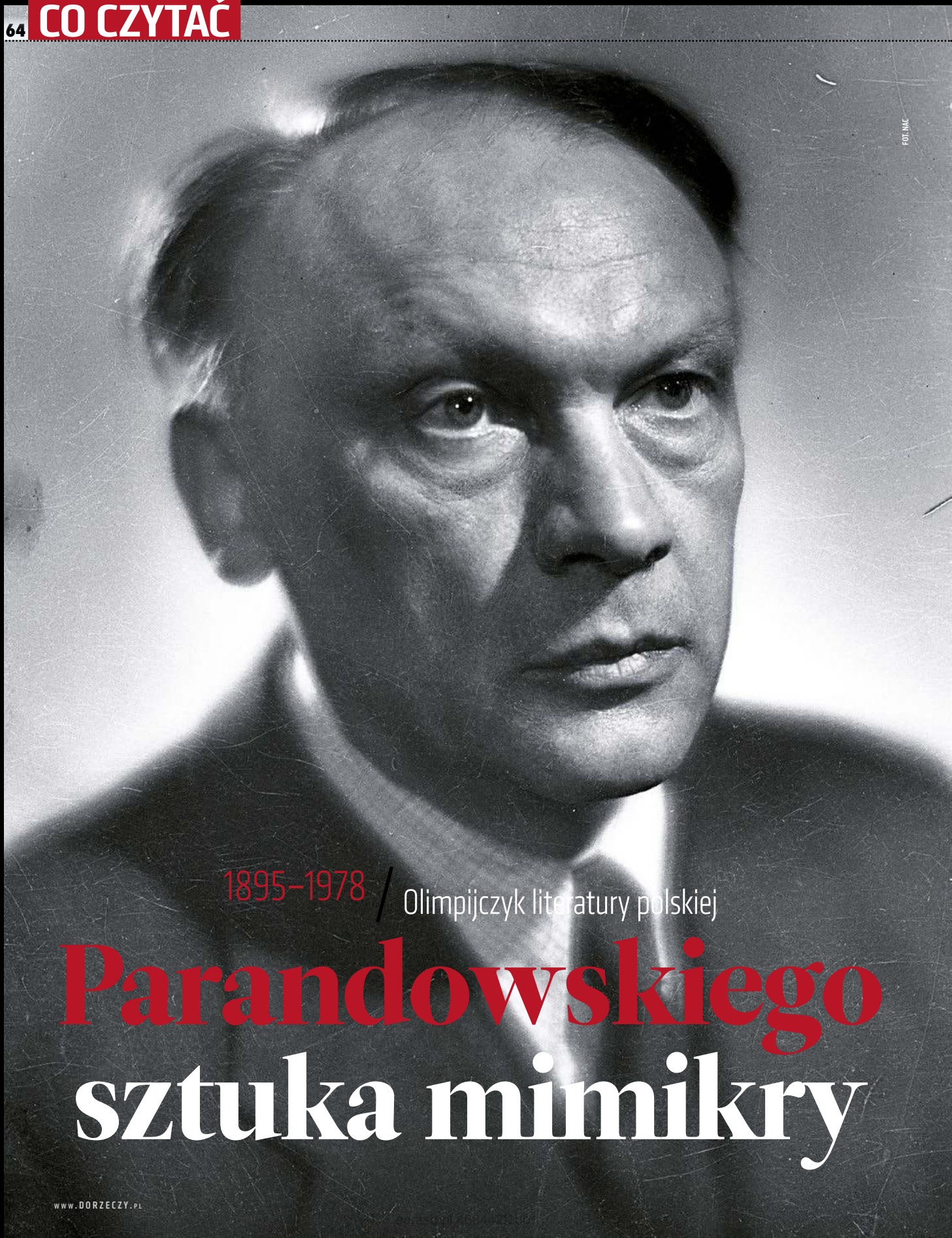

FOT. NAC

1895–1978 / Olimpijczyk literatury polskiej

Parandowskiego sztuka mimikry

Krzysztof Masłoń

Miano olimpijczyka przylgnęło do niego m.in. dlatego, że ten pisarz, eseista i tłumacz, wybitny znawca antyku na gruncie piśmiennictwa polskiego zajmował pozycję bliską bogom na Olimpie

Był olimpijczykiem literatury polskiej. Nie tylko dlatego, że startował w igrzyskach w Berlinie w 1936 r., gdzie zdobył brązowy medal (za książkę „Dysk olimpijski", w konkursie sztuki i literatury, bo takie się wtedy w ramach olimpiad odbywały). Ale miano olimpijczyka do Jana Parandowskiego przylgnęło i z tego powodu, że ten pisarz, eseista i tłumacz, wybitny znawca antyku, na gruncie piśmiennictwa polskiego zajmował pozycję bliską bogom na Olimpie. Przez długie lata prezesował Polskiemu PEN Clubowi, był laureatem najważniejszych nagród, nominowano go dwukrotnie do Nobla, a jego książki tylko w latach 1944–2021 wydane zostały w kraju w nakładzie przekraczającym 4,5 mln egzemplarzy. Tłumaczeń na obce języki także miał mnóstwo. Wreszcie wśród jego dzieł znajdują się „Olimpijczycy" i na tym zamknijmy kwestię olimpijskości autora „Mitologii", znanej każdemu, kto chodził do szkoły.

Dokonania Jana Parandowskiego nie ograniczają się do twórczości mającej korzenie w starożytności. Zasłużoną sławę zdobyły również takie jego książki jak „Król życia" (1930), której bohaterem był Oscar Wilde, studium o procesie tworzenia – „Alchemia słowa" (1951), jak również „Niebo w płomieniach" z 1936 r. z akcją dziejącą się w rodzinnym mieście autora – Lwowie – przed wybuchem pierwszej wojny światowej. Z racji wiernie oddanych realiów ta powieść odnosząca się w pierwszym rzędzie do rozterek bohatera wynikających z religijnego zwątpienia stała się po wojnie wręcz biblią lwowian wygnanych z ich ukochanego miasta. Doszukiwano się w „Niebu w płomieniach" akcentów autobiograficznych, do których pisarz odniósł się w posłowiu dodanym do książki w 1946 r., w którym napisał:

„Pisarz posługuje się swoim życiem jako surowcem literackim, ponieważ twory jego wyobraźni składają się z kształtów, barw, świateł i cieni, które odbierają jego zmysły i które jego mózg układa w zespół zjawisk nazywany światem. To jest jeden z dwóch miliardów światów, które obnoszą po krzywiznach naszego globu dwunożne istoty, obdarzone duszą nieśmiertelną. Cokolwiek by się powiedziało o geniuszu, rozległości umysłu lub mocy wyobraźni pisarza, jest on, tak samo jak każdy człowiek, skazany na dożywotnie więzienie w swoim świecie i nigdy nie wychyli się poza jego granice. W tym znaczeniu każde dzieło, najbardziej bezosobiste, będzie urywkiem autobiografii".

A autobiografia ta, w wypadku Jana Parandowskiego, jest bardzo ciekawa i zgoła nieoczywista…

Uczeń w kawiarni

Już samo ustalenie genealogii pisarza to prawdziwe przedzieranie się przez gąszcz zagadek i niewyjaśnionych do końca zdarzeń. Nosił bowiem Jan Parandowski nazwisko matki, a jego ojcem był – co ukrywał pisarz przez lata całe – kanonik, ksiądz greckokatolicki. Jeszcze na maturze przyszłego autora „Nieba w płomieniach" odnotowana została religia greckokatolicka. Aleksander Wat w liście do Czesława Miłosza pisał, że pisarz „odciął się doskonale od ojca, Ukraińca-diaka". Naprawdę ojciec Jana Parandowskiego po przyjęciu święceń nie mógł się ożenić. A matka pisarza, gdy zmarła pięć lat po jego ojcu, została pochowana w grobowcu rodziny Bartoszewskich na cmentarzu Łyczakowskim we Lwowie. Bez ujawnienia jej nazwiska na płycie nagrobnej.

Był pisarz – czytamy w niedawno wydanej znakomitej monografii autora „Dysku olimpijskiego" (Grażyna Pawlak, „Jan Parandowski. Życie i dzieło") – „beneficjentem intelektualnego dorobku ojca, profesora Uniwersytetu Lwowskiego. Rodzic pisarza, ksiądz doktor Jan Bartoszewski, utalentowany syn skromnego małżeństwa, wykształcony w pierwszym pokoleniu, wyrzeczeniom i ciężkiej pracy zawdzięczał wysoką pozycję zawodową. W nauce osiągnął najwyższe zaszczyty, dzięki którym zbudował solidne podstawy bytu dla swojej rodziny. O przebytej drodze świadczą dokumenty potwierdzające mizerną kondycję finansową młodego duchownego. W latach osiemdziesiątych XIX wieku ks. Bartoszewski zwracał się do Senatu Akademickiego Uniwersytetu Lwowskiego z prośbą o pożyczkę rozłożoną na wielomiesięczne raty. Status społeczno-ekonomiczny księdza Bartoszewskiego uległ radykalnej zmianie dopiero po otrzymaniu nominacji profesorskiej i objęciu funkcji wykładowcy akademickiego lwowskiej Alma Mater. Na początku XX wieku, gdy syn Jan rozpoczynał edukację, ojciec mógł już zakupić dom i stać się »właścicielem realności«, odnotowanym w księgach adresowych miasta Lwowa. Była to kamienica

Jan Parandowski (pierwszy z prawej) w gronie literatów FOT. NAC

eprasa.pl 4684

przy ul. Domsa 5 (obecnie Witowicza), w której Parandowski dorastał i mieszkał do końca swego pobytu we Lwowie (1930). Dom, z którego w ostatnią drogę odprowadzono ukochaną babkę pisarza, Marię Bartoszewską (1908), jego rodziców: Julię Parandowską i Jana Bartoszewskiego. Ojciec, zmarły w 1929, to jedyna postać z kręgu najbliższych, która nie tylko nigdy nie pojawiła się na kartach utworów czy wspomnień Parandowskiego, ale wręcz można odnaleźć w nich sugestie, jakoby zmarł, gdy Jan był zaledwie kilkuletnim chłopcem".

Parandowski odebrał znakomite wykształcenie klasyczne. Później wielokrotnie powtarzał, że swoje IV Gimnazjum Klasyczne im. Jana Długosza we Lwowie opuścił z większą wiedzą niż absolwenci stosownych kierunków studiów. Dość powiedzieć, że łaciny w tej szkole uczono przez osiem lat po sześć godzin tygodniowo. Z greką było podobnie. W gimnazjum uczyli świetni profesorowie, jak Juliusz Kleiner, Władysław Witwicki, Stanisław Maykowski. Niewiele jednak brakowało, by Parandowskiego wyrzucono ze szkoły, a to za takie wykroczenie, że w 1911 r., jako 16-latek, ośmielił się pójść do kawiarni. „Nie szanujesz munduru… Nie szanujesz gimnazjum" – usłyszał. Szczęśliwie interwencja matki pomogła. Za to nie potrzebował, zdaje się, żadnego wsparcia, by już rok później zadebiutować pisarsko artykułami o Zygmuncie Krasińskim w „Przeglądzie Politycznym, Społecznym i Literackim". Nie minął kolejny rok, a wydał studium „Rousseau. Szkic literacko-filozoficzny". I zdał maturę.

Niespodzianka małżeńska

Studia rozpoczęte na Uniwersytecie Lwowskim przerwała mu wojna. W obawie przed austriacką mobilizacją opuścił wtedy Lwów, wyjeżdżając w głąb Rosji, gdzie w charakterze jeńca cywilnego spędził bez mała trzy lata, głównie w Saratowie. Z bliska przyjrzał się wówczas rosyjskiej rewolucji, wydając po powrocie do Lwowa arcyciekawą książkę „Bolszewizm i bolszewicy w Rosji" (1920). Wznowiona została dopiero w 1996 r. w londyńskim Pulsie, a następnie wydrukowana w warszawskiej Agawie. „Bolszewizm…" zadedykowany został żonie pisarza, co nawet dla członków jego rodziny było dużą niespodzianką, jako że żyli w przeświadczeniu, że Parandowski ożenił się dopiero w roku 1925, z matką jego trojga dzieci, Ireną z domu Helzel. Istnieje na ten temat świadectwo wnuczki pisarza, znanej aktorki Joanny Szczepkowskiej.

No cóż, w Rosji związał się Jan Parandowski z Aurelią Wyleżyńską, z tym że ich akt małżeński, jeden z tych, które w porewolucyjnej rzeczywistości, rzec można, rozdawano w bolszewickich urzędach, nie był uznawany w Polsce. W związku z tym pisarz wytarł Wyleżyńską (autorkę niezwykle interesujących „Kronik wojennych", które ujrzały światło dzienne dopiero w 2022 r.) z pamięci osobistej i rodzinnej. Niesprawiedliwie, to ona bowiem wprowadziła go po powrocie z rosyjskiego internowania do Lwowa do środowiska literackiego, a przy tym wyuczyła, ze świetnym efektem, języka francuskiego.

We Lwowie Parandowski dokończył uniwersytecką edukację, uzyskując magisterium w 1923 r. Został też kierownikiem literackim wydawnictwa Alfreda Altenberga, redagując m.in. serię przekładów z literatur klasycznych. Zarówno we Lwowie, jak i później w Warszawie podejmować będzie przed wojną Jan Parandowski różne prace, najczęściej redaktorskie, utyskując za każdym razem, że odrywają go one od najważniejszego zajęcia – pisarskiego, a i nie zapewniają odpowiednio wysokich gratyfikacji materialnych (chociaż Mieczysław Grydzewski płacił mu za artykuły w „Wiadomościach Literackich" po królewsku). Dopiero Polskie Radio zapewni mu pracę w pełni satysfakcjonującą. Od lutego 1936 r. będzie tam zastępcą kierownika literackiego, co według Czesława Miłosza wyglądało tak: „Zjawiał się w biurze późno, czytał »Nouvelles Litteraires« albo inny periodyk w tym rodzaju i szedł na kawę". Aż tak pięknie oczywiście nie było, niemniej inkasował Parandowski co miesiąc ponad 1 tys. zł i to pozwoliło mu na nabycie na własność ładnego mieszkania na Ochocie.

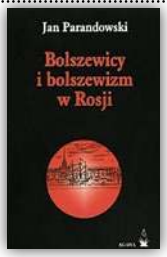

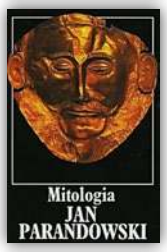

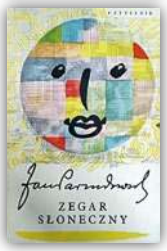

Co dobre, co niemiłe

Wojna zmieniła wszystko, przywróciła też Jana Parandowskiego, dotąd religijnie raczej indyferentnego, na łono Kościoła, poniekąd za sprawą jego drugiej żony, Ireny Helzel, Żydówki, która przed ich ślubem w 1925 r. przeszła konwersję na katolicyzm.

We wrześniu 1942 r. Parandowscy w obawie przed denuncjacją Ireny opuszczają mieszkanie na Filtrowej. Schronienie znajdują w należącym do Stanisława i Olgi Morawskich majątku Planta pod Opatowem. Z Morawskim łączyły Parandowskiego wspomnienia z Saratowa, zadziałała też prośba o pomoc zagrożonej rodzinie ze strony Marii z Turnów Morawskiej, żony przedwojennego dyplomaty Kajetana Morawskiego. W Plancie poza nimi znalazła dach nad głową cała masa ludzi – bądź wysiedlonych, bądź ukrywających się przed Niemcami. W efekcie do posiłków, z konieczności skromnych, zasiadało kilkadziesiąt osób. Jan Parandowski został tam oficjalnie zarejestrowany jako ktoś przygotowujący sprawozdania mleczarskie, co miało uzasadnić jego pobyt w majątku. W razie nadejścia żandarmów większy problem byłby jednak z żoną pisarza, której „semickie rysy – według jednej z córek Morawskich – były łatwe do rozpoznania, a wyjaśnienia o ormiańskim rodowodzie pani Ireny raczej nikogo specjalnie nie przekonywały".

Należy tu dodać, że państwo Morawscy mieli 13 (!) dzieci, a mimo tego nie wahali

eprasa.pl 468442f1bb

się nieść pomoc potrzebującym. W tej sytuacji utyskująca na surowe niekiedy warunki egzystencji Irena Parandowska, w przypływach złego humoru wybierająca się z powrotem do Warszawy, jawi się jako postać cokolwiek oderwana od rzeczywistości. Parandowscy byli niewątpliwie mieszczuchami, źle się czuli na prowincji, na wsi, nie usprawiedliwia to jednak słów napisanych po latach w „Pamiętniku Piotrusia", w którym autor „Nieba w płomieniach", wspominający na potrzeby najmłodszego dziecka tamte lata, pisał: „Mieszkaliśmy w Plancie, gdzie wszystko, co pochodziło od Boga, było dobre, a co od ludzi, niemiłe. Był tam krajobraz łagodny i cisza wiejska wśród pól i lasów i ogród, w którym Mamusia uprawiała sobie parę własnych grządek z rzodkiewką, marchewką, cebulą, ogórkami, pomidorami i odrobiną kwiatów. Ludzie dookoła byli niegrzeczni i dokuczliwi".

Manifest PKWN pozbawił Morawskich praw do rodzinnego majątku – zostali z niego wyrzuceni. Czekała ich tułaczka, której nie przeżył Stanisław, zmarły w Krakowie w styczniu 1946 r. Olga z czworgiem młodszych dzieci po czterech latach, które minęły od wysiedlenia, dostała prawo do zamieszkania w kamienicy w Poznaniu. Żeby uzyskać emeryturę, przez pięć lat miała tam być dozorczynią. W obowiązkach na szczęście wyręczały ją dzieci. Dożyła 1959 r. Parandowscy utrzymywali z nią, jak i z całą rodziną Morawskich, sporadyczny kontakt. W „Pamiętniku Piotrusia" natrafiamy na znamienną wzmiankę z 16 marca 1951 r.: „Mamusia posłała Oldze Morawskiej puszkę szynki (cała szynka bez kości)". Naprawdę cała?

Pióra łamane wstydem

W czasie powstania warszawskiego spłonęło jego archiwum literackie wraz z rękopisami nieukończonych utworów. Na trzy lata rodzina przeniosła się do Lublina, gdzie Parandowski objął katedrę kultury antycznej, a następnie literatury porównawczej (w 1976 r. został doktorem honoris causa tej uczelni). Wznowił także swą działalność jako prezes (od 1933 r.) Polskiego PEN Clubu. W 1948 r. znalazł się w składzie Komitetu Polsko-Francuskiego, który organizował Światowy Kongres Intelektualistów w Obronie Pokoju we Wrocławiu. W tym samym roku powrócił do Warszawy.

Związał się z „Tygodnikiem Powszechnym", publikował i w innych tytułach, ale w 1953 r. ani jednym słowem nie odnotował śmierci Stalina, co zostało dostrzeżone. Nawet Maria Dąbrowska, z którą ewidentnie rywalizował, uległa namowom i uroniła obowiązkową łzę. On nie! A przecież nie miał temperamentu politycznego, w PRL zarzucano mu asekuracyjność wobec władz, ale to jego taktyczne milczenie miało niebagatelne znaczenie. Nie zamykał się też wcale w „bańce" historii starożytnej, filologii klasycznej, antyku. W 1964 r. podpisał List 34, głośny protest intelektualistów przeciw polityce kulturalnej komunistycznego państwa. A już w 1947 r. w „Odrodzeniu" pisał – jak miało się okazać – proroczo: „Niebawem rozpoczną Niemcy wielką ofensywę moralną przeciw tym, których wczoraj zabijali i tępili z zamiarem całkowitej zagłady. W coraz już śmielszej propagandzie ludność polska, nawet księża polscy są przedstawiani jako nieludzcy oprawcy na Ziemiach Odzyskanych. Można być pewnym, że w niedalekiej przyszłości znajdą się pióra dość nikczemne, by najpierw zohydzić męczeńskie narody, następnie zaryzykować rehabilitację katów Europy. Nie wystarczy wtedy protestować, karcić, oburzać się, trzeba zmusić do myślenia, trzeba także pióra złamać wstydem. Może to zaś uczynić tylko ciągła naoczność faktów".

Stosował mimikrę. Przesłuchiwany w sprawie Ferdynanda Goetla mógł mu zaszkodzić, czego nie zrobił, niemniej wytknął oskarżanemu o kolaborację pisarzowi „braki wynikające z niedostatecznego wykształcenia i niezbyt rozległej kultury umysłowej". A odnośnie do Listu 34 to ponoć w rozmowie z Gisgesem miał powiedzieć, że listu w ogóle nie czytał i był przekonany, że podpisuje jakiś „apel pokoju lub protest w obronie ludów wyzwolonych".

Siła rzeczownika

W 1958 r. wziął Jan Parandowski udział w pierwszej pielgrzymce pisarzy na Jasną Górę, gdzie wraz z m.in. Anną Kamieńską, Janem Dobraczyńskim, Pawłem Jasienicą, Zofią Kossak czy Zygmuntem Kubiakiem mógł wysłuchać księdza prymasa Stefana Wyszyńskiego apelującego do ludzi pióra o większą wrażliwość i ujmowanie się za biednym i krzywdzonym. „Ktoś musi się nad nim zlitować – mówił Prymas – bo to przecież twój brat, twój rodak! A chociaż byłby twoim wrogiem – człowiekiem jest! Będziesz jeszcze brudnym piórem dziobał jego rany? Będziesz je rozdrażniał, zanieczyszczał, przelewał w niecałą twoją brudną duszę, zapłaconą groszami od wiersza, by poniewierać cierpiących i zmęczonych Polaków? Tyle się brudu leje! Papieru i atramentu brak. Ale nie brak rannych, cierpiących, wyrzuconych i sponiewieranych Polaków! Czy wy mielibyście należeć do tego grona, które tylko rozgrzebuje rany swych udręczonych braci?".

Z pewnością Jan Parandowski wziął sobie to do serca. A Zbigniew S. Raszewski cytował opowieść o tym, „że kiedy Parandowski u schyłku stalinizmu wrócił do łask, Ochab [sekretarz KC PZPR – przyp. red.] zagadnął go z wielką rewerencją, zapewniając, że czytał wszystkie jego książki i jest wielbicielem jego talentu, dziwi się jednak, dlaczego w swych utworach o tematyce współczesnej nigdy nie używa wyrażenia »Polska Ludowa«. – We Lwowie ukończyłem dobre gimnazjum klasyczne – odrzekł Parandowski. A tam nauczono mnie, że przymiotnik dołączony do rzeczownika ujmuje temu rzeczownikowi jego siły".

A pisząc o spotkaniach Jana Parandowskiego z czytelnikami w ostatnich latach życia, Grażyna Pawlak przypomniała jego wykład „Morze w kulturze antyku", inaugurujący w 1972 r. w Gdańskim Ratuszu Staromiejskim pierwszą sesję z cyklu „Morze w kulturach świata". Ten „wykład o symbolice morza w kulturze Grecji i Rzymu wraz z jego boskimi wyobrażeniami kończył znamienną konkluzją: »Morze Śródziemne jest ojczyzną naszej cywilizacji«. Było to bezpośrednie nawiązanie do głębokiego przekonania, wyartykułowanego w przedwojennym odczycie »Polska leży nad Morzem Śródziemnym«, któremu pozostał wierny do końca życia".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 468442f1bb

Wiktor Wasniecow „Ruryk i jego bracia przybywają do Starej Ładogi" FOT. COMMONS WIKIMEDIA, MESSAGETOEAGLE.COM

Książka miesiąca / Kwestia normańska

Rus znaczy wiking

Ogromnie interesująca i barwnie napisana praca, w której autor, profesor pracujący w ośrodkach naukowych w Polsce i na uniwersytecie w Uppsali, rozwiewa wiele wątpliwości na temat genezy Rusów, opowiada o organizacji ich struktur państwowych, administracji, kulturze materialnej i kontaktach ze światem zewnętrznym, głównie z Bizancjum, które zaważyły na całych losach Rusi Kijowskiej.

Jak pisze autor, pierwsze państwo wschodniosłowiańskie – Ruś Kijowska – zostało założone przez Skandynawów, a konkretnie – mieszkańców terenów dzisiejszej środkowej Szwecji, których popularnie, choć nieprecyzyjnie nazywa się wikingami lub Waregami (wiking to inaczej łupieżca, a Wareg – najemnik). Autor, na podstawie źródeł archeologicznych i pisanych, stwierdza, że słowo „Ruś" nie ma słowiańskich korzeni i nie odnosi się do Słowiańszczyzny. Rusami określał się jeden z ludów Północy, który pojawił się w Europie Wschodniej w VII w. – najpierw wokół jeziora Ładoga, później zaczął zakładać osady wzdłuż rzeki Wołchow. Na tym terenie w połowie IX w. powstały też pierwsze ruskie (skandynawskie) ośrodki miejskie: Stara Ładoga i Riurikowo Gorodiszcze. O Rusach, czyli Skandynawach, pisano w tym czasie w źródłach zachodnioeuropejskich i bizantyńskich.

Jak pisze autor, Rusowie zyskiwali z czasem coraz większe wpływy w całej Europie Wschodniej. Ich ekspansja ograniczona była tylko przez Kaganat Chazarski, któremu zresztą Rusowie płacili trybut. Ich władztwo nabierało kształtów, czego ostatecznym wyrazem było przyjęcie chrztu przez Włodzimierza Wielkiego, co pozwoliło – jak zauważa autor – na ostatecznie skonsolidowanie Rusi Kijowskiej.

Skandynawskie korzenie Rusi Kijowskiej są dla profesora oczywiste. Przemawiają za tym nie tylko źródła pisane, lecz także archeologiczne. A tych jest na terenie dawnej Rusi Kijowskiej wyjątkowo dużo – i nie są to tylko pojedyncze pochówki czy sporadycznie znajdowane przedmioty, które mogłyby świadczyć o zaledwie przelotnym pobycie np. skandynawskich kupców. Wielość artefaktów oraz ich rodzaje świadczą, że Rusowie, po początkowo okresowych pobytach w Europie Wschodniej, zamieszkali tam na stałe.

Wiedza o wikińskich korzeniach Rusi Kijowskiej wciąż nie wydaje się zbyt szeroka, choć w Polsce te tezy nie są raczej kontestowane. Zupełnie inaczej wygląda to w Rosji, gdzie „kwestia normańska" jest sprawą żywego zainteresowania nie tylko historyków i archeologów, lecz także polityków, co prawdzie historycznej nie wychodzi na dobre. W Rosji pod władzą Władimira Putina, podobnie jak za XIX-wiecznych carów czy za czasów Józefa Stalina, mówienie o wikińskiej Rusi jest bardzo ryzykowne.

Czy Rusów naprawdę należy traktować tylko jako najeźdźców, którzy podbili Słowiańszczyznę? Autor pisze, że wachlarz etnosów zamieszkujących Europę Wschodnią w wiekach VII–IX był szeroki. Zamieszkiwała tam, oprócz Słowian i Rusów, np. ludność ugrofińska i turecka. W tym miejscu autor pyta: „Jak bardzo obca była ta [skandynawska] kultura? Faktem jest, że mamy do czynienia z kulturą przyniesioną z zewnątrz przez ludzi, którzy nie byli rdzennymi mieszkańcami, jednak równocześnie mieli za sobą długą historię obecności w Europie Wschodniej i chociażby dlatego powinni być traktowani na równi z wieloma innymi lokalnymi grupami". ©℗ ***Anna Szczepańska***

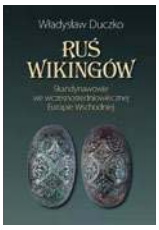

WŁADYSŁAW DUCZKO
„RUŚ WIKINGÓW. SKANDYNAWOWIE WE WCZESNOŚREDNIOWIECZNEJ EUROPIE WSCHODNIEJ"

WYDAWNICTWO UNIWERSYTETU WARSZAWSKIEGO

eprasa.pl 468442f1bb

Niezłomni księża, wspaniałe kobiety

Szanowny czytelniku, ilekroć bierzesz do ręki książkę wydaną przez Instytutu Pamięci Narodowej, tylekroć pamiętaj o tym, że są tacy, którzy od lat mówią o konieczności zlikwidowania IPN. Gdyby podczas ostatniego półtora roku udało się zaorać IPN, nie mógłbyś trzymać, czytelniku, w ręku trzeciego tomu publikacji „Zostali na Wschodzie. Słownik biograficzny inteligencji polskiej w ZSRS 1945–1991". To praca bezcenna, przywracająca pamięć o cichych i nieznanych najczęściej bohaterach walczących o utrzymanie polskości oraz wiary katolickiej głównie na dawnych Kresach Wschodnich.

Gdy ma się w pamięci, jak dziś polskość i wiara katolicka są prześladowane na Białorusi przez byłego dyrektora kołchozu, to w trzecim tomie naturalnie zwracają szczególną uwagę życiorysy księży represjonowanych tam za czasów sowieckich. Chyba dla wszystkich odkryciem będzie to, że na sowieckiej Białorusi działał do 1948 r. konspiracyjny Związek Obrońców Wolności, podtrzymujący polską tożsamość. A jej duchowym przywódcą był jezuita, ks. Władysław Jaziewicz. Cóż to za wspaniała postać! Podczas niemieckiej okupacji współpracował z „Wachlarzem", pomagał Żydom i ich ukrywał. Po drugiej wojnie światowej pozostał w ZSRS, bo nie chciał opuścić wiernych. W 1948 r. został skazany na 25 lat łagrów, zwolniono go w 1956 r., jednak wkrótce wyrok został przywrócony. Ostatecznie deportowano księdza do Polski.

Na sowieckiej Ukrainie o zachowanie polskości i polskich miejsc pamięci troszczyły się wspaniałe kobiety. Czesława Cydzikowa z mężem Eugeniuszem, opiekowała się cmentarzami żołnierzy WP poległych w latach 1920 i 1939 i cmentarzem Obrońców Lwowa, zanim został odbudowany. Siostry Janina i Izabela Ledóchowskie w lwowskim domu organizowały pomoc dla więźniów łagrów, udzielały im gościny, gdy z nich wrócili, organizowały tajne komplety dla polskiej młodzieży. Dom Zofii Panek i jej siostry Krystyny był miejscem spotkań inteligencji lwowskiej, siostry zaś potajemnie przygotowywały dzieci do Pierwszej Komunii. ©℗ ***Tomasz Stańczyk***

RED. NAUK. ADAM HLEBOWICZ
„ZOSTALI NA WSCHODZIE. SŁOWNIK INTELIGENCJI POLSKIEJ W ZSRS 1945–1991"
IPN

Cud kaput

Co doprowadziło do sytuacji, że już zupełnie otwarcie mówi się o końcu niemieckiego cudu gospodarczego? Dlaczego Niemcy zlekceważyły chiński potencjał? I czy jest szansa, by ten europejski „motor gospodarczy" znów zaczął być konkurencyjny? Autor to uznany niemiecki dziennikarz gospodarczy, który ma świetne kontakty w świecie wielkiego biznesu nad Renem. Ogromnym atutem tej książki jest to, jak Wolfgang Münchau opowiada o skomplikowanych zagadnieniach ekonomicznych – po reportersku i bardzo przystępnie. ©℗ ***Piotr Włoczyk***

WOLFGANG MÜNCHAU
„KAPUT"
PRZEŚWITY

BARBARA KOKOSKA
„CARAVAGGIO I CARAVAGGIONIŚCI. MALARSKA PODRÓŻ PO RZYMIE"
PASAŻE

GENIUSZ I BANDZIOR

Kim był Caravaggio? Geniuszem malarstwa doby baroku, wnikliwym interpretatorem Biblii na swoich religijnych obrazach, a także zwykłym... bandziorem. Po jego śmierci znalazło się grono naśladowców artysty, których także tu poznamy. Ta książka to nie tylko doskonały przewodnik po sztuce, lecz także inspirująca literacka podróż po Rzymie. Pozycja zawiera 31 dokładnie opisanych ilustracji. ©℗ ***(L.L.)***

CYRIL AZOUVI, JULIEN PELTIER
„1942. PRZEŁOMOWY ROK II WOJNY ŚWIATOWEJ W INFOGRAFIKACH, RYSUNKACH, FOTOGRAFIACH"
REBIS

ROK PRZEŁOMU

Ta książka łączy ze sobą dwie ciekawe rzeczy. Po pierwsze, opowiada o przełomowym roku 1942, gdy okazało się, że zarówno III Rzesza, jak i Japonia nie są jednak niepokonane. Po drugie, robi to doskonale, wzbogacając warstwę tekstową o grafiki, pokazujące m.in., jak zbudowane były lotniskowce. Wszystkie najważniejsze operacje wojskowe przedstawione są tu na przejrzystych mapach. ©℗ ***(p.w.)***

HENRY KAMEN
„INKWIZYCJA HISZPAŃSKA"
PIW

CIEŃ INKWIZYCJI

Niewiele jest w dziejach świata instytucji bardziej zdemonizowanych niż inkwizycja. Autor opowiada jej historię, mierzy się z mitami, ale nie podchodzi do inkwizycji bezkrytycznie. Celem pracy nie jest „wybielanie" wzbudzającego emocje tematu, lecz trzeźwe spojrzenie. To także ciekawy obraz obyczajów XVI-wiecznej Hiszpanii i czasów kontrreformacji w Europie. ©℗ ***(a.s.)***

eprasa.pl 468442f1bb

Rafał A. Ziemkiewicz

/ Felieton

Świadek epok

Autobiograficzna książka Józefa Orła „Orle Gniazdo" (oddajmy tu należną chwałę współautorce, Barbarze Radziwon, która wymusiła na nim opowiedzenie swojej historii i świetnie tę opowieść spisała) to rzecz warta najusilniejszego polecenia wszystkim, którzy interesują się historią najnowszą. Nie wierzą mi państwo na słowo, bo nie jestem obiektywny: miałem zaszczyt współtworzyć z Orłem projekt Klubu Ronina (miejsca dla „bezpańskich" prawicowców, którzy nie chcą się identyfikować z konkretną prawicową partią), działającego zresztą dynamicznie do dziś – kto ciekaw, może zapis spotkań roninowego gremium znaleźć w Internecie. Józek, mimo budzącego szacunek wieku, zawsze jest na nich aktywny i zawsze mówi rzeczy godne uwagi. Nie kierujcie się zatem moją rekomendacją, po prostu kupcie, przeczytajcie i przekonajcie się sami.

Ponieważ Józef Orzeł był świadkiem kilku epok, uczestniczył w tworzeniu się opozycji antykomunistycznej, w organizowaniu pierwszej Solidarności, a po 1989 r. w budowaniu w Polsce podstaw politycznej prawicy, samorządów i różnych ruchów społecznych, ponieważ poznał przy tym wielu ludzi, także tych, którzy wyraziście zapisali się w historii ostatniego 35-lecia, a ma dar chwytania tego, co w wydarzeniach i ludziach najważniejsze i najbardziej godne zapisania – opisanie całego bogactwa tej opowieści przekraczałoby objętość felietonu. Wspomnę o jednym tylko wątku, ważnym dla mnie z racji tego, że dotyczy, niejako „od drugiej strony", przeżycia pokoleniowego ludzi takich jak ja. To znaczy tych, którzy żyli do roku 1990 w świecie naiwnych złudzeń co do herosów „demokratycznej opozycji", a potem wchodzili w brudną politykę III RP w atmosferze szoku – że Wałęsa to nie „ten" Wałęsa ze sztuki Mrożka „Alfa", tylko cwany Bolek; że Michnik to nie „ten" Michnik, o którym opowiadała Wolna Europa, tylko cyniczny manipulator i najlepszy przyjaciel komunistów, i że dawna Solidarność żre się ze sobą jak psy.

> / **Michnik ogłosił bojkot neo-„TySola" i zapowiedział, że każdy, kto tam przyjmie pracę albo coś napisze, jest świnia, faszysta, gorszy od najgorszych ubeków, nie wolno mu podawać ręki itd.,** co michnikowe stado podchwyciło z furią

Otóż, wbrew potocznemu stereotypowi, nie zaczęło się to od wojny na górze. Zaczęło się – nie pamiętam, czy pisałem o tym tu czy w dużym „Do Rzeczy", czy może tylko opowiadałem na swoim kanale na YouTube – od „Tygodnika Solidarność". Kiedy jego redaktor naczelny, Tadeusz Mazowiecki, został premierem, Lech Wałęsa mianował następcą Jarosława Kaczyńskiego – a „zespół redakcyjny", wsparty przez redaktora naczelnego „Gazety Wyborczej", prawem kaduka mianował nowym naczelnym Tadeusza Dworaka, dotychczasowego „wice", i ogłosił, że „nominata Wałęsy" nie uznaje i do redakcji nie wpuści. Ponieważ właścicielem pisma był NSZZ „Solidarność", a nie „zespół" ani Michnik, Wałęsa postawił na swoim – wtedy dawny zespół przeszedł w całości na dobrze posmarowany chlebek do Agory, a Michnik ogłosił bojkot neo-„TySola" i zapowiedział, że każdy, kto tam przyjmie pracę albo coś napisze, jest świnia, faszysta, gorszy od najgorszych ubeków, nie wolno mu podawać ręki itd., co michnikowe stado podchwyciło z furią. Tak się zaczął syf tzw. wojny polsko-polskiej, trwający z narastającą siłą do dziś.

Orzeł, wówczas zastępca, a potem na pewien czas następca Kaczyńskiego w tygodniku, relacjonuje, jak to wtedy wyglądało i jak beznadziejne były próby uspokojenia michnikowej histerii – i jest to zapis smutno-wesoły. Ale to tylko jeden z wielu wątków książki, którą, poza wszystkim, świetnie się czyta. ©℗

eprasa.pl 468442f1bb

Piotr Semka

/ Felieton

Włoska beznadzieja

Nie pierwszy już raz zachęcam miłośników historii do szperania na YouTube w poszukiwaniu filmów, które ilustrują rozmaite traumy europejskich narodów. Ostatnio trafiłem na obraz, który doskonale ilustruje urazy i złe wspomnienia Włochów.

„Ludzie przeciwko sobie" („Uomini contro") to film z 1970 r. w reżyserii Francesca Rosiego. Zasadniczo jako konserwatystę wszystko powinno mnie w tym filmie odpychać, a jednak wyjątkowa uroda zdjęć powoduje, że trudno od niego oderwać wzrok.

To opowieść o blisko dwóch latach walk armii włoskiej przeciw Austriakom i Niemcom na płaskowyżu Asiago podczas pierwszej wojny światowej, nosi na sobie piętno rewolty lewicowej z lat 1967–1973. Rosi tworzy film według wszystkich zasad ideologii marksistowskiej, w której nieważny jest antagonizm narodowy między Włochami a ich germańskimi przeciwnikami, a wszelkie patriotyczne porywy uczuć żołnierzy są starannie wygumkowane. Wojna przedstawiona jest jako przedłużenie podziałów klasowych, gdzie włoski gen. Leoni to reprezentant klas panujących, oficerowie średniego szczebla to jego sługusy, a zwykli porucznicy siedzący razem z żołnierzami w okopach muszą się klasowo określić – czy są po stronie żołnierskiego ludu czy też chcą być siepaczami wyzyskiwaczy.

Tak prostackie przedstawienie tamtej wojny wywołało zresztą opór już na etapie produkcji. Zmusiło to Rosiego do nakręcenia filmu w komunistycznej Jugosławii, której władze dla odmiany były zachwycone marksistowskim ujęciem wojennej historii. Film powstał zresztą na bazie powieści wojującego włoskiego lewicowca Emilia Lussu pt. „Rok na Altiplano", wydanej w 1937 r. Co ciekawe, dzieło Rosiego zrobiło bardzo słaby wynik finansowy, gdyż jedne kina nie chciały puszczać filmu z powodów patriotycznych, a inne z kolei obawiały się pogróżek krewkich kombatantów, że rozniosą emeryckimi laskami te kinematografy, które będą wyświetlać kontrowersyjny obraz.

A jednak film zrealizowany jest z ogromnym talentem reżyserskim. Oczywiście jest przerysowany i sprowadza opisywane prawie dwa lata walk na froncie północnym do mieszaniny oficerskiej głupoty i szafowania przez nich krwią żołnierską. Można mieć pretensje o pominięcie patriotycznych uczuć żołnierzy, a także ich bohaterstwa. Tym niemniej wszystkie zjawiska opisane w filmie naprawdę miały miejsce. Istnieje dostatecznie dużo wspomnień ludzi, którzy przetrwali krwawe rzeźnie włosko-austriackiej walki, by stwierdzić, że konflikt ten mógł być postrzegany, szczególnie z punktu widzenia szeregowców, jako „bezmyślna" maszynka do mięsa. Film zresztą przypomina inny obraz, amerykańskie „Ścieżki chwały" z 1957 r., gdzie poruszono ten sam problem: sprzeciw najpierw zwykłych żołnierzy, a potem co bardziej wrażliwych na niesprawiedliwość oficerów, wobec niekiedy obłąkańczej taktyki starych generałów wysyłających bez mrugnięcia okiem kolejne szeregi żołnierzy na mordercze niemieckie i austriackie cekaemy.

Tak właśnie wyglądała dramatyczna kanwa tamtych walk. Starsi generałowie wychowani w świecie XIX-wiecznych malowniczych wojen nie potrafili poradzić sobie z doprowadzoną przez Niemców i Austriaków do perfekcji taktyką obrony poszczególnych wzgórz poprzez umiejętne lokowanie gniazd cekaemów.

W Italii to kalanie chwały włoskiego żołnierza było problemem wyjątkowo drażliwym z racji kompromitacji Rzymu w drugiej wojnie światowej. Skoro Mussolini wypchnął włoskich żołnierzy na fronty Afryki, Grecji czy Albanii w roli pachołków Hitlera, to tym bardziej idealizowano poprzednią wojnę światową jako konflikt „słuszny". Tyle że walki z lat 1914–1918 bywały wołającymi o pomstę do nieba przykładami wojskowej niekompetencji starej generacji włoskich dowódców. I Rosi to po prostu bardzo umiejętnie sfilmował. A marksistowski sos, którym zalał to typowo włoskie danie, przypomina nam, jakie triumfy święciła wtedy na zachodzie Europy czerwona ideologia. I choćby dlatego warto ten film obejrzeć. ©℗

eprasa.pl 468442f1bb

Bitwa pod Okehazamą

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, GRAFIKA: UTAGAWA TOYONOBU

Wbrew przeciwnościom / Zaskakujące zwycięstwa

Dziesięciu na jednego

Grzegorz Janiszewski

W historii wojen „szczęście" sprzyjało zazwyczaj silniejszym i lepiej uzbrojonym. Bywało jednak, że słabsi, ale śmiali potrafili pokonać nawet 10-krotnie większe siły zaskoczonego przeciwnika

W roku 54 p.n.e. rządzący w triumwiracie z Cezarem i Pompejuszem Marek Licyniusz Krassus został namiestnikiem Syrii – ludnej i bogatej rzymskiej prowincji. Najwyraźniej jednak nie wystarczało mu to, ponieważ postanowił podbić sąsiednią Partię. Przecinała ją, dająca ogromne dochody, część jedwabnego szlaku. Krassus liczył, że po szybkiej, zwycięskiej wojnie zostanie doceniony w Rzymie. Mógłby wtedy myśleć o wyeliminowaniu swoich konkurentów do władzy.

Krassus miał spore doświadczenie bojowe. W czasie rzymskich wojen domowych przyczynił się walnie do pokonania w 82 r. p.n.e. Karrynasa i Marcjusza. Tłumił też powstanie Spartakusa. Przeciw Partom zebrał potężne siły. Miał ok. 40 tys. dobrze wyszkolonych legionistów – głównie piechoty. W 54 r. p.n.e. przeprawił się przez Eufrat i opanował bez walki kilka partyjskich miast. Potem ruszył na stolicę – Ktezyfon. Rzymianie powoli przemieszczali się przez pustynię, szukając okazji do rozegrania walnej bitwy. Z kolei armia Partów składała się głównie z konnicy. Prowadziła walkę podjazdową, równie szybko pojawiając się obok Rzymian, co znikając z pola bitwy. Partyjscy konni łucznicy z dystansu atakowali zmęczonych Rzymian, zarzucając ich gradem strzał.

W końcu 9 czerwca 53 r. p.n.e. doszło do walnego starcia pod Carrhae. Krassus użył taktyki testudo, czyli pancernego „żółwia" utworzonego z tarcz legionistów. Liczył na to, że Partom zabraknie strzał, a wtedy pokona ich jego konnica. Jednak po kilku godzinach to Rzymianie padali ze zmęczenia, upału i pragnienia. Partowie, którzy mieli zaledwie 10 tys. zbrojnych, nadal ostrzeliwali ich z łuków. Strzał nieustannie dostarczało tysiąc arabskich jeźdźców na wielbłądach.

eprasa.pl 468442f1bb

W końcu wojsko Krassusa zostało otoczone, a partyjski dowódca Surena rzucił do walki ciężką jazdę – katafraktów. Ci z powodzeniem mogli się mierzyć z opancerzonymi, ale wyczerpanymi kilkugodzinną walką Rzymianami. Wrogowie z zachodu szybko zostali rozbici, tracąc ok. 20 tys. żołnierzy.

Krassus wdał się w negocjacje z Partami, ale nie mając żadnych kart w ręku, został pojmany, a potem obwożony po Partii w damskim stroju – na znak hańby. Uśmiercono go, ponoć wlewając mu stopione złoto do gardła, karząc w ten sposób za chciwość. Klęska pod Carrhae jeszcze długo była dla Rzymu znakiem hańby, a zwrot legionowych orłów wynegocjował dopiero 30 lat później cesarz August.

Opancerzony i zwrotny

W 1061 r. panujący na południu Italii Normanowie ruszyli na podbój Sycylii. Na wyspie władali słabi i skłóceni muzułmańscy władcy – kaidowie. Część ludności wyznawała chrześcijaństwo i z nadzieją spoglądała na sąsiadów z północy. Nie znaczyło to jednak, że podbój będzie łatwy. Siły dowódców wyprawy – Roberta Guiscarda i jego brata Rogera – były szczupłe, liczyły bowiem zaledwie kilka tysięcy rycerzy. Jednak były dobrze przygotowane. Normanowie od Bizantyńczyków nauczyli się przeprawiania koni przez morze. Ciężka konnica stanowiła ich duży atut w starciu z lekkozbrojnymi muzułmanami. Ci jednak nie mieli zamiaru wychodzić na otwarte pole, chowając się za miejskimi murami. Podbój postępował więc powoli, zwłaszcza że po stronie sycylijskich muzułmanów stanęli ich pobratymcy – Zirydzi z północnoafrykańskiego wybrzeża. Większość ich sił stanowiła lekka piechota, uzbrojona w łuki, dzidy i miecze. Elitarni łucznicy posługiwali się tureckimi łukami kompozytowymi. Piechota walczyła w głębokich, ciasnych formacjach, chroniących własną jazdę, atakującą po zmiękczeniu przeciwnika przez piechotę i łuczników.

Siłą Normanów była ciężka jazda, uzbrojona w kopie. Formując rozpędzony klin, przełamywała szyki przeciwnika. Piechota głównie osłaniała jazdę w czasie przegrupowania i przystępowała do ataku na rozbitego przez jazdę przeciwnika. Łuczników było niewielu, często rekrutowano ich spośród miejscowej ludności.

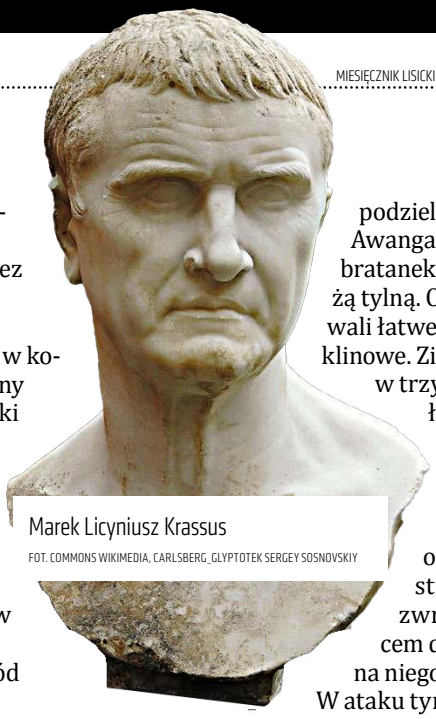

Marek Licyniusz Krassus

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, CARLSBERG_GLYPTOTEK SERGEY SOSNOVSKIY

Normanowie ustanowili główną bazę w Troinie, prowadząc wypady w głąb wyspy i próbując wyciągnąć muzułmanów na otwarte pole. Ci z kolei starali się odciąć przybyszy od zaopatrzenia z półwyspu i zamknąć w mieście. Duża muzułmańska armia wymagała jednak dostaw zaopatrzenia z kontynentu. Walki męczyły też miejscową ludność. Zirydzi postanowili więc zaryzykować bitwę w polu, żeby skrócić kampanię. W czerwcu 1063 r. pojawili się pod murami Cerami – niewielkiej, ale strategicznie położonej miejscowości. Jej zdobycie zagrażałoby odległej o ok. 13 km Troinie, blokowałoby drogę do Palermo i odcinało od zaopatrzenia z portu w Messynie.

Na wieść o zbliżaniu się muzułmanów do miasta Roger Guiscard wyruszył im na spotkanie. Swoje siły – zaledwie ok. 136 konnych i, jak zanotował kronikarz, „tylko nieco więcej pieszych" – podzielił na dwa oddziały. Awangardą dowodził jego bratanek Serlo, on sam strażą tylną. Obydwaj sformowali łatwe do manewru szyki klinowe. Zirydzi ustawili się w trzy oddziały liczące łącznie ok. 3 tys. wojowników.

Atak rozpoczął się od uderzenia na flankę Rogera, omijając przednią straż. Ten szybko zwrócił szyk szpicem do wroga i natarł na niego ciężką konnicą. W ataku tym zginął Arkadius, kaid Palermo, szarżujący na czele swojego oddziału. Roger przebił go kopią z powiewającą na niej cudowną chorągwią św. Jerzego. Miało to pociągnąć do walki resztę Normanów, którzy z furią ruszyli na wroga. Wkrótce jednak zostali okrążeni. Wtedy Serlo śmiało zaatakował z flanki drugi oddział muzułmanów, którzy teraz musieli walczyć na dwa fronty. W końcu zdezorientowani po utracie dowódcy, zmęczeni długotrwałym bojem i oporem zakutych w stal Normanów zaczęli uciekać z pola bitwy. Pociągnęli za sobą jeszcze oddziały, które do tej pory stały w odwodzie. Widząc to, Normanowie rzucili się w pościg, zdobywając główny obóz muzułmanów. Łupy były bogate. Roger po bitwie wysłał papieżowi cztery wielbłądy obładowane kosztownościami.

Według kronikarza Goffreda Malaterry zginęło 15 tys. muzułmanów, ale liczba ta jest z pewnością przesadzona. Bitwa była decydująca dla dalszego podboju Sycylii. Normanie nie zdobyli co prawda żadnego terytorium, ale utwierdzili swoje panowanie. Droga do Palermo była otwarta, a Cieśnina Messyńska pod kontrolą. Włoskie miasta-państwa, mające swoje interesy na morzu, zaczęły wspierać Normanów. Zirydzi z kolei tracili ochotę do pomocy swoim ziomkom na wyspie. W końcu, po przegranej bitwie pod Misilmerii i oblężeniu Palermo,

Pancerny „żółw" rzymskich legionistów

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, CASSIUS AHENOBARBUS

eprasa.pl 468442f1bb

Roger I w bitwie pod Cerami. Malował Prosper Lafaye FOT. COMMONS WIKIMEDIA

do 1091 r. Sycylia w całości wpadła w normańskie ręce, co zwiastowało też koniec muzułmańskiego panowania na Morzu Śródziemnym.

Śmiały zwycięża

W połowie XVI w. Japonia przechodziła okres Sengoku – feudalnego rozbicia, wojen i chaosu. Kraj podzielony był na terytoria rządzone przez klanowych przywódców – daimyō, nieustannie toczących z sąsiadami wojny o ziemię i władzę. W 1560 r. Imagawa Yoshimoto, potężny daimyō rządzący prowincjami Suruga, Totomi i Mikawa, ruszył na Kioto, chcąc rzekomo udzielić pomocy chwiejącemu się w posadach szogunatowi Ashikaga. Po drodze miał zamiar podbić prowincję Owara, należącą do klanu Oda, z którym od lat toczył walki. Imagawa zebrał potężną armię – ok. 25–30 tys. żołnierzy, z którymi szybko zdobył przygraniczne zamki. Oda Nobunaga, od niedawna daimyō klanu Oda z Owary, miał tylko ok. 2–2,5 tys. żołnierzy. Wydawało się, że z takimi siłami jedyną szansą było zamknięcie się w zamku Kiyosu, licząc na przetrwanie oblężenia, co zresztą doradzali doświadczeni oficerowie. Oda wiedział jednak, że prędzej czy później zamek zostanie zdobyty. Wiedział też, że wojsko Imagawy obozuje niedaleko wioski Okehazama, świętując zwycięstwa. Obóz został postawiony w wąskim wąwozie, niepozwalającym na rozwinięcie szyków. Oda i jego żołnierze dobrze znali ten teren – wcześniej prowadzili tam ćwiczenia. Dzień przed bitwą dowódca wygłosił motywujące przemówienie, przekonując swoich ludzi, że lepiej uderzyć na silniejszego przeciwnika z nadzieją na wygraną, niż zamknąć się na pewną śmierć w fortecy.

Rankiem 12 czerwca wyruszyli do boju, zatykając koło zamku Zensho-ji liczne sztandary i proporce, pozorujące obecność dużych sił. Sam Oda Nobunaga z większością żołnierzy przemieszczał się pod osłoną lasu Kamagatani, wychodząc niespodzianie prosto na obóz Imagawy. Do ataku doszło po południu; wielu jego żołnierzy było bez zbroi, zmęczonych upałem i świętowaniem zwycięstw. Dodatkowo Oda do przejścia ostatniego odcinka wykorzystał letnią burzę, która rozpętała się nad doliną. Atak był całkowitym zaskoczeniem. Deszcz był ponoć tak silny, że wartownicy zauważyli nacierających dopiero wtedy, kiedy znaleźli się oni przy obozie. Żołnierze Imagawy, widząc wyłaniających się znikąd przeciwników, w panice zaczęli uciekać, plącząc się w płótna obozowych parawanów. Nieliczne arkebuzy zamokły w deszczu i odmówiły posłuszeństwa. W tym czasie Imagawa zajęty był oglądaniem ściętych głów przeciwników, które przynosili mu jego wojownicy. Słysząc hałasy, pomyślał, że to odgłosy zabawy, ponownie rozpoczętej po deszczu. Kiedy wyszedł z namiotu, zorientował się w sytuacji i ruszył do boju. Osaczony przez dwóch samurajów sam szybko stracił głowę pod ciosem miecza.

Yoshimoto Imagawa FOT. COMMONS WIKIMEDIA, UTAGAWA KUNIYOSHI

Bitwa pod Okehazamą nie tylko powstrzymała marsz Imagawy na Kioto. To tutaj zaczęła się droga do zjednoczenia Japonii po okresie Sengoku. Skrzyżowały się tam drogi trzech przyszłych wielkich wodzów, którzy zjednoczyli Japonię. W bitwie wyróżnił się Toyotomi Hideyoshi, dostarczający sandały w armii Ody. Po bitwie na stronę tego ostatniego zdecydował się przejść dotychczasowy wasal Imagawy – Tokugawa Ieyasu. Sam Oda Nobunaga odsunął zagrożenie od swoich ziem i zdobył sławę pozwalającą na rozpoczęcie jednoczenia kraju. Jak mówi stare japońskie porzekadło o zjednoczeniu kraju, Oda zebrał ryż, Toyotomi ugniatał ciasto, a Tokugawa je zjadł.

Sam w wielkim mieście

Niemiecka inwazja na Jugosławię w kwietniu 1941 r. zaplanowana w pośpiechu, po inspirowanym przez brytyjskie Kierownictwo Operacji Specjalnych antyniemieckim przewrocie w Belgradzie, miała być kolejnym błyskawicznym zwycięstwem. Wehrmacht nie obawiał się targanej konfliktami narodowościowymi, słabo wyposażonej i uzbrojonej jugosłowiańskiej armii. Główną przeszkodą miał być górzysty teren sprawiający, że nawet szczupłe siły obrońców mogły sprawić spore kłopoty. Kluczowe było więc zdobycie najważniejszych punktów

eprasa.pl 468442f1bb

– mostów, węzłów kolejowych i miast. Przede wszystkim Belgradu.

Kapitan Fritz Klingenberg z 2. Dywizji Pancernej SS „Das Reich" określany był przez przełożonych jako „inteligentny i uparty, sprawnie działający pod presją, ale arogancki aż do niesubordynacji". Chrzest bojowy przeszedł rok wcześniej w kampanii francuskiej, gdzie zdobył Żelazny Krzyż. Zwiadowczy pododdział Klingenberga, nazywanego Magikiem, zawsze opływał w amunicję, granaty, paliwo i racje żywnościowe. Kapitan często po prostu kradł to wszystko innym żołnierzom, przy czym wymagał takiej „przedsiębiorczości" również od swoich podkomendnych.

11 kwietnia 1941 r. Klingenberg przemierzał na motocyklach z kilkoma podwładnymi północną Serbię, prowadząc zwiad na rzecz XXXXI Korpusu Wehrmachtu. Niemcy spodziewali się silnej obrony Belgradu i przez kilka dni ciężko go bombardowali, zabijając kilka tysięcy cywilów. Klingenberg miał ocenić sytuację i zameldować o warunkach na przedpolu stolicy. Nie wyglądały one dobrze. Wiosenne roztopy podniosły poziom Dunaju, który wylał na okoliczne pola, utrudniając przejazd czołgów. Mosty były zniszczone.

Jeden z żołnierzy znalazł przycumowaną przy brzegu rzeki motorówkę. Klingenberg z jednym sierżantem i pięcioma szeregowcami przeprawił się nią na drugi brzeg. Wracając po resztę żołnierzy, motorówka zatonęła. Kapitan nie miał wyjścia i zapuścił się w głąb miasta. Napotkani jugosłowiańscy żołnierze poddawali się natychmiast, widząc Niemców. Zwiadowcy zdobyli dwa samochody opancerzone i zaczęli przemierzać ulice, przejeżdżając przez kolejne punkty kontrolne. Spenetrowali zbombardowany i opuszczony budynek ministerstwa wojny i zapuścili się do nietkniętej niemieckiej ambasady.

Następnego dnia, odprowadzani zdumionymi spojrzeniami mieszkańców, dotarli do ratusza, gdzie Klingenberg kazał wywiesić niemiecką flagę. Wkrótce pojawili się tam burmistrz i miejskie władze. Kapitan zagroził im, że jeżeli w ciągu dwóch godzin nie nada meldunku o kapitulacji stolicy, to nastąpią następne bombardowania, ostrzał artyleryjski, a potem atak czołgów i piechoty, który

Fritz Klingenberg FOT. COMMONS WIKIMEDIA, BUNDESARCHIV

nie oszczędzi nikogo. Po godzinie negocjacji, podczas których na niebie pojawiły się niemieckie samoloty, burmistrz zgodził się poddać miasto. Na rynek zaczęły przybywać jugosłowiańskie oddziały, składając broń. Niemcy spisywali żołnierzy i wysyłali ich do czterech największych hoteli, których „pilnowało" po jednym niemieckim żołnierzu. Do niewoli wzięto ponad 1,3 tys. Jugosłowian. Dwieście tysięcy mieszkańców przyjęło kapitulację ze spokojem; władze miejskie podporządkowały się Niemcom.

13 kwietnia do miasta weszły czołówki „Das Reich", spodziewając się silnego oporu. Klingenberg nadawał radiowe komunikaty o sytuacji, ale Niemcy myśleli, że został on złapany, a kody radiostacji przejęli Jugosłowianie, którzy chcieli ich zmylić. Dowództwo wojsk lądowych trzeba było przekonywać dwa dni, że Belgrad bez walki znalazł się pod niemiecką kontrolą. Kiedy nieogolony i lekko „zawiany" Klingenberg zameldował się przełożonym, ci zaczęli oskarżać go o niesubordynację i grozić sądem polowym. Przestali dopiero, gdy oficer zapytał, czy ma oddać miasto z powrotem Jugosłowianom.

Mogadiszu w ogniu

W 1993 r. ONZ podjęła decyzję o wysłaniu do Somalii misji UNOSOM II. Miała ona na celu zapobieżenie katastrofie humanitarnej, spowodowanej walkami między somalijskimi watażkami, terroryzującymi miejscową ludność i pozbawiającymi ją pomocy zagranicznej. W skład kontyngentu ONZ wchodzili również żołnierze amerykańscy. Na początku października grupa złożona ze 160 żołnierzy US Army Rangers i Delta Force prowadziła w stolicy Somalii operację powietrzno-lądową, mającą na celu złapanie przywódców rebelii. Amerykanie oczekiwali łatwego sukcesu; akcja miała trwać nie dłużej niż godzinę (podobnie jak poprzednie, które były jednak prowadzone w nocy).

Kiedy Amerykanie aresztowali 24 podejrzanych i wracali do bazy, rebelianci przy pomocy granatnika przeciwpancernego strącili śmigłowiec MH-60 Black Hawk. Dwóch pilotów zginęło, a pięciu żołnierzy zaczęło się ostrzeliwać, przygwożdżonych zmasowanym ogniem rebeliantów. Na pomoc ruszyła im grupa ewakuacyjna, która zaczęła błądzić w plątaninie zastawionych barykadami ulic Mogadiszu, dodatkowo ostrzeliwana ze wszystkich stron. W końcu żołnierze na piechotę dotarli w pobliże maszyny. W jej szczątkach uwięzione były zwłoki jednego z pilotów, których nie można było wydobyć. Żołnierze postanowili czekać na specjalistyczny sprzęt. Tymczasem rebelianci strącili drugiego MH-60, który spadł ok. 1 km od pierwszej maszyny. Z trzeciego black hawka desantowało się na ochotnika dwóch snajperów Delty, żeby pomóc rozbitkom, ale szybko polegli atakowani przez dziesiątki Somalijczyków. Pilot Michael Durant ze złamanym kręgosłupem został porwany.

Pierwsza grupa została otoczona przez setki somalijskich bojowników prowadzących nieustanny ogień z kałasznikowów, cekaemów, moździerzy i granatników. Kiedy przerywali ogień, słychać było wycie i krzyki przeplatane zawodzeniem muezzinów z pobliskich meczetów. Mordercza walka z tysiącami bojowników trwała całą noc. Nad ranem do okrążonych dotarła odsiecz w postaci potężnego konwoju z pakistańskimi i malezyjskimi czołgami i transporterami. Ciało pilota zostało wycięte z wraku i kawalkada pojazdów ruszyła do bazy na miejskim stadionie w Mogadiszu. Z braku miejsca część rangersów musiała na własnych nogach przebiec 2 km. W trakcie całej operacji zginęło 18 amerykańskich żołnierzy, a 84 było rannych. Somalijskich bojowników zginęło prawdopodobnie ponad 500, rannych było kilka razy więcej. Pod wpływem tych wydarzeń prezydent Clinton zdecydował o wycofaniu amerykańskich sił z misji. Wojna domowa w Somalii toczy się do dzisiaj.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 468442f1bb

Atak na bagnety w bitwie pod Grossbeeren, 1813 r. Obraz Carla Röchlinga

FOT. COMMONS WIKIMEDIA

Bagnet zuch

Michał Mackiewicz,
pracownik naukowy Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie

Generał Adam de Custine, uczestnik wojen siedmioletniej, amerykańskiej oraz dowódca armii rewolucyjnych, pisał: „Ogień naszej piechoty nie ma żadnego znaczenia, naszą broń stanowią wyłącznie działa i bagnety"

Równie stanowcze poglądy na sposób wojowania prezentował carski feldmarszałek Aleksander Suworow (1730–1800), autor słynnego powiedzenia: „Kula głupia – bagnet zuch!". Traktując takie błyskotliwe myśli dosłownie, można by sądzić o niewielkim znaczeniu ognia karabinowego. Wizja mas piechoty zderzających się ze sobą w dzikim pędzie dla zadania ciosu bagnetem lub kolbą rozbudza wyobraźnię. Zwłaszcza że parametry broni palnej – mierząc je dzisiejszą miarą rzecz jasna – były beznadziejne: strzał celowany oddawano na dystansie najwyżej 100 m i to pod warunkiem, że żołnierz był wyszkolony, a proch nie spalił na panewce.

Tymczasem niedocenianie ostrzału prowadzonego przez formacje piesze stanowiło receptę na katastrofę. Przekonał się o tym niezrównany wojownik, król pruski Fryderyk Wielki, zwolennik bezpośredniego ataku na bagnety. 18 czerwca 1757 r. pod Kolinem chorwaccy tyralierzy w służbie austriackiej sprawili Prusakom takie lanie, że swych umykających z pola bitwy podkomendnych monarcha musiał strofować pamiętnymi słowy: „Bydlaki, chcecie żyć wiecznie?!". Odtąd szkolenie strzeleckie stało się podstawą taktyki, a piechota fryderycjańska zasłynęła z najbardziej zdyscyplinowanego i gęstego ognia karabinowego.

Duch ofensywności

Custine i Suworow także doceniali ten element walki, a ich zamiłowanie do bezpośredniego ataku wynikało z potrzeby zaszczepienia w żołnierzach ducha ofensywności. Umiejętność bicia się na bagnety i gotowość do natarcia z białą bronią od wieków uznawano za wyraz bojowej sprawności i wysokiego morale. Gros strat we wszystkich bitwach pochodził jednak z ostrzału karabinowego. I tak miało pozostać, aż do wybuchu pierwszej wojny światowej.

Bagnet, który pojawił się na polu walki w połowie XVII w., stał się w ciągu kilku dekad nieodłącznym elementem żołnierskiego wyposażenia. Ta niepozorna krótka broń sieczno-kłująca przyniosła rewolucję w organizacji piechoty i taktyce jej użycia. Wetknięty w lufę tzw. bagnet szpuntowy przemieniał muszkiet w poręczną broń drzewcową, którą odpowiednio uszykowani żołnierze mogli się obronić przed szarżą konnicy. Mogli też sami atakować. Pikinierzy, stały element XVI- i XVII-wiecznych armii zachodnioeuropejskich, stali się zbędni i zniknęli zupełnie w dobie wielkiej wojny północnej (1700–1721). Odkąd wynaleziono bagnet tulejowy, który mocowano na wylocie lufy, a nie w jej przewodzie, walory bojowe „tandemu" muszkiet/karabin wzrosły: żołnierz mógł teraz strzelać i ładować z założonym bagnetem, będąc jednocześnie gotowy do odparcia bezpośredniego ataku. W latach 20. XVIII w., z chwilą opracowania zestandaryzowanych wzorów broni palnej i okrzepnięciu systemu „narodowych" armii stałych, narodził się uniwersalny żołnierz uzbrojony w karabin z bagnetem.

Pod Gettysburgiem i w Iraku

Bagnety, zwłaszcza te przeznaczone tylko do kłucia, przenoszono w skórzanych pochwach zawieszonych na pasie naramiennym albo na karabinie. Ten drugi sposób był może mało praktyczny i źle wpływał na precyzję strzału (zmiana środka ciężkości broni), ale ograniczał ilość kosztownego ekwipunku; w Rosji utrzymał się do końca drugiej wojny światowej. Obok bagnetów kłujących, które stały się standardem w XVIII

eprasa.pl 468442f1bb

stuleciu, używano też imponujących bagnetów siecznych. Uzbrajano nimi elitarną lekką piechotę, czyli strzelców walczących gwintowaną bronią długą – sztucerami.

Choć atak z wykorzystaniem bagnetu należał do zasadniczego elementu taktyki walki piechoty, to gwałtowne, brawurowe natarcia na białą broń, których pełne są opisy z okresu napoleońskiego, rzadko kiedy kończyły się równie zażartym starciem; straty zadane bagnetem stanowiły zazwyczaj tylko niewielki procent całości strat. Zazwyczaj działo się tak, że jedna ze stron ustępowała pola, szukając sposobności do zatrzymania atakujących palbą karabinową lub ostrzałem artyleryjskim. Bagnet nie był zapewne bronią szczególnie śmiercionośną, ale jego znaczenie psychologiczne było ogromne. Warto pamiętać, że to stosunkowo proste narzędzie odgrywało też rolę środka ostatecznego, po który sięgano w przypadku braku amunicji. Do legendy przeszła obrona Małego Okrągłego Szczytu w trakcie bitwy pod Gettysburgiem (2 lipca 1863 r.), kiedy federalny 20. pułk z Maine, skrwawiony i wystrzelany z naboi, ruszył do rozpaczliwego natarcia na bagnety, ratując całą flankę Unii i przyczyniając się do ostatecznego zwycięstwa nad konfederatami. Natarcia na białą broń zdarzały się także w konfliktach współczesnych. Historia zapamiętała zwłaszcza nocne starcie na wzgórzach otaczających port Stanley (brytyjsko-argentyńska wojna o Falklandy w 1982 r.) oraz brawurowy atak Szkotów z pułku „The Argyll and Sutherland Highlanders" przeprowadzony w 2004 r. podczas drugiej wojny w Zatoce. W wyniku tego ostatniego zabito w walce wręcz kilkudziesięciu rebeliantów bez strat własnych.

Choć przeznaczenie bagnetu pozostało zasadniczo niezmienne, to przeszedł on długą drogę ewolucji. W drugiej połowie XIX w. zaczęły dominować bagnety sieczne o głowniach długich i masywnych, z rękojeściami i sprężynującymi zatrzaskami umożliwiającymi ich zamocowanie z boku lufy. Szczególnie efektownie prezentowały się bagnety jataganowe, które rozpowszechniły się za sprawą Francuzów. Ich masa była jednak bardzo duża, co utrudniało nie tylko składanie się do strzału, lecz także fechtunek. Pod koniec stulecia coraz większą popularność zdobywały krótsze bagnety nożowe; jedynie Francuzi i Rosjanie pozostali przy tradycyjnych długich „szpadach". Pojawienie się nowoczesnej broni strzeleckiej, precyzyjnej i – co najważniejsze – szybkostrzelnej, doprowadziło do ograniczenia roli bagnetu na polu walki. Wstrząs wywołany pierwszymi miesiącami pierwszej wojny światowej, kiedy falowe ataki piechoty rodem z epoki napoleońskiej doprowadziły do niewyobrażalnych ofiar, uświadomił wszystkim, że epoka bagnetu definitywnie dobiegła końca. Tym bardziej że w walce okopowej praktyczniejsze okazywały się pistolet, saperka i granat. Bagnet pozostał na uzbrojeniu, ale długość jego głowni uległa skróceniu. Po drugiej wojnie światowej upowszechniły się modele pełniące także funkcję noży bojowych oraz praktycznych narzędzi pola walki (np. sowiecki bagnet do AK-47, który złączony z pochwą przeistaczał się w nożyce do cięcia drutu).

Od lewej: brytyjski bagnet do karabinu skałkowego Brown Bess, francuski Mle 1842 do karabinu kapiszonowego, niemiecki M98/05 do mauzera i polski wz. 24 z lat międzywojennych, też do mauzera

FOT. MICHAŁ MACKIEWICZ, ZE ZBIORÓW MUZEUM WOJSKA POLSKIEGO

Atak pod Raszynem

Bagnet na trwałe wpisał się także w polską tradycję wojskową. Wysokie walory bojowe cechowały piechotę schyłku I Rzeczypospolitej oraz żołnierzy Księstwa Warszawskiego. Do legendy przeszedł brawurowy atak, poprowadzony osobiście przez księcia Józefa Poniatowskiego, na grobli falenckiej w trakcie bitwy pod Raszynem. Pułki Królestwa Polskiego nie ustępowały tym z okresu napoleońskiego. W 1827 r. ukazał się drukiem regulamin pt. „Nauka podająca sposoby bicia się na bagnety", zawierający drobiazgowe instrukcje i tablice poglądowe. Uczono w nim zarówno walki indywidualnej, jak i w zwartym szyku kompanijnym; przeciwko piechocie i jeździe, w ataku i obronie.

Odrodzone Wojsko Polskie kontynuowało chlubne tradycje przodków. W wojnach o kształt granic przeciwnik nie był w stanie dotrzymać pola naszym piechurom, czego potwierdzeniem jest fragment z opracowania „Czerwona Armia Bolszewicka", napisanym na podstawie doświadczeń z walk 1918–1920: „O ile dawniej dzięki dobremu wyszkoleniu wojska rosyjskie miały dużo skłonności do ataku na bagnety, o tyle obecnie bolszewicy zdradzają niepowstrzymaną chęć do ucieczki, gdy są przez nas atakowani na bagnety. Przyczyną tego poza brakiem odpowiedniego wyszkolenia jest duży niedobór u bolszewików bagnetów. W ciągu całej obecnej kampanii spotkać się można było jedynie z kilkoma wypadkami ataków lub kontrataków bolszewickich na bagnety".

Chociaż w procesie szkolenia żołnierza II RP bezwzględnie najważniejszym elementem była nauka strzelania, to nie zaniedbywano walki wręcz, „w której zażartość, błyskawiczność działania pojedynczych żołnierzy, ich męstwo i zupełne poświęcenie się odgrywają decydującą rolę" – jak podkreślano w przedwojennym „Regulaminie piechoty". Doprecyzowano w nim także znaczenie bagnetu: „Jest środkiem rozstrzygającym przy każdem nagłym zetknięciu się z przeciwnikiem, gdy na strzał nie ma czasu […]".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 468442f1bb

Techniczne cuda / W oczekiwaniu na lepsze czasy

Uśpione wynalazki

Mysz komputerowa Telefunkena z 1968 r.

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, MARCIN WICHARY

Tymoteusz Pawłowski

Wiele genialnych urządzeń musiało czekać lata, a nawet stulecia, aby zaistnieć i zyskać wpływ na świat. Część z nich odniosła ostatecznie sukces, ale inne wciąż pozostają w ukryciu, czekając na swój czas

Trudno jednoznacznie powiedzieć, kiedy konkretnie doszło do przełomu technicznego w danej dziedzinie. Przykładowo rozmowa przeprowadzona 2 czerwca 1875 r. pomiędzy Alexandrem Grahamem Bellem a jego asystentem Thomasem Watsonem wcale nie oznaczała początku telefonu – był to tylko jeden z etapów jego rozwoju. Takich faz można wyróżnić kilka: opracowanie teorii, przekucie jej w działający model, opatentowanie rozwiązania, skierowanie go do produkcji, wypuszczenie na rynek i – najważniejszy – osiągnięcie sukcesu komercyjnego. Jeśli w którymś momencie takiego procesu nastąpi porażka, wówczas wynalazek może czekać wiekami na kolejną szansę na zaistnienie.

Porażka może nastąpić na każdym etapie, począwszy od pierwszego, czyli opracowania teorii. Najpoważniejszym ograniczeniem rozwoju nauki jest geografia, a dokładniej geografia społeczna. Ludzie często są od siebie zbyt oddaleni, aby odkrycie naukowe czy wynalazek techniczny miały szansę na rozpowszechnienie. Nic więc dziwnego, że nauka i wynalazczość rozwinęły się gwałtownie wraz z rozwojem komunikacji.

Pierwszą rewolucją było wynalezienie pisma pozwalającego gromadzić doświadczenie pokoleń. Drugą – XV-wieczny druk umożliwiający propagowanie informacji, trzecią: XIX-wieczny telegraf łączący naukowców i wynalazców z całego świata. Obecnie jesteśmy świadkami czwartej rewolucji, związanej z Internetem. Bez książek giną zarówno wiedza, jak i wynalazki: w II w. przed Chrystusem potrafiono tworzyć mechaniczne kalkulatory rozwiązujące problemy astronomiczne – czego dowodem jest „mechanizm z Antykithiry" – ale takie maszyny stały się popularne dopiero 1,5 tys. lat później.

Czasem jednak po prostu niedomaga nauka, rzucając wynalazcom kłody pod nogi. Tak było z obowiązkiem mycia rąk przez medyków. Nie tyle był to wynalazek techniczny, ile proceduralny. Obowiązek taki już w 1848 r. wprowadził w wiedeńskiej klinice położniczej dr Ignaz Semmelweis. Lekarz opierał się jednak tylko na swojej intuicji podpowiadającej mu istnienie niewidzialnych stworzonek przenoszących zarazki chorobowe. Środowisko medyczne wyśmiewało te jego niewidzialne stworzonka, ponieważ wtedy za główną przyczynę chorób uchodził „trupi jad". Eksperymentalny obowiązek mycia rąk zarzucono po dwóch latach, dr Semmelweis popadł w szaleństwo, a istnienie zarazków potwierdzono dopiero 30 lat później, pod koniec lat 70. XIX w., i dopiero wówczas lekarze w szpitalach zaczęli myć ręce…

Od teorii do praktyki

Często bywało i tak, że teoria była znana, wykonywano działające modele, ale wynalazek nie trafiał do ludzi, nawet jeśli wiedziano o nim i był na niego popyt. Wynikało to przede wszystkim z różnicy pomiędzy techniką a technologią. To pierwsze słowo pochodzi z greckiego „technē" i oznacza sztukę stworzenia przedmiotu niewystępującego w naturze. To drugie – uzupełnione

eprasa.pl 468442f1bb

Mechanizm z Antykithiry, fragment
FOT. COMMONS WIKIMEDIA, MARYSAS

wyrażeniem „lógos" (nauka) – oznacza umiejętność masowej produkcji.

Niektóre wynalazki były po prostu zbyt złożone i skomplikowane, aby można było je produkować. Doskonałym przykładem jest broń palna, spopularyzowana w XIV w. Lufy były rurami zaślepionymi z jednego końca; drugim końcem ładowano proch i pocisk, który wylatywał w stronę celu. Błyskawicznie zorientowano się, że lepszym rozwiązaniem jest broń odtylcowa – w której lufa otwarta jest z obu końców: pierwszym wprowadza się proch i pocisk, a następnie zamyka specjalnym zamkiem – ale takie rozwiązanie nie zyskało popularności.

Broń odtylcową budowano już w XIV w., jednak jakość materiałów była słaba, a połączenie pomiędzy lufą a zamkiem niepewne. Żołnierze bali się strzelać z tak zawodnej broni, ale karabinów odtylcowych – nawet wielostrzałowych – używali myśliwi. Musieli to być jednak bardzo bogaci myśliwi, których stać było na indywidualnie dobierane zamki i lufy, składane przez najlepszych rusznikarzy ze specjalnie produkowanej stali. Trzeba było poczekać kolejne cztery stulecia – do końca XIX w. – aby broń odtylcowa stała się popularna.

Warto zwrócić uwagę, że problemy technologiczno-finansowe, które często opóźniają wprowadzenie wynalazków na rynek cywilny, nie są takim ograniczeniem dla wynalazków militarnych. Mocarstwa jak najbardziej stać na uzbrojenie wyprzedzające swoje czasy, są to jednak rozwiązania tak drogie, jak choćby hipersoniczne samoloty bojowe z lat 60. XX w. – że dziś się ich nie stosuje. Z tego powodu ludzkość straciła na 60 lat zdolność do lotów na Księżyc: w 1969 r. astronauci dostali się tam na pokładzie pojazdu rozwijanego przez wojsko, a dziś powrót na Srebrny Glob planowany jest na bazie cywilnych statków kosmicznych.

Sukces techniczny a komercyjny

Wynalazek może być opracowany i wdrożony do masowej produkcji, ale musi się jeszcze sprzedać, osiągnąć sukces komercyjny i dostać się „pod strzechy". I tutaj zaczynają się „schody". Pierwszym problemem jest bowiem infrastruktura, czyli – dosłownie – podbudowa. Widać to doskonale na przykładzie samochodów. Pierwszy z nich pojawił się już w XVIII w., całkiem sporo zbudowano ich w pierwszej połowie XIX w., nie było jednak dla nich odpowiednich dróg. Podobnie było z miejskimi hulajnogami, które na krótko stały się popularne w 1817 r., ale nie nadawały się do jazdy po brukowanych ulicach i w związku z tym zapomniano o nich – choć funkcjonowały w ograniczonym zakresie jako zabawki – na prawie 200 lat. Samochody stały się natomiast dość popularne w początkach XX stulecia, ale nie wszędzie było do nich dostępne paliwo. W Polsce jeszcze w latach 30. zeszłego wieku benzynę kupowano głównie w aptekach, a nie na stacjach paliw.

Segway FOT. COMMONS WIKIMEDIA, URBAN MOBILITY GMBH

Czasem wynalazki wyprzedzają swoje czasy, ponieważ nie ma dla nich nie tylko infrastruktury, lecz także właściwej struktury. Takie były losy myszki komputerowej, która pojawiła się w roku 1941, została utajniona jako wynalazek wojskowy; następnie wymyślono ją ponownie w latach 60., ale nie było dla niej komputerów; po kilkunastu latach pojawiła się po raz kolejny i znów nie odniosła sukcesu. Dopiero połączenie jej w 1985 r. z komputerami Amiga, Atari i Macintosh przyniosło prawdziwy sukces i dziś trudno znaleźć dom, gdzie jej nie ma. A może jednak wcale nie tak trudno? Przecież dzisiejsze optyczne gryzonie technicznie mają niewiele wspólnego z mechanicznymi myszkami sprzed kilkunastu lat. Często nie mają nawet ogonka – są bowiem bezprzewodowe.

Czasami wynalazki i odkrycia wyprzedzają swój czas z powodów ideologicznych. Takie były dzieje profilaktyki antynikotynowej, zainicjowanej przez Adolfa Hitlera, nienawidzącego – ale dopiero w wieku dojrzałym – palenia i palaczy. Führer wprowadził ograniczenia wiekowe, nałożył specjalne podatki, sponsorował badania naukowe, które wykazały szkodliwość także biernego palenia. Badania te były później odrzucane przez środowisko naukowe jako ideologicznie wątpliwe i musiały minąć dwa pokolenia, aż świat zapomniał o nazistowskiej genezie antynikotynizmu. Świat zapomniał, ale Niemcy wciąż pamiętają i dziś pozostają państwem europejskim z najmniejszymi ograniczeniami dla palaczy.

Często nie zdajemy sobie sprawy z tego, że jesteśmy otoczeni wynalazkami, które w przyszłości będą miały olbrzymi wpływ na losy ludzkości. Być może wynalazkiem takim są okulary interaktywne, które w ostatnich latach poniosły porażkę komercyjną, albo dwukołowy Segway, którego prototyp zachwycił przemysłowców i naukowców, ale wersja produkcyjna nie może od ponad dwóch dekad znaleźć uznania wśród zwykłych ludzi.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 468442f1bb

Izrael kontra Irak / Chrzest bojowy F-16

Rajd na Osirak

Piotr Zychowicz

W 1981 r. izraelskie lotnictwo zniszczyło reaktor atomowy w Iraku. To był koniec marzeń Saddama Husajna o bombie atomowej

Kiedy piszę te słowa, izraelskie pociski spadają na Iran. Teheran spowijają gęste kłęby czarnego dymu. W ramach operacji „Wschodzący Lew" ponad 200 izraelskich myśliwców dokonało spektakularnego uderzenia w nuklearne i wojskowe obiekty reżimu ajatollahów. Użyto m.in. pocisków burzących podziemne bunkry.

Wcześniej znajdujący się w Teheranie agenci Mosadu za pomocą dronów wyeliminowali irańską obronę przeciwlotniczą. W ten sposób otworzyli wolną drogę dla samolotów uderzeniowych. Akcja, jak twierdzą Izraelczycy, zakończyła się pełnym sukcesem. Prace nad irańską bombą atomową zostały sparaliżowane.

Operacja „Wschodzący Lew" obejmowała również wyeliminowanie kluczowych dowódców Korpusu Strażników Rewolucji Islamskiej i innych formacji militarnych. Na ten moment odpowiedź Iranu okazała się wyjątkowo słaba. Ajatollahowie odpalili w stronę Izraela zaledwie 100 powolnych dronów Szahed. Wszystkie zostały zestrzelone po drodze przez izraelskie i jordańskie myśliwce.

W ten sposób Izrael po raz kolejny udowodnił, że sprawuje totalną technologiczną i ma militarną supremację w regionie Bliskiego Wschodu. I po raz kolejny potwierdził, że zamierza odgrywać rolę strażnika strategicznej nierównowagi. Doktryna ta jest prosta i sprowadza się do tego, że żaden kraj Bliskiego Wschodu nie może posiadać broni jądrowej. Oczywiście żaden kraj oprócz Izraela.

Państwo żydowskie ma bowiem reaktor atomowy w ośrodku Dimona na pustyni Negew i ok. 80–90 głowic jądrowych. To tylko przybliżone szacunki, bo Izrael oficjalnie nigdy nie przyznał się do posiadania tej broni. Ma ją jednak od lat 60., czym skutecznie szachuje swoich sąsiadów w regionie.

Polisa

Izraelczycy nazywają swoją broń jądrową „ostateczną polisą ubezpieczeniową". „Żyjemy w nieprzebranym morzu arabskich wrogów – słyszałem wielokrotnie z ust Izraelczyków – i wiemy, że to morze kiedyś nas zaleje. Ale wtedy naciśniemy czerwony guzik i weźmiemy ich ze sobą".

Do spełnienia podobnych apokaliptycznych wizji jest oczywiście bardzo daleko. Na razie to Izrael – mimo że malutki – ma miażdżącą przewagę nad swoimi sąsiadami. Atakuje ich i wygrywa kolejne starcia.

eprasa.pl 468442f1bb

F-16 Ilana Ramona, uczestnika operacji „Opera"
FOT. COMMONS WIKIMEDIA, KGYST

Tylko w ostatnich miesiącach atakował Liban, Syrię, Iran i Jemen. Nie wspominając już o trwającej jatce w Strefie Gazy. Do tego należy dodać bezwarunkowe wsparcie USA, które jest najlepszym gwarantem przetrwania Izraela.

Nie zmienia to faktu, że izraelska doktryna o nierozprzestrzenianiu broni jądrowej na Bliskim Wschodzie obowiązuje od lat. Przekonał się o tym boleśnie Saddam Husajn – dyktator Iraku – w roku 1981. Pod koniec lat 70. Irakijczykom udało się kupić od Francuzów reaktor jądrowy, który został nazwany Osirak (Tammuz 1) i umieszczony w pobliżu Bagdadu.

W Izraelu oczywiście zapaliła się czerwona lampka. Żydzi uważali, że Saddam chce w Osirak produkować pluton dla swojego wojskowego programu nuklearnego. I postanowili działać. 7 czerwca 1981 r. doszło do jednej z najbardziej brawurowych misji powietrznych – operacji „Opera". Eskadra ośmiu izraelskich F-16 wyruszyła w stronę Bagdadu.

Jak w Purim

Miałem to szczęście, że o przebiegu tej legendarnej akcji mogłem usłyszeć od jej dowódcy, legendarnego asa izraelskiego myślistwa, gen. Jiftacha Spektora. Oto fragment wywiadu z oficerem:

„Wiedzieliśmy, że Saddam od lat 70. starał się pozyskać broń nuklearną – mówił mi Spektor. – W tym celu budował reaktor pod Bagdadem. Izrael próbował temu przeciwdziałać. Głównie z pomocą tajnych operacji służb specjalnych. Udawało się nam spowolnić zapędy Saddama, ale nie byliśmy w stanie go zatrzymać. Szybko stało się jasne, że jedyny sposób na rozwiązanie tej sprawy to nalot.

Jakie zajmował pan wówczas stanowisko?

Pracowałem w wydziale operacyjnym naszego lotnictwa. Kazano mi przygotować plan zaatakowania i zniszczenia reaktora. Problem polegał na tym, że do irackiej stolicy z Izraela było potwornie daleko – ok. tysiąca kilometrów. Nasze ówczesne samoloty nie miały takiego zasięgu.

W 1980 r. Izrael kupił od USA F-16. Wreszcie miał pan broń, której potrzebował.

F-16 to był myśliwiec nowej generacji. Mógł dolecieć do Bagdadu i wrócić. W teorii. Proszę bowiem pamiętać, że Amerykanie jeszcze nie używali F-16 w misjach bojowych. To my mieliśmy być pierwsi.

Ile miał pan czasu na przygotowania?

Śmiesznie mało. Mieliśmy się wzbić w powietrze 7 czerwca 1981 r. Chociaż byłem generałem, to rząd wyraził zgodę, abym poleciał na tę misję. Usiadłem więc za sterami jednego z ośmiu F-16, które miały wziąć udział w operacji »Opera«. Byliśmy przekonani, że kilku z nas nie wróci. Irakijczycy mieli nowe sowieckie migi, a reaktor Osirak był chroniony lepiej niż Kreml. Wokół było ustawionych 12 baterii rakiet przeciwlotniczych i mnóstwo armat. Przed lotem każdy z nas o tym myślał. Może to ja? Może to mnie pisane jest dzisiaj umrzeć?

Jak wyglądała misja?

Poszło zadziwiająco gładko! Kiedy wróciliśmy do bazy, żartowaliśmy, że to była nasza najnudniejsza operacja. Irakijczycy nie spodziewali się, że zrobimy coś tak wariackiego. Przelecieliśmy nad Arabią Saudyjską, co zajęło jakieś półtorej godziny, wdarliśmy się do Iraku i spadliśmy jak grom na reaktor. Zanim Irakijczycy się zorientowali, wpakowaliśmy w Osirak wszystkie rakiety. Na dole doszło do gigantycznej eksplozji. Program atomowy Saddama został zatrzymany na zawsze. Gdy odlatywaliśmy, niebo za nami wyglądało jak w święto Purim. Obrona przeciwlotnicza zaczęła walić w górę ze wszystkiego, co miała. Niebo było pełne eksplodujących pocisków. Irakijczycy obudzili się pół minuty za późno.

Jitfach Spektor
FOT. COMMONS WIKIMEDIA ISRAELI DEFENCE FORCE

Żaden samolot nie został strącony?

Żaden. Wróciliśmy do bazy cali i zdrowi. Choć muszę przyznać, że przydarzyła mi się wpadka. Na skutek olbrzymiego przeciążenia straciłem przytomność i źle ustawiłem samolot. W efekcie jako jedyny nie trafiłem w reaktor. Najważniejsze dla mnie – jako dowódcy misji – było jednak to, że udało mi się wykonać zadanie. Siedem trafień na osiem to chyba całkiem niezły wynik.

Pewnie pomyślał pan o tej misji 10 lat później.

Oczywiście. Gdy wybuchła wojna w Zatoce Perskiej i Amerykanie po raz pierwszy interweniowali w Iraku, Saddam zasypał Izrael pociskami rakietowymi Scud. Gdyby miał broń atomową, na głowę mogłyby nam spaść głowice jądrowe. Dzięki zniszczeniu reaktora Osirak uniknęliśmy tego czarnego scenariusza. A kto wie, może nasza akcja miała jeszcze większy wpływ na historię. Pytanie bowiem: Czy gdyby Saddam miał bombę atomową, Amerykanie w ogóle odważyliby się na atak? Tak jak obecnie boją się tknąć Korei Północnej. Gdyby nie nasz nalot na Osirak, Saddam mógłby do dzisiaj rządzić Irakiem".

Patrząc na pogorzelisko, które rozciąga się obecnie w miejscu irańskich ośrodków nuklearnych, trudno nie zauważyć, że historia lubi się powtarzać. Na Bliskim Wschodzie bez zmian. Karty rozdaje Izrael.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 468442f1bb

Rysują / Krzysztof Wyrzykowski i Maciej Jasiński

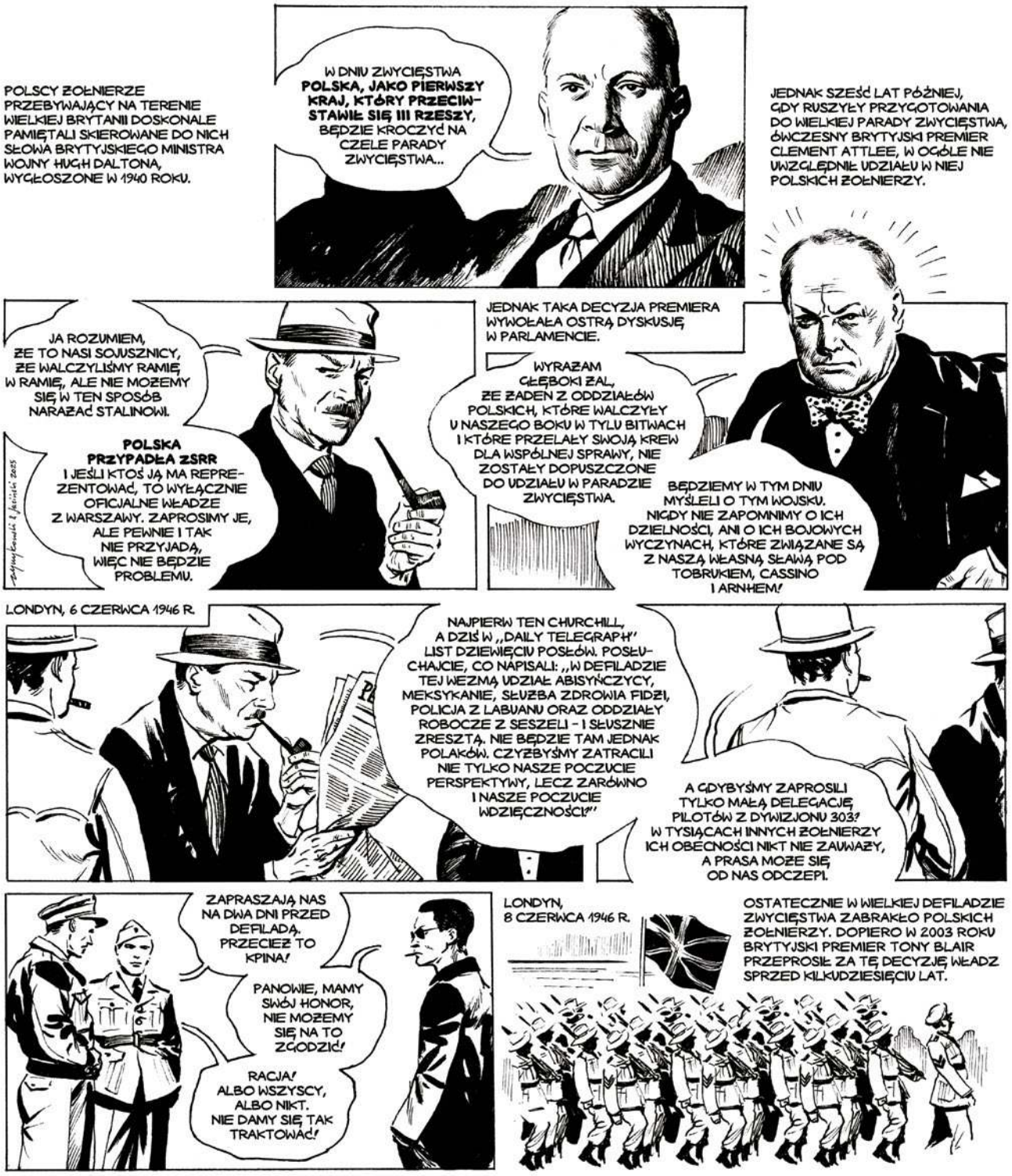

eprasa.pl 468442f1bb

HISTORIA DO RZECZY

CZYTAJ CO MIESIĄC W LEPSZEJ CENIE

ZAMÓW PRENUMERATĘ

PRENUMERATA ROCZNA MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY"

+ W PREZENCIE KSIĄŻKA MARIUSZ SAMP: „RUSKIE ŻONY POLSKICH WŁADCÓW. ZWIĄZKI DYNASTYCZNE PIASTÓW Z RURYKOWICZAMI"

Ruskie żony polskich władców. Związki dynastyczne Piastów z Rurykowiczami

Począwszy od czasów Kazimierza Odnowiciela, wśród piastowskich małżonek najwięcej było kobiet pochodzących z Rusi Kijowskiej, co miało na celu sprzymierzenie się z Rurykowiczami. Większość małżeństw zawieranych na przestrzeni wieków przez polskich władców była bowiem mariażami politycznymi. Służyły one nawiązaniu lub umocnieniu sojuszu z innym państwem.

Jaką rolę odgrywały Rusinki u boku swych mężów? Co wiemy o ich codziennym życiu? Czy potrafiły się odnaleźć w świecie zdominowanym przez mężczyzn? Jak sprawdzały się jako matki i żony?

W swojej najnowszej książce dr Mariusz Samp szuka odpowiedzi na te pytania. Na podstawie dostępnych źródeł kreśli portrety kobiet – ruskich księżniczek, dla których los często nie był łaskawy. Niektóre z nich zapisały się w historii jako silne osobowości. Zapraszamy czytelników w kolejną podróż w odległe czasy średniowiecza!

162 zł

oszczędność 52 zł

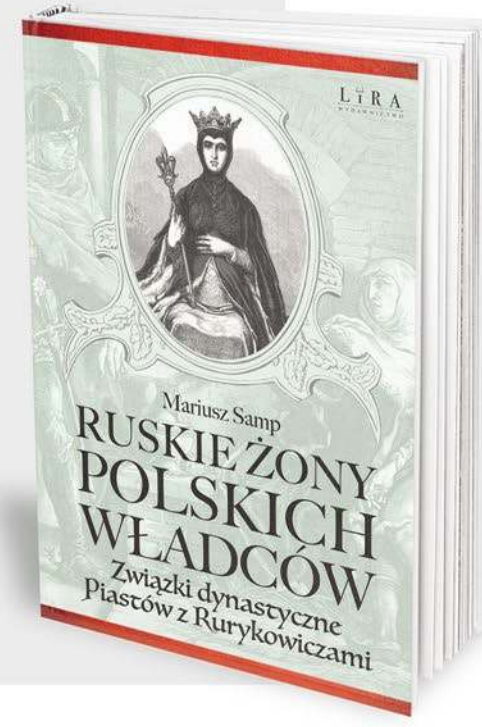

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WPŁATA NA KONTO:
UWAGA NOWY NUMER
33 1600 1462 1816 5874 1000 0006
Do Rzeczy S.A.,
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631 (pon-pt 10.00-16.00)** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl 468442f1bb

KSIĘGARNIA DO RZECZY

ZAPRASZAMY DO KSIĘGARNI DO RZECZY

KSIEGARNIADORZECZY.PL

eprasa.pl 468442f1bb